

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/628-2/629 2000



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER:

TYLKO LUTER MOŻE ZBAWIĆ SAVONAROLĘ

A. HRYNKIEWICZ: ENERGIA – WYZWANIE XXI W.

A. KORASZEWSKI: KOŚCIELNE PIENIĄDZE

**M. BROŃSKI: „POSTMODERNIZM”: OSTATNIA
HUCPA XX WIEKU**

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1999

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Tylko Luter może zbawić Savonarolę</i>	3
Krzysztof Czyżewski:	<i>Wariacje kosowskie (II)</i>	24
Andrzej Hrynkiwicz:	<i>Energia – wyzwanie XXI wieku</i>	40
–	<i>Klub Myśli Politycznej im. J. Mirowskiego</i>	46
Andrzej Mencwel:	<i>Obecność w prawach i celach</i>	49
WIERSZE		
Jehuda Amichai:	<i>Powrót byka</i>	65
Peter Bakowski:	<i>Wiersz dla zranionych</i>	66
Adam T. Bakowski:	<i>W oknie kuchni</i>	67
Remigiusz Grzela:	<i>[idziesz] – ***</i>	68
Wojciech Kawiński:	<i>Paradoksalnie; Skurcz</i>	69
KRAJ		
Andrzej Micewski:	<i>Po dziesięciu latach wolności</i>	71
Krzysztof Wolicki:	<i>Trochę spokoju, ale niedużo</i>	78
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	85
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	101
Marek Tomaszewski:	<i>Niderlandy pana Zagłoby</i>	112
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Andrzej Koraszewski:	<i>Kościelne pieniądze</i>	114
SĄSIEDZI		
Aureliusz M. Pędziwol:	<i>O murze, co udawał płot</i>	127
KRONIKA KULTURALNA		
M. Broński:	<i>„Postmodernizm”: ostatnia hucpa XX wieku</i>	132
Leszek Szaruga:	<i>Fenomen Różewicza</i>	139
Adam Czerniawski:	<i>Na odejście kasztelana-poety</i>	143
Dorota Kaźmierczak:	<i>Marian Zdzichowski</i>	148
Leszek Szaruga:	<i>Związek Zawodowy Literatów Polskich</i>	151
–	<i>Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 2000</i>	154
NOTATKI REDAKTORA		
KSIAŻKI		
Arkadiusz Pacholski:	<i>Bruillon paryski</i>	159
Zbigniew Florczak (Pelikan):	<i>Przebudzenie wileńskie 1905-1915</i>	167
Mariusz Wilk:	<i>Bałamutna książka</i>	174
Tomasz Mianowicz:	<i>NRD – sąsiad niezany</i>	181
Paweł Tański:	<i>Misjonarz słów</i>	189
Renata Głowacka:	<i>O sztuce religijnej książka dla każdego</i>	194
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	196
NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1999		
198		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 2000

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Adam Czerniawski, Monmouth (W. Brytania) – po raz 2-gi	F. 1.400,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton – po raz 30-ty – dol. 500,00	F. 3.000,00
Czesław Deminet, Tucson, AZ (USA) – po raz 27-my – dol. 34,00	F. 205,00
Dla uczczenia pamięci naszego Szwagra i Brata – Andrzeja Hermaszewskiego, w ósmą rocznicę Jego śmierci – Maria i Wojciech Hermaszewscy, Nowy Jork – dol. 30,00	F. 186,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna – w dziesiątą rocznicę Jego śmierci – żona i syn z rodziną (Manchester, Londyn)	F. 250,00
Leda i Henryk Giedroyciowie, Paryż – zamiast kwiatów na grób Weroniki Bell-Machniewiczowej	F. 250,00
Stefan Jan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA) – po raz 24-ty – dol. 33,00	F. 198,00
Jacek Hejnar, Toronto, ON (Kanada) – po raz 10-ty	F. 300,00
Andrzej Jędrkiewicz, Mediolan – po raz 35-ty	F. 270,00
Mieczysław Stefan Kaczmarek, Furth (Niemcy)	F. 14.799,90
Edward Kossoy, Genewa – po raz 3-ci	F. 570,00
Karol J. Krótki, Edmonton, ALTA (Kanada) – po raz 23-ci	F. 400,00
Stefan Kuszell, Richmond, Surrey (Anglia) – <i>in memory</i> Krystyny Szomańskiej, zmarłej 20 listopada 1999 – £. 30,00	F. 300,00
prof. Kazimierz Laski, Wiedeń – po raz 28-my	F. 270,00
Tad de Laurent, Bielefield (Niemcy) – po raz 17-ty – DM 50,00	F. 168,00
Mila i Emanuel Łopatto, Cannes (Francja) – zamiast kwiatów na grób Witolda Zahorskiego, w 11-tą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 20-ty	F. 100,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA) – po raz 23-ci – dol. 36,00	F. 223,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy) – po raz 36-ty	F. 741,56
Pamięci Jana Halperna, w szóstą rocznicę Jego śmierci – Maria Strelcyn z rodziną	F. 100,00
Eugenia Piórkowska, Nowy Jork – po raz 11-ty – dol. 34,00	F. 210,00
Irena Pleszczyńska, Santa Barbara, CA (USA) – po raz 34-ty – dol. 26,00	F. 162,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclairs, NY (USA) – po raz 32-gi – dol. 38,00	F. 228,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA) – po raz 23-ci – dol. 34,00	F. 210,00
Longin E. Sztachański, Seminola, FL (USA), dol. 20,00	F. 125,00
W pierwszą, bolesną rocznicę śmierci (1.1.99) Zbigniewa Budzyny-Dawidowskiego – Żona Eleonora, Córka Janina (Nowa Zelandia), i Syn Przemysław z rodziną (Polska)	F. 500,00
W pierwszą rocznicę śmierci Michała Wyszomirskiego – Przyjaciele z Paryża	F. 200,00
W 29-tą rocznicę śmierci Jadwigi Albrecht – mikrobiologa, najlepszej Matki i Żony – Jerzy i Andrzej Albrechtowie, Monachium (Niemcy)	F. 200,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 223

Tylko Luter może zbawić Savonarolę

I. Tryptyk cmentarny

Najpierw było zaniechanie czyli Srebrenica. 11 lipca 1995 oddziały serbskiego generała Radko Mladića, działając na rozkaz „prezydenta” samoproklamowanej serbskiej Republiki w Bośni-Hercegowinie, Radowana Karadzića, wtargnęły i zajęły zamieszkałą przez 40.000 osób (włącznie z uchodźcami z pobliskich wiosek) muzułmańską enklawę o nazwie Srebrenica. Dwie specjalne rezolucje ONZ miały temu właśnie zapobiec. Rezolucja nr 819 Rady Bezpieczeństwa ustanawiała w Srebrenicy pierwszą „strefę bezpieczeństwa”, pozostającą pod ochroną międzynarodową, chronioną „przed jakimkolwiek atakiem zbrojnym i wszelkim innym aktem wrogości”. Rezolucja nr 836 uprzedzała, że aby zagwarantować bezpieczeństwo mieszkańców tej właśnie „strefy ... bezpieczeństwa”, ONZ użyje „wszystkich środków, łącznie z siłą”.

300-osobowy batalion holendersko-ONZ-owskich „niebieskich hełmów” był na miejscu, aby tego dopilnować. Nie dopilnował. Miał stanowić ostatni szaniec obrony. Nie stanął. Masakra trwała pięć dni. Spowodowała (według oficjalnej „statystyki” Trybunału dla byłej Jugosławii w Hadze) 10.300 ofiar, muzułmanów zabitych na miejscu, lub „zaginionych” w czasie ewakuacji.

Srebrenica stała się miejscem największej masakry w Europie od końca wojny w 1945 roku. Stała się także symbolem największej powojennej klęski człowieczeństwa w starciu

BIBLIOTEKA
BN

2000 K 312

P. 9486 (A) (C)

z barbarzyństwem, najbardziej kompromitującym dokumentem cynizmu jednych i naiwności drugich: filmowane dokumenty ze Srebrenicy utrwaliły obraz Mladića wznoszącego toast szampanem w towarzystwie oficera ONZ, ofiarującego cukierki dzieciom za drutem kolczastym, dokonującego selekcji, przy widocznej asyście zdezorientowanych, zaskoczonych, źle uzbrojonych Holendrów, oddzielającego mężczyzn od kobiet, o których wiadomo dziś, że ci pierwsi za chwilę zginą od serbskich kul, a reszta rzucona będzie na uchodźcze szlaki, które przedtem starannie zaminowano.

Blitzkrieg? Zaskoczenie? Wprost przeciwnie. Atak na Srebrenicę był wynikiem operacji starannie zaplanowanej i skrupulatnie wykonanej. Przywódcy bośniackich Serbów nie kryli znaczenia jakie przypisywali Srebrenicy w realizacji szerokiej strategii „etnicznej czystki”.

Już raz zresztą ta enklawa muzułmańska uniknęła, *in extremis*, szykowanego jej przez Serbów strasznego końca. W marcu 1993 roku była już skazana, otoczona ze wszystkich stron, kiedy uratował ją, przed kamerami telewizji, na oczach świata, francuski generał Filip Morillon, ówczesny dowódca oddziałów ONZ (FORPRONU) w Bośni, który pozostał przez kilka dni w mieście, wśród mieszkańców Srebrenicy, powodując wyłącznie własną obecnością odwrót Serbów. Jak się okaże, odwrót czasowy.

Pięć innych „stref bezpieczeństwa” tylko cudem uniknie podobnego losu. Niektóre pozostaną w kronikach: Wyszegrad i Focza, które do dziś są rajem dla poszukiwanych przez Trybunał w Hadze serbskich zbrodniarzy wojennych, Prijedor, niedaleko Banja Luki, gdzie odbyła się próba generalna „etnicznej czystki”, no i naturalnie Mostar, gdzie, w imię inaczej skomponowanej „czystości etnicznej”, Chorwaci i Muzułmanie mordowali się wzajemnie ku największej uciezce panów Karadzića i Mladića.

Nazajutrz po masakrze („zwycięstwo barbarzyństwa nad cywilizacją” – powie Tadeusz Mazowiecki i rzeknie się funkcji specjalnego sprawozdawcy ONZ), społeczność międzynarodowa (na tyle na ile można ją tak określać), choć ciągle w szoku, stara się ogarnąć koszmar, odtworzyć genezę dramatu, pójść śladem łańcucha odpowiedzialności, ustalić odpowiedzialność każdego, lukę na każdym szczeblu drabiny myślenia i dowo-

dzenia, wydawania i wykonywania rozkazów.

Długo to nie potrwa. Wszystkie ślady prowadzą do Nowego Jorku, do siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych, na sam jej szczyt. W oku cyklonu znajduje się Butros Butros-Ghali, ówczesny sekretarz generalny, uparcie zdecydowany stosować wobec morderczej wojny rozwiązania wyłącznie polityczne. Tuż zanim jego zastępca Kofi Annan, odpowiedzialny za ONZ-owskie operacje pokojowe. Obok niego, nieco niżej w drabinie, ale bardziej bezpośrednio obciążony, znajduje się specjalny wysłannik obu tych panów w byłej Jugosławii, dyplomata (akurat) ... japoński Yasushi Akashi, oskarżony przez bośniackich muzułmanów o łatwe uleganie serbskiej manipulacji. Jeszcze gorzej, jeżeli to możliwe, wypada ostatni członek kwartetu, francuski generał Bernard Janvier. Ze swego sztabu w Zagrzebiu, gen. Janvier dowodzi całością sił FORPRONU (wojsk ONZ) rozlokowanych na niektórych terenach byłej Jugosławii. Według dobrych źródeł, serbskie przygotowania do „czyszczenia” nie stanowiły tajemnicy dla francuskiego generała, który, ciągle według tych źródeł, zignorował m.in. wszystkie apele batalionu holenderskiego o udzielenie mu wsparcia lotniczego.

W istocie, ława oskarżonych „za Srebrenicę” jest znacznie „bogatsza”, wypełniona do ostatniego miejsca. Siedzą na niej wszystkie wielkie mocarstwa, które, to jasne, dysponowały wystarczającym, aż nadto, zasobem informacji aby rozpoznać i zanalizować zamiary generała Mladića.

Dyskusja nie kończyła się. Rozmaite hipotezy były przywoływane dla wytłumaczenia tego nieprawdopodobnego aktu zaniechania, tego niegodnego aktu odmowy ingerencji, niesienia pomocy ludności w śmiertelnym zagrożeniu. Wszystko tam się zmieściło: od zbyt ograniczonego mandatu ONZ, poprzez brak środków działania nieuzbrojonego faktycznie, w obliczu serbskich napastników, batalionu żołnierzy holenderskich i serbski spisek zmierzający do podziału Bośni, aż po porachunki wewnątrz muzułmańskich Bośniaków ...

Świat, naturalnie, szybko przestał przejmować się dramatem akurat Srebrenicy. Następne masakry, oblężenie Sarajewa, w ogóle wojny i konflikty, na Bałkanach i gdzie indziej, następowały tak szybko po sobie, że mowy nie było o naprawdę poważnej analizie Srebrenicy.

Potem była niemożność czyli Kosowo. Albowiem po Srebrenicy było Kosowo. Każda wojna jest straszna. Wojna o Kosowo była też straszna, ale inna niż wszystkie inne wojny, to była, jakby powiedział Saddam Husajn, „matka wszystkich przyszłych wojen”. Tu, po raz pierwszy, wojna nie toczyła się o ideologię, nie wybuchła w obronie jakiegoś interesu politycznego czy gospodarczego wielkich mocarstw, w Kosowie nie było ropy, nad Kosowem nie wisiała chmura atomowej apokalipsy.

Oficjalnie (w istocie chyba było inaczej), teren wojny był strategicznie drugorzędny, „prowincjonalny”.

To więc była to, albo, bądźmy ostrożni, miała to być pierwsza wojna, można powiedzieć, bezinteresowna. „Kosowo”, powiadano, to pierwsza wojna XXI wieku. Operacja NATO w Kosowie weszła więc do Historii: miała udowodnić, że współistnienie prawa i siły jest możliwe. Miała to być wojna o poszanowanie praw człowieka, wojna gdzie, mówiąc na wyrost, po raz pierwszy prawa człowieka miały być ważniejsze niż zasada suwerenności.

W dniu kiedy pierwsze natowskie bomby spadały na Jugosławię, sąd w Londynie uznał, że chilijski generał Pinochet może stanąć przed sądem jako winny zbrodni przeciw ludzkości. Oba wydarzenia mają na pozór niewiele wspólnego. Ale to, co mają jest ważne: uznanie zasady, że żaden przywódca, król, prezydent, generał, dyktator, ani Pinochet, ani Miłoszewicz, nie ma prawa mordować, niszczyć, gnębić, torturować, eliminować, „czyścić” nie tylko cudzych, ale także swoich własnych obywateli. Dlatego mieli rację ci, którzy twierdzili, że ważniejszy od oficjalnego, ale w rzeczywistości nieosiągalnego mandatu ONZ, jest moralny nakaz udzielenia pomocy ludziom i narodom zagrożonym unicestwieniem przez nowych Miłoszewiczów i Pinochetów.

Obie sprawy to prototypy problemów XXI wieku. A „operacja Kosowo” miała być pierwszą wojną „prototypową”. Piknie. Tylko, że ta prototypowa wojna sprowokowana przez ostatniego, miejmy nadzieję, dyktatora w Europie, odbyła się z całkowitym pominięciem ONZ. Mniejsza o debatę prawną na temat legalności operacji: czy potrzebny był specjalny mandat Rady Bezpieczeństwa czy też wystarczyły, zdaniem głównie Amerykanów, te postanowienia, które Rada już

podjęła. Faktem było, że gdyby do Rady się zwrócono, to do operacji w Kosowie nigdy by nie doszło, bo *veto* rosyjskie a także chińskie, nigdy by na nią nie pozwoliły. Zapłaciliby „wyczyszczeni” do końca Albańczycy w Kosowie. Życiem.

A potem – była ślepotą czyli wschodni Timor. Albowiem po Srebrenicy i Kosowie był wschodni Timor. Także ludobójstwo, masakry, mordercy w mundurach wojskowych i przebraniu milicyjnym, także czystka etniczna i religijna, *exodus* ludności cywilnej, prawa człowieka podeptane i podarte na strzępy ...

Na tym jednak porównanie się kończy, a zaczynają się różnice. Chociaż zbrodnia jest tam większa (200.000 zabitych na 800.000 mieszkańców) i chociaż prawnie biorąc akcja międzynarodowa byłaby bardziej zgodna z prawem (nikt, poza Australią, nigdy nie uznał aneksji Timoru przez Indonezję), we wschodnim Timorze do interwencji zbrojnej państw demokratycznych nie doszło.

Nikt jej nie chciał. Azja nie chciała interwencji zewnętrznej, nawet „swojej”, a co dopiero „białej”, w sprawy jakiegokolwiek państwa na jej kontynencie. Nawet Chiny (nie mówiąc już o Rosji), chociaż bardzo nie lubią antykomunistycznej Indonezji, postawiłyby *veto* w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

W Kosowie sytuacja była jasna: serbski satrapa mordował i łupił bezbronnych, właściwie „swoich” Albańczyków nie byle gdzie, a w środku demokratycznej Europy, na ostatniej komunistyczno–nacjonalistycznej wyspie kontynentu objętego (prawie w całości) wartościami NATO. Tego tolerować nie można było, tym bardziej, iż była okazja aby rozszerzyć wpływy sojuszu, a tego lekceważyć nie należy.

W Timorze, wpływów „zachodnich” rozszerzać nie trzeba było. Nie tylko dlatego, że już były.

Także dlatego, że odwrotnie niż w Kosowie, zewnętrzna interwencja na Timorze mogła być doprowadzić do zmniejszenia tych wpływów, do implozji i tak chwiejącej się i bankrutującej Indonezji: 220 milionów mieszkańców, czwarte państwo świata, największy kraj islamu, chore ogniwo Azji, stające zawsze, kiedy to było naprawdę potrzebne, po stronie USA.

A przecież tutaj także ONZ potrafiła zapisać jeszcze jedną niesławną kartę jej historii. Jedną?

ob Co najmniej dwie. Najpierw, kiedy ONZ nie potrafiła zapobiec, w 1975 roku, aneksji Timoru przez Indonezję. Potem, kiedy 4 lata później, rozpięła i miała chronić referendum na temat samostanowienia i niepodległości wschodniego Timoru. Wtedy jednak, jak tylko zaczęły się „nieporozumienia”, to znaczy masakra ludności, to ONZ wycofała siły międzynarodowe, które tam rozlokowała właśnie po to, aby ... zapewnić właściwy i bezpieczny przebieg głosowania, pozostawiając 800.000 ludzi na łasce rozszalałej milicji. Wojska (australijskie) działające na zasadzie mandatu ONZ, wróciły na wschodni Timor dopiero po referendum, aby „przywrócić porządek”. Cmentarny ...

II. Filozofia bez subtelności

Każdy z tych tragicznych epizodów oddzielnie wywoływał dyskusje na temat żądań i jakości „usług” ONZ. Ale ten właśnie tryptyk, ten tak bardzo „wątpliwy” remanent kilku bankructw ONZ, przeniósł dyskusje ze strefy analizy konkretnych operacji na poziom pytania o sens istnienia i racje bytu ONZ w ogóle.

Najdalej posunął się francuski filozof Bernard-Henri Lévy. BHL, jak go nazywają w skrócie, zna się na rzeczy. Mobilizował opinię zachodnią dla sprawy Bośni, napisał na ten temat książkę i niezliczoną ilość artykułów, zrobił film, wszystko w obronie Sarajewa i bośniackich muzułmanów „czyszczonych” przez wojska serbskie.

Tym razem – on zabiera głos w każdej sprawie – zajął się Timorem. Jego zdaniem postępowanie ONZ we wschodnim Timorze było wyzwaniem pod adresem sumienia ludzkiego. BHL sądzi, że fakt, iż ONZ narzuciła referendum bez uwzględnienia w swoim scenariuszu gwałtów na ludności jakiego ono wywoła, zostanie, w przyszłości, potraktowany przez jakiś Trybunał Międzynarodowy jako współodpowiedzialność ONZ za „udział w zbrodni przeciw ludzkości”. Dla uwiarygodnienia tej surowej analizy, BHL przywołuje widmo przedwojennej Ligi Narodów, jej powolnego rozkładu i jej absurdalnej biurokracji, „karawanseraju – jak pisze – narodów bezradnych, upokorzonych, sparalizowanych”, ... która, przypo-

mina BHL, „skończyła na grzędawisku hańby i wrzuciła świat w chaos”.

Ostro powiedziane. Diagnoza BHL jest pozbawiona literackich subtelności: ONZ to haniebna groteska, zgromadzenie pajaców, instytucja niezdolna do osiągnięcia tego, do czego została powołana, to znaczy do rozdzielania, w sytuacjach zagrożenia, katów od ofiar. Jego wniosek także nie ma wiele wspólnego z filozofią: ONZ się przeżyła, jej czas upłynął, trzeba skończyć z tą makabryczną farsą, należy przystąpić do budowy nowej ONZ dostosowanej do wymogów nowych czasów.

BHL nie był osamotniony. Inni, o nieco mniej gwałtownym piórze, formułowali na tle czarnej serii ONZ, wnioski właściwie podobne. Inny filozof, André Glucksman doszedł do wniosku, że ONZ to „pomnik przeszłości” i, także jego zdaniem, „trzeba czegoś nowego”.

Taki atak nie wszystkim się spodobał. To nie rewelacja. Obrońców jednak nie było zbyt wielu. Sergio Vieira de Mello, zastępca sekretarza generalnego ONZ, odpowiedzialny, co za przypadek, za sprawy i operacje ... humanitarne ONZ, odrzucił, nic dziwnego, argumenty BHL i potępił zwolenników jego diagnozy. Pomysł burzenia ONZ – powiedział delikatnie w „odpowiedzi kabotynom” – jest filozoficznym, politycznym i praktycznym nonsensem, przy czym odpowiedzialnością za długą listę porażek ONZ należy obciążyć nie ONZ i jej sekretarza generalnego, a poszczególne państwa członkowskie. I dodaje: sekretarz generalny ONZ to rodzaj bezbronnego Savonaroli, uzbrojonego jedynie w zdolność wzniesienia się ponad specyficzne interesy 188 państw, które są członkami ONZ, w możliwość wyrażenia zbiorowego interesu i powszechnych wartości.

III. Doktryna Annana

Po co jednak słuchać zastępcy, kiedy można udać się wprost do źródła? Uprzedzając rozwój tej nieprzyjemnej polemiki, poprzednik Melli na stanowisku odpowiedzialnym za sprawy humanitarne w sekretariacie ONZ i obecny sekretarz generalny tej instytucji, Kofi Annan, postawił kropki nad i.

Powstało coś, czego publicyści nie wahają się określić jako „doktryna Annana”. Coś w tym jest. Żaden z poprzedników Annana na tym najwyższym „publicznym” stanowisku na świecie (wyżej od prezydenta USA) nie posunął się tak daleko w propozycjach zerwania z bezradnością ONZ wobec humanitarnych tragedii w rozmaitych stronach świata.

Tu trzeba sięgnąć do początku naszej opowieści. Tak naprawdę to „Doktryna Annana” narodziła się bowiem w ... Srebrenicy.

„Tragedia Srebrenicy naznaczyła na zawsze naszą historię ... Srebrenica ujawniła prawdę, którą społeczność międzynarodowa zrozumiała za późno: Bośnia-Hercegowina stanowiła w takim samym stopniu konflikt wojskowy co i wyzwanie moralne ... Nasze poważne błędy w ocenie sytuacji, nasza niemożność pojęcia wielkości zła, w obliczu jakiego stanęliśmy, sprawiła, że nie potrafiliśmy zapewnić mieszkańcom Srebrenicy obrony przed zaplanowaną masakrą ze strony sił serbskich...”

Mocne słowa. Kto je wypowiedział? Wyjęte są z dokumentu najzupełniej bez precedensu i ze względu na jego treść i ze względu na jego autora.

Dokument ten to 155-stronicowy raport Sekretariatu Generalnego ONZ, który odtwarza wszystkie etapy tragedii Srebrenicy i stara się z niej wysnuć odpowiednie wnioski. Raport oparty jest o rozmowy z setkami ekspertów, świadków i ofiar „operacji”, powołuje się na obserwatorów wojskowych i cywilnych (czasem odpowiedzialnych za rozwój wydarzeń), na rozmaitych szczeblach, a także dziennikarzy, sięga do tajnych archiwów ONZ. Stwierdza, że „błędy”, popełnione przez sekretariat ONZ, „mają swe źródła w wyznawanym przez ONZ dogmacie o bezstronności i rezygnacji z siły, filozofii całkowicie nieprzystosowanej do warunków konfliktu bośniackiego”. Z tego zrodziły się takie decyzje jak np. inicjatywa utworzenia „stref bezpieczeństwa bez zapewnienia wojskowych środków ich ochrony ...”. Akcja humanitarna, precyzuje raport, nie mogła nigdy stanowić właściwej odpowiedzi na serbską determinację utworzenia stref „etnicznie czystych”. Zamiast szukać wyłącznie, w tym wypadku nieskutecznych, środków politycznych, należało znieść embargo na broń dla Muzułmanów, zastosować wobec Serbów uderzenia z powietrza itd., itp.

A kim jest taki odważny autor raportu? To Kofi Annan, obecny sekretarz generalny ONZ, który w momencie dramatu Srebrenicy, jako zastępca swego poprzednika, Butrosa Butros-Ghali, był człowiekiem odpowiedzialnym za operacje ONZ w Bośni właśnie.

Kofi Annan jest, jak mówi raport, w dobrym towarzystwie. „Jest rzeczą jasną” – pisze Annan – że sekretarz generalny czyli Butros-Ghali, jego doradcy polityczni, czyli Annan właśnie, Akashi na miejscu w Bośni i generał Janvier, inaczej mówiąc cały kwartet, instytucjonalnie i indywidualnie odpowiedzialny za wydarzenia omawiane w raporcie, byli „wszyscy zdecydowanie przeciwni użyciu siły i ... popełnili błąd, akceptując codzienne bombardowania ‘stref bezpieczeństwa’ przez Serbów i ujawniając otwarcie i publicznie (ich) odmowę zastosowania siły wobec Serbów”. Z tego tytułu właśnie, choć główną odpowiedzialność za zbrodnie ponoszą naturalnie ... zbrodniarze, społeczność międzynarodowa musi także wziąć na siebie swoją część *mea culpa*. ONZ prowadzi przecież taką politykę na jaką pozwalają państwa członkowskie, a zwłaszcza pięć mocarstw dysponujących prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa. Inaczej mówiąc, Srebrenica padła, bezbronna, ofiarą zarówno brutalności serbskiego agresora, co i „wahań” ONZ-owskiej dyplomacji reprezentującej państwa mało skłonne do ponoszenia ryzyka niekontrolowanej eskalacji.

Za mało i za późno, powie ktoś. To prawda. Ale nie szkodzi. Lepiej późno niż wcale. Mówiąc cynicznie, Srebrenica się jednak na „coś” przydała. Szok spowodowany dramatem sprawił, że doszło w końcu do umowy w Dayton i pokoju w Bośni-Hercegowinie.

Prawnie biorąc, dramat Srebrenicy wywołał powszechną debatę (ciągle trwa) wokół prawa do ingerencji humanitarnej i doprowadził do umocnienia autorytetu Trybunału w Hadze, powołanego do sądenia właśnie zbrodni wojennych na terenie byłej Jugosławii.

I wreszcie, geopolityka zrobiła kolosalny skok naprzód: Zachód nareszcie postanowił użyć siły dla położenia kresu sytuacjom, w których łamanie praw człowieka przekracza próg jakiegokolwiek tolerancji.

Naturalnie, raport to tylko ... raport. Na wszelki triumf

za wcześniej. To przecież te same państwa, które „wahały” się w przeddzień Srebrenicy, są odpowiedzialne za fakt, że Radwan Karadžić, polityczny szef serbskich zbrodniarzy i Radko Mladić, ich wojskowy herszt, są ciągle na wolności, choć powinni, jak konkluduje raport Annana, stanąć przed sądem z oskarżenia o „barbarzyńskie zbrodnie”.

Trzeba też dodać, że o ingerencji humanitarnej, albo jej zaniechaniu, nie zawsze decyduje nieodparte i bezinteresowne poczucie sprawiedliwości, a decydują często interesy państw zdolnych do interwencji. Przecież w kilku innych punktach świata setki tysięcy ludzi (Angola, Sierra Leone...) przeżywało i przeżywa miesiącami czy nawet latami golgotę Srebrenicy. Bez większych wzruszeń w bufetach ONZ ...

IV. 188 powodów niemożności

„Doktrynę Annana”, którą, unikając pretensjonalnych tytułów, autor sformułował głównie w przemówieniu na otwarciu ostatniej sesji (jesień 1999) Zgromadzenia Ogólnego ONZ, można sprowadzić do dwóch głównie punktów.

Pierwszy warunek wstępny wszelkiego postępu w wychodzeniu ONZ z obecnego paraliżu to, według Kofi Savonaroli, zasada skutecznej, przy użyciu siły, jeżeli zaszłaby potrzeba, interwencji ONZ wszędzie tam, gdzie dochodzi do masowego gwałcenia praw człowieka.

Już samo sformułowanie tej zasady stanowi rewolucję w ONZ. Do tej pory fundamentem funkcjonowania ONZ była zasada wprost przeciwna: poszanowanie świętego dogmatu suwerenności państwowej. Dogmat ten był rozumiany jak najściślej: ONZ nie mogła ingerować w sprawy wewnętrzne żadnego państwa członkowskiego bez jego zgody.

Annan konkluduje: „Granice nie stanowią już linii absolutnej obrony”, inaczej mówiąc nie mogą stanowić gwarancji bezkarności dla rządu, który torturuje, masakruje czy deportuje całe grupy swojej czy obcej ludności.

W tym punkcie, „doktryna Annana” to więc, pośrednio, stwierdzenie serii bankructw ONZ: Ruanda, Timor, Sierra Leone, Sudan, Angola, Afganistan, żeby wymienić tylko najstraszliwsze zbrodnie na prawach ludzkich, gdzie, jak mówi,

używając eufemizmów, sam Annan, „ludność oczekuje od nas czegoś więcej niż słowa współczucia”.

ONZ, widać więc wyraźnie, powinna przestać być organizacją, która zajmuje się wszystkim, i stać się organizacją koncentrującą się na wybranych dziedzinach. Jakich? Tych, którym żadna inna instytucja nie potrafiłaby sprostać w majestacie prawa. Mówiąc w skrócie, ONZ powinna przekształcić prawo interwencji w przymus interwencji jako operacji zapewniającej poszanowanie pokoju i praw ludzkich oraz opiekę nad uchodźcami. Kofi Annan mówi jasno: „Chodzi o to aby wszystkie narody osiągnęły konsensus zarówno co do konieczności karania masowych i systematycznych aktów gwałcenia praw człowieka gdziekolwiek by do nich dochodziło, co i w sprawie sposobu podejmowania decyzji w takich sprawach i to w odpowiednim momencie”. Inaczej mówiąc ONZ miałyby być w stanie odmówić, w warunkach zagrożenia ludzi czy grup ludzkich, poszanowania dogmatu suwerenności państwowej, która stanowi główny dziś parawan dla niezliczonych gwałtów. Drobiazgi...

Drugi warunek wstępny, bez którego tego pierwszego nie da się zrealizować, to rozpoznanie błędów i słabości ONZ i podjęcie głębokich i wszechstronnych reform w jej strukturze, obsadzie i funkcjonowaniu. Sprawa wygląda poważnie.

ONZ to nie dzielnicowy urząd pocztowy, to największa instytucja na świecie, skupia 188 państw, nie licząc niezliczonych organizacji na statucie obserwatorów, zatrudnia ok. 50.000 osób, w tym 20.000 urzędników etatowych. Jej budżet sięga ok. 1,3 miliarda dolarów rocznie (marnotrawstwo jest ogromne). ONZ opiekuje się 22 milionami uchodźców, zakupuje ponad połowę światowej produkcji szczepionek, jest największym na świecie odbiorcą... prezerwatyw (nic podejrzanego, chodzi o kampanię przeciw AIDS). W samej tylko Genewie organizuje 7.500 zebrań rocznie, a takie wielkie (małych trudno byłoby się doliczyć) centra są – oprócz Genewy – jeszcze cztery: Nowy Jork, Wiedeń, Rzym i Nairobi.

ONZ jest dziś ogromną organizacją, której funkcjonowanie na rozmaitych szczeblach jest trudne do rozpoznania nawet dla jej własnych pracowników. Zgodny jest pogląd, że jest w niej za dużo biurokracji i urzędników, a za mało koor-

dynacji, kontroli i poczucia odpowiedzialności, głównie zresztą, to... ludzkie, w dziedzinie finansów.

V. Od wojny trzydziestoletniej...

Czy „wielka naprawa”, o której mówimy, jest możliwa? Nie jestem pewny. Nikt nie jest.

Ojców pojęcia „obowiązku ingerencji” jest dziś wielu. Umówmy się, że pierwszy raz publicznie termin ten został użyty przez Jean-François Revela, filozofa, pisarza, i znakomitego dziennikarza i publicystę, od niedawna (nie rozumiem na co, w jego wypadku, tak długo „nieśmiertelni” czekali) członka Akademii Francuskiej. 20 lat temu, w roku 1979, Revel użył sformułowania „obowiązek ingerencji” pisząc o zbrodniach i nadużyciach dwóch ukrytych za dogmatem „suwerenności” despotów afrykańskich, Bokassy z Afryki Środkowej i Amin Dady z Ugandy. Revel stwierdził wtedy, że zasada nie-ingierencji jest prawidłowa wobec państw demokratycznych. Wobec wszystkich innych reżymów jest synonimem odmowy udzielenia pomocy ludziom w niebezpieczeństwie. Revel przywołuje fakt, że odmowa udzielenia pomocy osobie zagrożonej jest dziś przestępstwem w świetle kodeksu karnego. Proponuje więc, aby zasadę tę przenieść także w sferę międzynarodową. Dlaczego, pyta Revel, ludy w niewoli tyranów nie mogą korzystać z tej samej formuły? Z natury bardzo sceptyczny, Revel jednak notuje postęp, cytując powołanie Międzynarodowego Sądu w Hadze, idee Międzynarodowego Trybunału Karnego, sprawę Pinocheta, wywołaną z inicjatywy nie-chilijskiego sędziego ...

Można naturalnie wliczać jeszcze wiele innych przykładów torowania sobie drogi przez buldożer „obowiązku ingerencji”. Pod warunkiem jednak, że weźmie się pod uwagę trudności w jego upowszechnieniu i wprowadzeniu w życie. Patrząc z punktu widzenia ONZ, zasada ingerencji w wewnętrzne sprawy państw członkowskich rozbija się o kilka raf.

Z jednej strony o postulat dysponowania przez ONZ siłami zbrojnymi zdolnymi do szybkiej interwencji. Jest to przewidziane w Karcie NZ, ale to dziś mrzonka. A przecież to brak takich sił jest jednym z głównych powodów

„ospałości”, a faktycznie niemożności reakcji ONZ na gwałcenie praw człowieka czy inne konflikty, które powinna, z definicji, być w stanie wygaszać, albo, jeszcze lepiej, którym powinna móc zapobiegać.

Z drugiej strony, o *veto* w Radzie Bezpieczeństwa. Dogmat poszanowania suwerenności jako podstawy stosunków międzynarodowych wpisany jest w doktrynę państwową od Traktatu Westfalskiego, jaki w 1648 zakończył wojnę trzydziestoletnią. Jego wierne odbicie figuruje w artykule 2. Karty NZ: nic w jej treści nie może upoważniać ONZ do interweniowania w sprawy należące do wewnętrznej jurysdykcji jakiegokolwiek państwa członkowskiego.

Nic dziwnego, że „doktryna Annana” została, delikatnie mówiąc, chłodno przyjęta. Zachód oficjalnie jej sprzyja, chwali odwagę Annana, prywatnie jednak mówi o „fantazji”, o „sennym marzeniu Annana”, „pobożnym życzeniu”, nawet o „demagogii”. I jeszcze o „nieodpowiedzialności Annana”: przyrzekając rzeczy, których nie potrafi dokonać, jeszcze bardziej ograniczy wiarygodność ONZ. Z tego punktu widzenia, interwencja w Kosowie, mająca stanowić przykład nowego typu interwencjonizmu międzynarodowego, była także manifestacją hipokryzji: żadne z państw koalicji, która położyła kres czystce etnicznej w Kosowie, nie miała i nie ma zamiaru podjąć choćby próby zastosowania tego modelu gdzie indziej, np. w Czeczenii czy w Tybecie.

To właśnie tłumaczy dlaczego Rosja i Chiny natychmiast odrzuciły idee relatywizacji prawa *veto*: jego koniec czy choćby osłabienie oznaczałoby rezygnację z zasady jednomyślności „pięciu wielkich” w Radzie Bezpieczeństwa, najpoważniejszego instrumentu ich działania na terenie międzynarodowym. Równie kategoryczne „nie!” padło ze strony państw tzw. trzeciego świata, Afryki i Azji, np. tak znanego proroka demokracji praw człowieka jak prezydent Kongo, pan Laurent-Désiré Kabila. Są te państwa, na ogół krwawe satrapie, przeciwne z reguły jakiegokolwiek możliwości ingerencji w ich sprawy. Do ingerencji takiej, powiedział prezydent Algierii, Buteflika, „może dojść tylko za zgodą właściwego państwa”. Czyli nigdy. W Komisji Praw Człowieka ONZ wszystkie państwa azjatyckie głosowały przeciw wysłaniu ekipy śledczej na krwawiący właśnie wówczas wschodni Timor.

I wreszcie, to nieprzyjemne, ale takie jest życie, na drodze powszechności i wiarygodności „obowiązku ingerencji”, stoi *Realpolitik*, pojęcie, które obejmuje wiele rzeczy od prawdziwej bezszyfrowanej do prawdziwego cynizmu, a które można doprowadzić do formuły „dwie miary i dwie wagi”. Właśnie niedawno oglądaliśmy w telewizji jak królowa brytyjska obwoziła karetą po Londynie, a francuski prezydent rzucał różę pod nogi prezydenta Chin, patrona „laogai” czyli chińskiego gułagu. Albo jak wytłumaczyć ciągle zachodnie oczarowanie Fidelem Castro, który według obliczeń tego samego Revela, rozstrzelał czterokrotnie więcej ludzi niż Pinochet? Dlaczego na listopadowym szczycie OBWE w Istambule, Clinton musiał ostentacyjnie ścisnąć się z Jelcynem? Co można było, praktycznie biorąc, zrobić dla powstrzymania masakry Czeczenów przez samoloty rosyjskie? Rosja to nie Jugosławia, a Czeczenia to nie Kosowo. Inaczej, z żalem mówiąc, dwie miary stanowią (i, aż do odwołania, stanowić będą) część rzeczywistego funkcjonowania naszego świata i coś w rodzaju (na razie?) stałej normy stosunków międzynarodowych.

VI. Veto: anachronizm i pułapka

Program reform strukturalnych w ONZ tylko na pozór wydaje się łatwiejszy do przeprowadzenia. Np. budżet ONZ. Na pozór chodzi o statystykę i procenty. W istocie kwestia składek i budżetu odzwierciedla rozmaitego typu konflikty, np. wojnę między Kongresem USA i ONZ.

Że ONZ w Waszyngtonie nie lubią, że tej organizacji nie ufają (jeszcze z czasów osławionej prosowieckiej „maszynki do głosowania”), to nie rewelacja. Dopiero niedawno (w listopadzie 1999) udało się Clintonowi doprowadzić do kompromisu z republikańską większością w Kongresie i uzyskać zgodę na wpłacenie prawie miliarda dolarów z tytułu wieloletnich amerykańskich zaległości w składkach do ONZ. Tylko więc w ostatniej chwili USA uniknęły upokorzenia: gdyby tego miliarda nie wpłaciły to Waszyngton pozbawiony by został z dniem 1 stycznia 2000 prawa głosu w Zgromadzeniu Ogólnym.

Budżet ONZ sięga, jak już wiemy, ok. 1,5 miliarda do-

larów. 10 krajów pokrywa 3/4 tej kwoty. Najbiedniejsze kraje świata płacą po kilkanaście tysięcy dolarów rocznie. Chiny zaś, ponad miliardowe państwo w pełnym kapitalistycznym szwungu, uzbrojone w atomy i wysyłające statki w przestrzeń kosmiczną, pokrywają poniżej 1 procenta budżetu (mniej od Belgii). Czy ktoś sądzi, że ogromne Chiny albo większe lub mniejsze kraje „na drodze rozwoju”, choćby z tego budżetowego względu, sprzyjają i zaakceptują reformę, która by naturalnie musiała zakwestionować obecny, tak wygodny i ... tani, stan rzeczy?

Albo, żeby wrócić do najważniejszego, Rada Bezpieczeństwa i *veto* „pięciu wielkich”. Wykoncypowane przez Roosevelta, Churchilla i Stalina, *veto* to dziś prawdziwy anachronizm. I pułapka. Przecież wiadomo, że Chiny i Rosja nie zrezygnują z *veta* choćby dlatego, żeby uniemożliwić wszelkiej aluzji do ich „osiągnięć” i zapewnić sobie bezkarność w Czeczenii i w Tybecie, gdzie dzieją się rzeczy gorsze niż w Kosowie czy Timorze.

A skład Rady? To samo. Czy jednak jest taki odważny, który nie tylko zaproponuje, ale także będzie głosować za uzupełnieniem Rady o Niemcy (których nie chcą Włosi), Japonię (której nie chcą Chiny), Brazylię (której nie chce Argentyna), Indie (których nie chce naturalnie Pakistan) a i to nie koniec?

VII. Jak średniowieczny papież

Albo sekretarz generalny, kwestia jego uprawnień i możliwości działania? Jeden z obserwatorów, którzy śledzą ONZ na bieżąco, porównał te funkcje do pozycji papieża w średniowieczu. W jakimś sensie, powiada, jest on przywódcą świata. Równocześnie jednak jego władza jest praktycznie ograniczona: nie ma własnych sił zbrojnych (oddziały sił pokojowych są „wypożyczone”), jego „instytucja” składa się ze zwalczających się nawzajem „biskupów”, bardziej lojalnych wobec władców świeckich niż wobec autorytetu papieża, a jego rozdęty aparat, poprzez m.in. niezliczone „diecezje”, agencje i programy, żyje własnym, nie do skontrolowania, często przekupnym życiem, to wszystko nie licząc 1.700

NGO – angielski skrót organizacji pozarządowych, które przejmują często nie tylko fundusze, jakie normalnie powinny były trafić do ONZ, ale także po prostu, a często lepiej, jej funkcje.

Niektóre oficjalne „agencje” ONZ, jak np. Międzynarodowe Biuro Pracy czy Unia Telekomunikacyjna, uzasadniają swoją samodzielność powołując się np. na „starszeństwo” (obie są dawniejsze niż sama ONZ). Potężny prezes Banku Światowego Jim Wolfenson publicznie mówi o Kofi Annanie „to mój szef”, choć w istocie urzędnik ONZ, nawet najwyższy, ma mu niewiele do powiedzenia.

Jasne, pozycja sekretarza generalnego ONZ zależy w dużym stopniu od jego osobowości, charakteru, autorytetu, inteligencji, zdolności manewrowania itd. Biorąc to wszystko pod uwagę, ONZ miała tylko jednego naprawdę „wielkiego” sekretarza generalnego, Szweda, Daga Hammarskjölda. Poza nim, ONZ nie może się chwalić „jakością” swych kolejnych najwyższych urzędników. To, naturalnie, nie jest kwestia szczęścia, a logiki bieżących układów, stosunku sił, czy wprost interesów, a więc kompromisów między wielkimi.

Pod tym względem, pochodzący z Ghany, ale zasiedzieli w USA, aktualny szef aparatu ONZ nie stanowi wyjątku. Jak każdy z jego poprzedników, Kofi Annan na początku kadencji zadawał sobie pytanie: „Co ja mogę uczynić takiego, czego ktoś inny nie potrafił, albo nie potrafiłby?” I jak prawie każdy z nich, musi sobie, po prawie 3 latach (wybrany jest na 5), i licznych, niektórych nawet udanych próbach poskromienia giganta, odpowiedzieć: „Nic, albo niewiele”. Inaczej to formułując, tak jak jego poprzednicy, tak teraz Kofi Annan, wspomagany przez setki ekspertów, zastanawia się czy i jak można i należy tak zreformować ONZ aby odpowiadała nadziejom jakie towarzyszyły jej narodzinom. I on też ma niewiele do zaproponowania. To znaczy nawet ma, ale, jak to ktoś określił po jego „rewolucyjnej” mowie na otwarcie ostatniej (wrzesień 1999) sesji Zgromadzenia Ogólnego: „Kofi to marzyciel, on po prostu śni”.

Albowiem, może Kofi to Savonarola, ale jest ciągle „sekretarzem klubu” niezdolnym, to dobrze widać, do narzucenia czegokolwiek członkom tego „klubu”. „Gensek” ONZ nie może samodzielnie rozwiązać choćby najmniejszego ko-

mitetu. Nie może tym bardziej narzucić prawdziwych reform (choć ma kilka dobrych pomysłów), ani podjąć ważnych samodzielnych decyzji (na które go intelektualnie i strategicznie stać), jeżeli członkowie „klubu” są, a z reguły są, innego zdania. Albowiem, tak jak prawie wszyscy jego poprzednicy, generalny sekretarz Kofi Annan jest, tak się o nim mówi w Nowym Jorku, bardziej sekretarzem niż generałem. ONZ, powiadają, jest powszechną światową instytucją, która musi odzwierciedlać poglądy jej członków.

Inaczej mówiąc, i to jest wniosek zasadniczy, naprawdę ważne porażki, kompromitacje, i, co tu owijać w bawełnę, klęski ONZ można tylko w ograniczonym stopniu przypisywać osobie sekretarza generalnego. Główna wina leży zawsze po stronie państw członkowskich. To nie zły charakter Kofi Annana sprawił, że do interwencji w Kosowie mogło dojść tylko pod warunkiem ominięcia i pominięcia ONZ. Tak być musiało, albowiem rezolucja, która by taką interwencję umożliwiła i legitymizowała, nie miała żadnej szansy uzyskania jednomyślności pięciu wielkich w Radzie Bezpieczeństwa.

VIII. Reforma czy reformacja

Są dwie szkoły, obie, jak dotąd, właściwie nieprzetestowane, myślenia o reformach w ONZ. Pierwsza, wychodzi z założenia, że ONZ to nie jest gleba dla nastrojów rewolucyjnych, i że, wobec tego, tylko stopniowe podejście, krok po kroku, może przynieść rezultaty. Druga, proponuje „bing bang”, czyli terapię szokową, bez której żadna ważna reforma nie przejdzie przez rozmaite stopnie veta.

Kofi Annan jest w obu klasach. Jest u początku drogi. Jego poprzednik, były minister spraw zagranicznych Egiptu, frankofon, kopt, który towarzyszył Sadatowi w jego rewolucyjnej podróży do Jerozolimy, Butros Butros-Ghali, już wypił czarę do końca, jeżeli chodzi o treść i przed końcem, jeżeli chodzi o czas trwania, spędził bowiem w szklanym drapaczu chmur nad rzeką Hudson, tylko jedną, pięcioletnią (1991–1996) kadencję. Kofi Annan pisze na razie tylko (też nie sam zawsze) swoje przemówienia; Butros-Ghali już na-

piisał swoje wspomnienia. Nie jest to dokument rewelacyjny dla osób zorientowanych w problemach ONZ. Jest to natomiast znakomity przyczynek do poznania „Savonaroli”. Wspomnienia Butros-Ghalego to bowiem przede wszystkim historia jego konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi. Butros-Ghali, wychowany we francuskiej kulturze, prawdziwy arystokrata o nienagannych manierach, nie rozumiał Ameryki ani Amerykanów. Od początku nie był faworytem USA, nie chciał go ani Bush ani ówczesny sekretarz stanu Warren Christopher i właściwie został wybrany tylko dzięki temu, że Amerykanie niechętnie powstrzymali się od głosu w Radzie Bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że kontra Clintona i Madelaine Albright pozbawiła go drugiego mandatu. „Pan symbolizuje ONZ, a Kongres ONZ-u nie lubi”, powiedziała mu ówczesny ambasador a dzisiejszy sekretarz stanu. A ponieważ było już po zimnej wojnie i zostało, także w ONZ, na placu boju tylko jedno, równiejsze od innych supermocarstwo, to *Roma locuta, causa finita* ...

A przecież Butros-Ghali starał się bardzo być ze wszystkimi w zgodzie: z Afrykanami, bo go poparli, z Francuzami, z którymi się zgadzał, że świat powinien być nie jedno- a wielobiegunowy, z Arabami, no bo sam był z Egiptu, a także z ... Amerykanami, bo byli najpotężniejsi.

Ale Butros-Ghali popełniał także błędy. Np. bardzo nieostrożnie określił konflikt w Bośni jako „wojnę bogatych” po to aby podkreślić niesprawiedliwość świata, który angażuje środki i ludzi na Bałkanach a ignoruje zupełnie tragedie stokroć większe np. w Afryce. Pojechał do Sarajewa i powiedział bombardowanym Bośniakom, że on potrafi „wymienić inne miejsca na świecie, gdzie jest gorzej niż u nich”. Robił wrażenie, jakby nie odróżniał Serbów od ich ofiar. Butros jednak uważa, że padł ofiarą nie swoich błędów a arogancji USA, których polityka zagraniczna jest w niewoli polityki wewnętrznej. Powiada o Amerykanach: „Oni myślą, że jestem naiwny. Nie mogą uwierzyć, że ja po prostu bronię zasad”.

Brzmi to pięknie, prawda jest mniej prosta. W istocie bowiem Butros, doświadczony, ba, cwany dyplomata, nie potrafił się odnaleźć w gąszczu sprzeczności, jakie, w sprawie Bośni, ale także w sprawie reformy ONZ, dzieliły nie tylko

strony walczące, ale także Amerykę od Europy, a nawet państwa europejskie między nimi.

Stąd „Moje lata w szklanym domu” (tytuł jego wspomnień), wyrażają zarówno rozmaite akty dobrej woli i rozumu sekretarza generalnego, co i kolejne porażki jego własne i ONZ w ogóle. Włącznie z nieumiejętnością znalezienia wspólnego języka z panią Albright, którą określa dziś w książce (chyba jednak jej tego wprost nie powiedział), jako osobę „hałaśliwą, niezgrabną i otyłą”. Nic dziwnego: Butros uważa, że to ona, jak Nemezis, prześladowała go i „wylimi-nowała” z wyścigu po drugi mandat.

Książka Butrosa jest umiejętną i pouczającą kroniką kryzysów: Somalia, Haiti, Bośnia i Ruanda, Irak i Kambodża, nie mówiąc już o konflikcie arabsko-izraelskim. Jest również, choć mniej wyraźnie, kroniką prób reformy ONZ. Chciał jak najlepiej, ale w tym b... jakim był świat tuż po rozpadzie ZSSR, wśród rodzącej się nowego typu rywalizacji wschód-zachód i, zwłaszcza, północ-południe, i związanych z tym sprzeczności i rykoszetów w ONZ, niewiele mógł i potrafił zdziałać. Zamiast stać się, właśnie na fali pozimnowojennej, skutecznym instrumentem nowego porządku, Butros-Ghali i ONZ znaleźli się nie tyle w oku, co raczej na marginesie czy peryferii cyklonu. Zamiast zrozumieć, że najważniejszą, jeżeli nie jedyną reformą byłaby próba oddania siły w służbę sprawiedliwości pod firmą i kontrolą ONZ, Butros-Ghali dał się wyhamować, ugrzązł w sporach kompetencyjnych bez prawdziwej wizji wielkości.

Zdaniem Butrosa, jego książka opowiada o próbie budowania zgody wokół nowej, pozimnowojennej struktury międzynarodowego bezpieczeństwa i pokoju. W istocie, nie tylko nie podjął on takiej próby, ale w ogóle nie było i – na razie! – nie ma warunków do tworzenia takiej struktury. Butros-Ghali głosi, że „ONZ musi nadal być głosem najsłabszych narodów...”. Może i musi, ale nie jest. Zresztą, te najsłabsze narody nie są wcale zgodne co do tego kto, jakim głosem i jakie sprawy ma w ich imieniu wyrażać. Czy Kofi Annan potrafi inaczej i lepiej? Jak będzie, tylko przyszłość pokaże. Niezdolność papieża, tu wracamy do kościelnej metafory, do poskromienia nadużyć i swawoli w łonie ich instytucji, otworzyła drogę nie do reformy a do skrajnej

reformacji. Niewykluczone, że coś takiego nastąpi także w ONZ. Reformy ONZ, powiedział ktoś, dokonają nie jej przyjaciele, a tym mniej jej urzędnicy, a jej wrogowie.

Już po napisaniu tego artykułu, ONZ ogłosił bardzo samokrytyczny raport na temat błędów i zaniechań które w tej samej serii pozwoliły na ludobójstwo w Ruandzie.

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli 10 grudnia 1999

P.S. W listopadowej *Kulturze*, Krzysztof Wolicki zechciał udzielić mi lekcji demokracji. Wolicki cytuje moją uwagę zawartą we wrześniowym „Widziane z Brukseli” o ryzyku jakie może za sobą pociągnąć referendum na temat wejścia Polski do Unii Europejskiej. „Są decyzje, pisałem (to właśnie się Wolickiemu nie spodobało), które władza musi podejmować sama, na swój własny rachunek, jeśli jest przekonana, że służy, cokolwiek by oni nie sądzili, interesom obywateli i kraju. Po to właśnie władza została wybrana. Na zabobony nie ma racjonalnej riposty”.

Otóż Wolicki uważa, że riposta jest. I ją formułuje. Decyzje o integracji – informuje Wolicki – władza podejmuje nie na własny rachunek, a na rachunek kilku pokoleń Polaków. O historię – powiada – trzeba pytać lud, bo to on będzie za historię płacił, lub z niej czerpał profity. I, żeby mnie dobić, dodaje, że przed kilku laty podobnie protestowano przeciw referendum nad ustawą antyaborcyjną.

Przykład przywołany przez Wolickiego należy do kategorii samobójczych. Referendum można robić pod warunkiem minimalnej u pytanych Polaków znajomości rzeczy. Polacy obu płci znają sprawę aborcji, chodzi wszak o ich własne, choć rozmaicie przeżywane, osobiste doświadczenie. To nie państwo, a rodzice (lub tylko przyszła matka), i to na ich a nie na państwa rachunek, będą albo nie będą mieli, z wielu różnych względów, niechcianego dziecka. Tylko matka (lub także ojciec, jeżeli... go to interesuje), a nie władza czyli państwo, ani żadna inna instytucja, np. Kościół, powinna decydować o tym czy stać ją (ich) na powiększenie rodziny.

Zgadzam się, że fakt odwołania referendum o aborcji był krótkowzrocznym i koniunkturalnym skandalem. Ale Unia Europejska to nie zakład położniczy. Aby się na temat integracji wypowiedzieć nie wystarczy znajomość granic wytrzymałości budżetu domowego. 40.000 ustaw unijnych, tomy opracowań dotyczących dzisiejszych trudności i przyszłych korzyści z obecności w Unii i w euro, to lektura trudniejsza niż katechizm czy licealny podręcznik seksuologii. Odpowiedzialność za donoszenie dziecka ponosić powinni wyłącznie rodzice. Odpowiedzialność za obecność Polski w Europie ponosić powinien rząd i parlament. To oni zostali, przez tych samych Polaków, w których imieniu przemawia Wolicki, wybrani po to, aby brać się za bary, ale ze znajomością rzeczy, z tą historią, na którą się Wolicki z takim uporem powołuje.

Warto też sobie uświadomić, że do „normalnych” przeciwników wejścia do UE, na „nie” głosować będą wszyscy inni frustraci, przeciwnicy wszystkiego w ogóle, od podatków Balcerowicza aż po olimpiadę w Zakopanem, którzy w tym głosowaniu znajdą idealną okazję do wylania na rząd i historię całej kumulowanej przez lata żółci.

Francja, w podobnym (Maastricht) referendum, została w Europie tylko ułamkiem jednego procenta. Gdyby ten ułamek był w dół od zera, a nie w górę, Francja znalazłaby się poza Europą, a Europa bez Francji. Sytuacja, nie trzeba tego tłumaczyć, bardzo by się, po obu stronach, skomplikowała, ale i Francja, i Europa jakoś by to przeżyły, i, zresztą, niedługo zapewne połączyłyby się z powrotem. Gdyby Polska została poza Europą (niektórzy tutaj tego pragną), to Europa by przeżyła. Polska chyba też, ale jak Radek tłumaczył Stalinowi: *strany żalko* ...

L.U.

Wariacje kosowskie (II)

Do fortepianu podchodzi kulejąc staruszka, Katharina Wolpe. Publiczność zgromadzona tłumnie w Teatrze Narodowym w Prištinie, w absolutnym skupieniu wysłuchuje *Impromptu As-dur* Franciszka Schuberta. Narastające niskie dźwięki, coraz bardziej dynamiczne, przebijają się przez tony wysokie, tworząc nastrój niepokoju i dysharmonii. To nie jest dialog, lecz kłótnia w atmosferze pełnej nienawiści. Świat oszalał, bliźni złoczyńcy bliźniemu. Pianistka bezbłędnie odnajduje język, który pozwala jej przeniknąć do ludzi, świadoma, że to tam, na widowni, nie na scenie, skoncentrowany jest prawdziwy dramat. Powstaje niezwykle wrażenie, że jej gra jest tylko uważnym odczytywaniem muzycznej partytury zapisanej w emocjach osób siedzących na widowni. I nikt się jej nie przeciwstawi, gdy mocą całego swego kunsztu, desperacko i do końca będzie poszukiwać harmonii pomiędzy dwiema grupami dźwięków. Potem odejdzie kulejąc, niepokonana.

Katharina Wolpe miała sześć lat, gdy musiała uciekać z Wiednia przed faszystami. Szły z matką pieszo do Lublany, a potem do Szwajcarii, gdzie je brutalnie rozdzielono. Był 1938 rok. Ojciec odnalazł ją w obozie dopiero po dziesięciu latach. Teraz, na początku września 1999 roku, przyjechała do Prištiny, by poprowadzić klasę mistrzowską dla tutejszych studentów.

To wydarzenie w teatrze, w którym brała udział, nosiło nazwę „Powrót” (alb. *Kthimi*). W powojennym Kosowie wszystko jest powrotem: do domu, ziemi, życia. Do czego powraca Katharina Wolpe, przyjeżdżając tu po raz pierwszy?

Ci, którzy sami doświadczyli nienawiści i prześladowań ze strony innych ludzi, zawsze powracają wiedzeni poczuciem solidarności i wspólnoty losu, w jakimkolwiek miejscu na świecie by się nie znaleźli. Powracający znają „język” krainy, do której przybywają, zaskakując tym mieszkańców przekonanych, że nikt ich nie zrozumie. To dało się odczuć w teatrze. W dzisiejszej Prištinie Katherina Wolpe odnalazła siebie zagubioną w Wiedniu lat trzydziestych.

Powracam do Kosowa jak do własnego cienia, przed którym nie ma w Europie tego stulecia ucieczki. Moja łódź charonowa, to *jeep* z napisem KFOR, prowadzony przez polskich żołnierzy w czerwonych beretach, ciemnych okularach i z bronią automatyczną na kolanach. Pędzimy przez Macedonię w stronę przejścia granicznego w Blace. W obozie dla uchodźców w Stenkovacu nie ma już Albańczyków, pojawili się natomiast Serbowie i Cyganie. Na tle ciemnoniebieskiego pasma gór Sharrit i rudo-złotej trawy porastającej nieuprawiane pola, z daleka jest już widoczny wielokilometrowy sznur samochodów ciężarowych oczekujących na wjazd do Kosowa. Na samym przejściu panuje nieopisany charmider. W byłych domkach celnych, małych i bez wody, stacjonuje oddział polskich żołnierzy. Byli tu jeszcze przedstawiciele ONZ, ale jak tylko Albańczycy uruchomili w pobliżu fabrykę azbestu, zniknęli bez śladu. Widoczna stąd cementownia, choć nosi ślady ostrzału artyleryjskiego, też już pracuje i dymi. Macedończycy kilka dni temu wprowadzili cło, w rezultacie czego cała dolina po kosowskiej stronie wypełniła się setkami tirów, których kierowcy nie mają pieniędzy na opłaty. Każdej nocy dochodzi tam do strzelaniny, bo mafie ostrzą sobie apetyt na łatwą zdobycz. Major Klimaszewski właśnie wysłuchuje lamentu zdesperowanego Bułgara, któremu ukradziono kilka tysięcy kurcząt. Ruszamy. Pojawiła się szansa przedarcia przez całkowicie zakorkowaną wąską drogę. „Za dużo jest tu takich, którym się wydaje, że nie muszą stać w kolejce i to oni robią największy zator” – rzuca major i ponagla kierowcę, by nie bacząc na nic wjeżdżał w przygotowany przez żołnierzy wąski przesmyk. Przed nami szarżuje na motorze Amerykanka w mundurze oficerskim i goglach, wymijając wszystkich słalomem i wzbudzając

podziw u postronnych gapiów. „To oni potrafią” – zauważa zgryźliwie żołnierz z asysty – „ale jak poszliśmy na wspólny patrol w góry gdy zaginęli pasterze z owcami, to bez uprzedzenia zostawili nas samych, bo im się w tym miejscu strefa kończyła”.

Zatem jestem już w Kosowie. Pierwsza miejscowość przy granicy jeszcze do niedawna nazywała się oficjalnie General Janković, a teraz już Han Elezaj. Staram się zapamiętać, tak jak i to, że *mirdita* znaczy „dzień dobry”. Istnieje taka radość, która nigdy się nie uprzykrzy, radość pierwszego spojrzenia na nieznaną krainę. Po drugiej stronie przełęcz rozpościera się przed nami wspaniała dolina, gęsto porośnięta bukami, a dalej ciągną się ziemie, o które spierają się dwa narody, dowodząc, że stąd wywodzi się ich początek – jeden z najmniej znanych zakątków Europy.” Tak pisała Edith Durham w książce „Wysoka Albania” wydanej w 1909 roku. Swój *teskereh*, glect osmański pozwalający na podróż przez Kosowo, uzyskała po żmudnych dyplomatycznych zabiegach. „Nie chcemy tu żadnych giaurów [nie-muzułmanów]” – powtarzano jej często. Już sam jej wyzwolony strój i kobieca odwaga przynosiły powiew modernizmu, którego tak się tutaj obawiano. Chociaż działo się to tak dawno, Edith Durham pozostanie jedną z najważniejszych towarzyszek mej podróży.

I ja uległem radości, dość niezwyklej w tutejszym dramatycznym, powojennym pejzażu. Jej powodem nie było wszak pierwsze spojrzenie na nieznaną krainę. Radość wisiała tutaj w powietrzu. Jadąc drogą do Kačanika, pierwszego większego miasta od granicy, wszędzie widzę ludzi uwijających się przy odbudowie własnych domów. Jak grzyby po deszczu powstają nowe cegielnie. Przy budynkach, z których pozostały spalone i zbombardowane kikuty ruin, wyrastają nowe, ze świeżej cegły. Przy drodze pełno jest zaimprovizowanych straganów z papierosami, odzieżą, owocami i inną użytkową drobnicą. W kafejkach tłok i żywe dyskusje. Wielodzietne rodziny na przyczepach traktorów pozdrawiają podróżnych z uśmiechem. Dzieci składają palce w znak „Victorii”. Publiczność na skarpie stadionu w Kačaniku odwraca się i krzyczy za nami: „Polska, Polska!” Nie ma śladu tego marazmu, zniechęcenia i paralizującej wszystko rozpacz, które znam z Bośni. Tutaj wszystko zdaje się być dużo bardziej nakierowane ku przy-

szłości i poddane dynamice budowania, odrodzenia. „Gdybyś potrafił sobie wyobrazić – tłumaczył mi później Rexhep Ismajli – wiele lat życia w cieniu serbskiej policji, która jest wszędzie, żąda łapówek, wyrzuca z pracy, poniża, wsadza do aresztu pod byle pozorem; i gdybyś dalej potrafił sobie wyobrazić sytuację, w której pewnego dnia ten cień znika, tak naprawdę i być może definitywnie – wtedy łatwiej byłoby ci zrozumieć to uczucie uwolnienia, które stało się naszym udziałem, a razem z nim radości sprawiającej wrażenie czegoś niezwyklego po tym wszystkim, co wycierpieliśmy i bezpowrotnie utraciliśmy.” Na horyzoncie zarysował się kształt wymarzonego odrodzenia i choć bardzo, bardzo odległy, zdawał się być realny.

To odczucie jest w Kosowie dominujące, silniejsze od innych łatwo dostrzegalnych szczegółów mówiących o wojnie i jej okrucieństwie. Pod Kačanikiem tłum wieśniaków asystuje ekspertom międzynarodowym w ekshumacji zwłok z nowo odkrytego masowego grobu. W ogrodzonych siatką miejscach świeżo rozkopana, czerwono-brunatna ziemia, przykryta folią z wymalowanymi w różnych kolorach kwiatami – to mogiła bojowników UÇK. Nad rozległym płaskowyżem helikopter zniża lot próbując ewakuować rannego człowieka, który wpadł na minę. Wszędzie ruiny, leje po bombach, zerwane mosty, wraki porzuconych samochodów, martwe sztuki bydła, zgliszcza meczetów i cerkwi. Gdzieś toczą się jeszcze odwetowe akcje, gdzieś matka nie doczekała się powrotu syna, gdzieś czai się niepokój o to, czy zdąży się z budową domu przed nadejściem zimy, czy zdobędzie się opał, jaka władza tu przyjdzie, co będzie z Kosowem w przyszłości.

Wszystko to jednak pozostaje w tle toczącego się z wigo-rem życia, skoncentrowanego wzdłuż głównej drogi prowadzącej przez Kačanik, wylewającej się na centralne ulice miast, do dzielnic handlowych i kawiarni, aby swe kulminacyjne ujęcie znaleźć w samym centrum stolicy prowincji, Priştiny, na tamtejszym *corso*, ulicy zwanej już imieniem Matki Teresy, wieczorem przemieniającej się w wielki deptak, po którym w tę i z powrotem spacerują tysiące mieszkańców. Ta rzeka istnień ludzkich ocierających się o siebie i z rozkoszą zanurzających w tłumie, oświetlona nikłym światłem świec i pojedynczych lamp podłączonych do agregatora, ogłuszona

bałkańskim turbo-folkiem dobiegającym ze stanowisk sprzedawców kaset, jest rodzajem niezwykle, postwojennego transu terapeutycznego, w którym życie powraca do wspólnoty.

Nie od razu jednak dotrę do tego świętowania bycia razem w sercu Prištiny. Przyjdzie mi najpierw zboczyć z głównej drogi ku enklawom zamieszkiwanym przez tych, którzy boją się zejść w doliny i pokazać pośród innych na *čaršiji* (miejskim rynku).

W obozie 18 batalionu desantowo-szturmowego z Bielska-Białej operującego w ramach sił międzynarodowych KFOR w Kosowie i stacjonującego w rejonie Kačanika, tego dnia poruszenie. Patrol zarekwirował sporo sztuk broni i amunicji należącej do Serbów. Major Bąk, zastępca dowódcy, pokazuje mi daty produkcji wyryte na karabinach i nabojach – rok 1942, 1943... W pobliskich górach znajduje się enklawa kilkunastu wiosek zamieszkałych głównie przez ludność serbską. Mieszka ich tam około ośmiu i pół tysiąca, ale obecnie trzeba doliczyć jeszcze blisko tysiąc przybyszów z okolic Peci, Prizrenu i Uroševaca, uciekających przed albańskim odwetem. Wyruszam tam z kolejnym patrolem. Przed nami na horyzoncie wspaniały szczyt Luboten sięgający 1600 m. n.p.m. Wspinamy się w górę doliną rzeki Lepenicy. W wiosce Brodi spalona albańska szkoła i wiele domów zniszczonych. Dzieci muszą dojeżdżać do odległego o 25 kilometrów Ferizaja (Serbski Uroševac). Jest ich za dużo by mogli w tym pomóc nasi żołnierze. Pomagają natomiast dzieciom serbskim z okolicy dojeżdżać do ich szkoły w Štyrpcach. Następne wioski są serbskie: Drajkovce, Popovce, Gornja Bitinja. Pomiędzy nimi niewielka osada Poljojca, zamieszkała niegdyś przez Albańczyków, prawie doszczętnie zniszczona. Nikt tu z nich nie pozostał. Wspinamy się coraz wyżej. Po raz pierwszy widzę w Kosowie uprawianą w tym roku ziemię, porośniętą kukurydzą i fasolą. Jest pora wyrobu śliwownicy i od czasu do czasu spotykamy ludzi zaprzątniętych przy kociołkach zawieszonych nad potokami. Docieramy wreszcie do Sušic, wioski najbardziej oddalonej od świata, skąd rozpościera się już tylko widok na rozległą wysokogórską *planinę*. Tutaj znajduję się ostatni posterunek polskich żołnierzy

i zarazem najbardziej niebezpieczny. Był już kilkakrotnie ostrzeliwany przez partyzantów. Przed domem woźnego miejscowej szkoły, Radovana Stanojkovicia, gromadzą się mieszkańcy: jest jego 24-letnia żona z szóstką dzieci, sołtys – Aleksander Milenkovič, właściciel sklepu – Dobka Stanomirovič. Lubią tu polskich żołnierzy, nie tylko dlatego, że dzięki nim są bezpieczni, ale także za ludzką życzliwość i pomoc w życiu codziennym. Na kaprała Zielińskiego mówią „doktor Queen”, bo leczy ludzi, zszywa urwane palce, odbiera porody. Na ustawionej przed domem ławie pojawia się mocna turecka kawa i śliwowica. Zaczynamy rozmawiać. Wiedzą, że mój tłumacz jest Albańczykiem. Zapewniają go, że nie żywią żadnej do niego urazy; opowiadają o przyjaźni z albańskimi sąsiadami. Obecnie w wiosce żyje już tylko dwoje albańskich staruszków. Więc co się stało? Spuszczają wzrok i wruszają ramionami. „Milošević wszystkim jest winien” – rzuca sklepikarz. Robią miejsce dla matki sołtysa, ubranej na czarno i trzymającej za rękę wnuczka. „Płaczę tak, jak matki albańskie płaczą. Zabito mi siostrzeńca w Kačaniku. Tutaj, na *planinie*, żyliśmy jak w raju. Wychowywaliśmy się razem. Ja znam, tak jak wszyscy starsi Serbowie, język albański. Ale młodzi nie słuchali starszych, parli do wojny, lubili postrzelać. Moje dzieci mnie nie słuchały. Z nieuszanowania starszych zrodziła się ta nienawiść. A potem zrobiło się strasznie. Nie wiem co by z nami było, gdyby nie wasi żołnierze. Ale wiem też, jaki los spotkał Albańczyków. Modlę się, żeby ten wnuczek coś z tego zrozumiał”.

W Štyrpcach, siedzibie gminy, jestem umówiony z popem. Ojciec Arandziel jest znaną w tym regionie postacią i reprezentuje często miejscową społeczność serbską. Uczestniczy w negocjacjach razem z polskim kapelanem, Markiem Strzeleckim. Niewiele jeszcze wspólnie osiągnięto, a z pewnością sprawie pojednania przysłużyłaby się obecność w polskim wojsku również kapelana cerkwi prawosławnej. We wspólnych rozmowach nie chcą uczestniczyć Albańczycy uważając, że Serbowie mają „ręce umaczone we krwi”.

Zostaję przyjęty niezwykle gościnnie w ocienionym ogrodzie przy cerkwi, a ojciec Arandziel gotowy jest do długiej i poważnej dyskusji. „Mówimy słowa: jako w niebie tak i na ziemi (ręka czyni gest z góry w dół); oraz: pokój ludziom

dobrej woli (ręka przesuwana się z zachodu na wschód). Oto nasz krzyż. Powtarzamy słowa, lecz ich nie czynimy. Nie ma tego tutaj, w Kosowie. Musimy ze sobą rozmawiać jak brat z bratem. Jestem gotowy do rozmów z drugą stroną i tylko przez dialog możemy rozwiązać swoje problemy”. Mój tłumacz, Hamdi, jest zachwycony. „Żeby tylko każdy tutaj myślał tak jak on” – powtarza. Wiem, że słowa popa, jeżeli takie są wypowiedziane również wobec miejscowych Serbów, mogą uchodzić za odważne i znaczące. Wiem też, że nie uczynią żadnego przełomu w stosunkach z Albańczykami. Stwierdzenia o wojnie toczącej się między Miloševićem i albańskimi ekstremistami, w której obie strony były jednakowo winne, a zwykli ludzie najzwyczajniej niewinni, takie stwierdzenia nie mówią całej prawdy, starają się uczynić symetrycznym to, co jest asymetryczne i utrwalają jedynie pewien pozór sfalszowanej rzeczywistości.

Udajemy się razem do cerkwi pochodzącej z początku XVI wieku, choć jej fundamenty są starsze o dwa stulecia, a więc pochodzą z czasu kiedy serbscy władcy z dynastii Nemaniczków fundowali w Kosowie wspaniałe monasterie. „Cerkiew jest Chrystusa i narodu” – podkreśla mój rozmówca. Rozstajemy się na dziedzińcu świątyni, na którym łożoce serbska flaga narodowa z tzw. „czetnickim krzyżem”. Odchodzę z poczuciem, że najważniejszego sobie nie powiedzieliśmy i że ten dobry dyplomata jest również tego świadom. Widocznie istnieje jakaś prawda niewypowiedziana, która pozostanie milczeniem. A milczenie wypełnić można różnymi słowami, wręcz misterną grą pozorów, w które da się nawet uwierzyć.

Podczas powrotu do naszego posterunku, Hamdi błaga mnie, abysmy nie przechodzili obok baru, przy którym stoi grupka młodych mężczyzn. Elegancko ubrani, ogoleni, fryzury à la James Dean, ciemne okulary, w pobliżu niemieckie samochody. Jest już za późno, żeby się wycofać. Obserwują nas nienawistnie zza stolików zastawionych kuflami piwa. W miasteczku przez moment robi się cicho jak w westernie przed pojedynkiem rewolwerowców. „Ci to się zabawiali tutaj z «tygrysami» Arkana” – szepce tłumacz, gdyśmy już minęli to towarzystwo. Na asystujących nam żołnierzach nie zrobiło to żadnego wrażenia. „Muszą siedzieć cicho. Drogi i przejścia są zablokowane. W Ferizaju stacjonuje brygada UÇK.

Wiedzą, co by było, gdyby nie my.” Ja wiedziałem już o kim mówiła lamentująca matka z Sušic. Niewykluczone, że któryś z jej nieposlušnych synów był pośród tego towarzystwa.

Gdy Edith Durham przemierzała Kosowo w roku 1908, przeczuwała już jakie będą przyszłe losy tej krainy. Pewien Wołoch, u którego w *hanie* (gościńcu) pod Mitrovicą się zatrzymała, powiedział jej, że codziennie rano budzi się zaskoczony, że jeszcze panuje pokój. „Żyliśmy jak węże w dziurach i nagle teraz znaleźliśmy się na powierzchni w pełnym słońcu!” (...) Mitrovica, choć sprawia wrażenie spokojnej, jest w istocie hubką czekającą na iskrę.”

Durham, europejska chrześcijanka, mająca jak najgorsze mniemanie o islamie („jak dotąd nie dokonał niczego w Europie poza złem”), stara się racjonalnie i bez uprzedzeń oceniać sytuację. Nie ma złudzeń, co do stosunków narodowościowych. „Właściwa polityka Serbów i Albańczyków powinna ich jednoczyć i trzymać z dala od intruzów z Półwyspu Bałkańskiego. Ale to się nigdy nie stanie”. Poszukuje przyczyn tego stanu rzeczy. Jej przewodnik i przyjaciel, Marko, „najmilsza i najcenniejsza ze wszystkich dusz”, z którym porozumiewa się po serbsku, nie lubi Słowian (Shkia). Jego „instynkt plemienny, silniejszy od wszystkich ludzkich namiętności, zwycięża.” Tutaj się pamięta, że „krew jest gęstsza niż woda”.

Im więcej czasu spędza w tej krainie, z prawdziwie kobiecą dociekliwością i odwagą penetrując różne jej zakamarki, tym bardziej bezlitosne staje się jej spojrzenie. „Dokładne liczby są nieosiągalne, ale nie ma wątpliwości, co do podstawowych faktów. Równina kosowska jest teraz zamieszkała przez muzułmańskich Albańczyków. (...) Element serbski został tu prawie, jeśli nie całkowicie, wchłonięty i zdławiony. Toczyła się tutaj zasadnicza walka o istnienie i przetrwanie silniejszego w zgodzie z nieubłaganymi prawami natury, które mówią: ‘Nie ma miejsca dla was obu. Musisz zabić, albo zostaniesz zabity’. W duszy Albańczyka – prymitywnego człowieka z gór i równin – głęboko zakorzeniona jest wiara, że ziemia przynależy do niego od zawsze. Serb podbił go, rządził nim przez kilka stuleci, został przepędzony i nigdy nie powinien powrócić. Uczynił to tylko Serbowi, co ten uczynił jemu (...). Kosowo Pole jest albańskie.”

Przybywam tu po prawie stu latach i poświadczam prawdomówne i prorocze słowa tej szalonej „bałkańskiej Angielki”, jak ją tutaj nazywano. Jednocześnie coś się we mnie buntuje przed zbyt upraszczającym naturalizmem jej konstatacji, z czego również i ona zdaje sobie sprawę i bynajmniej na tym nie poprzestaje. Przywołuję jednak to jej spojrzenie, bo ma w sobie coś oczyszczającego i sprawia, że przejrzystsza staje się droga w głąb kosowskiego labiryntu.

Niesforne myślenie Edith nie przyczyniało jej sprzymierzeńców, za to do dzisiaj fermentuje. Zaproszona przez dyrektora serbskiego prawosławnego collegium w Prizrenie zastanawiała się nad sensem utrzymywania tak wielkiego i kosztownego przedsięwzięcia w „mieście muźulmańskich Albańczyków”: „...przyjęłam tę gościnność niechętnie, gdyż czułam, że tak daleko jak sięga Prizren i jego sąsiedztwo, sprawa była stracona, martwa i miniona – tak, jak Calais jest stracone dla Anglii i jak Normandia, do której Anglicy próżno zgłaszają pretensje... Mimo to mogę tylko podziwiać wyobraźnię Serbów, którzy będą ulegać nieziszczalnemu nadziejom i narażać życie dla idei”.

Do Priştiny przybywam któregoś późnego wieczoru. Ze Sşelzenem Maliqui umówiony jestem w lokalu o nazwie „Spaghetterija Tony”. Jest to miejsce, w którym zagraniczni dziennikarze, biznesmeni i politycy spotykają się ze swymi miejscowymi współpracownikami, gdzie zbiera się informacje i rozpusza plotki. Nie spodobałoby się tu Edith. Irytowali ją zagraniczni korespondenci i „polityczni turyści”, otoczeni informatorami tak szczerze, by nie byli w stanie niczego zobaczyć i by nie dopuścić do spotkań z niewłaściwymi ludźmi. „Będą myśleli, że dokonali czegoś bardzo odważnego i będą wysyłali natchnione raporty do francuskich gazet”. Jej podróż była wyprawą bazującą na bezpośrednim doświadczeniu, szukającą zrozumienia poprzez poznawanie różnych ras, języków i kultur. Jak tylko przyszedł Sşelzen przenieśliśmy się do kafany „Baqrem” (Akacja). Wystarczyło tu usiąść i czekać, a wszyscy, z którymi chciałem się spotkać, przychodzili. W mieście nie działała żadna łączność, ale „Baqrem” funkcjonowało lepiej niż telefon, czy poczta e-mailowa. To tutaj wieczorami rozmawiałem z Florinem, filozofem, który został żoł-

nierzem UČK. („Chciałbym się czuć zwycięzcą, ale to NATO zwyciężyło. Teraz chcę tylko jednego – niepodległości.”); z Fatmirem, który – po tym jak go razem z innymi Albańczykami wyrzucono z telewizji – założył w pobliżu sklepik odzieżowy, wysadzony przez Serbów w powietrze („Sto tysięcy niemieckich marek poszło z dymem, ale i tak jestem szczęśliwy”); z Ilirem Bajri, kompozytorem, który organizuje festiwal sztuki („Czuję, że w tym mieście zabrzmi jeszcze wielka muzyka”); z Rexepem Ismalji, językoznawcą, profesorem uniwersytetu, byłym członkiem władz partii Rugovy, więzionym i torturowanym, przekładającym literaturę serbską na albański i odwrotnie („Jedyna możliwość stabilizacji w tym regionie to niepodległe Kosowo. Każde inne rozwiązanie niesie więcej zagrożeń.” „Pozostawienie ludzi w sytuacji przymusu bycia ze sobą wzmacnia rewanżyzm albański. Gdyby wiedzieli, że mają Kosowo dla siebie, nie byłoby tylu gwałtów na Serbach. Kultura dialogu, to nie przymuszanie jednych do życia z drugimi.” „Nieszczęście Serbów polega na tym, że nie pozwolono im przegrać. Ciągłe udają zwycięzców. Nie mogą się odrodzić, bo do tego potrzeba *katharsis* kłeski.” „Boję się armii, która zdobywa władzę i przyjmuje postkomunistyczną opcję podsycaną z Albanii.”) To tutaj, w „Baqrem” otrzymuję od poetów i wydawców książki i pisma, zaproszenia na koncert Kathariny Wolpe i do pracowni rzeźby Agima Čavdarbaşy, teksty Vetona Surroi, nawołującego Albańczyków do powstrzymania się przed odwetem i Migjena Kelmendiego o traumie wygnania z miasta.

Tę noc spędzam w splądrowanym w czasie wojny domu Sşelzena, w bibliotece, w której świecą pustką miejsca po ukradzionych serbsko-chorwackich wydaniach dzieł Hegla i Szekspira. „Ostatnio na Bałkanach – słyszę w wyjaśnieniu – karierę robi pojęcie ‘charakteru szekspirowskiego’. Wszyscy – poczynając od Mirjany Marković, żony Miloševicia, a na watażkach wojennych i mafiozach kończąc, chcą uchodzić za bohaterów szekspirowskich.” Na szczęście ocalały wszystkie numery redagowanego przez mojego gospodarza pisma *MM*. Obszerne i pieczołowicie wydane stanowią doskonały przegląd naprawdę bogatego życia umysłowego i duchowego Albańczyków z Kosowa w ostatnich latach. Ale nie tylko. Sşelzenowi zawsze samego Kosowa było za mało. Dotąd spoty-

kaliśmy się w innych miejscach w Europie. Nie znosi ciasnoty. Jego naturalną przestrzenią kulturową była dawna Jugosławia. Jeszcze dwa lata temu był na tyle szalony, że zorganizował wyjazd artystów kosowskich na wystawę i wspólne dyskusje do Belgradu. Ostatnia to była taka eskapada i jedna z nielicznych w dziejach, za którą spadło na niego niemało szykan po powrocie do domu. Teraz jego myśli zwrócone są w inną stronę. Rozmawiamy o nowym piśmie mającym się nazywać *Ura* (Most). Ale to, co chce obecnie łączyć Szelzen, to są Albańczycy żyjący w różnych krajach: w Albanii, Macedonii i Kosowie. „Potrzebujemy silniejszej więzi kulturowej pomiędzy sobą i dlatego taki właśnie pomysł na pismo”. Podkreśla, że nie chce już mieć nic wspólnego z polityką, że chce się skoncentrować tylko na pracy kulturalnej, ale moje pytanie o to, czy ta idea ma przybrać także kształt integracji politycznej, pozostawia bez odpowiedzi.

Nigdy nie byłem w Jugosławii przed wojną. Próbowałem sobie tylko wyobrazić wspólne życie jej mieszkańców, zwłaszcza w prywatnych domach. Tam przecież, na tej małej, dzielonej razem przestrzeni, wszystko się koncentruje jak w soczewce. Mieszkam teraz na ostatnim piętrze bloku typowo socjalistycznego osiedla w Prištinie, w mieszkaniu Eqrema i Flutory Basha. Każdego dnia wspinając się obskurną klatką schodową bez windy na ósme piętro odczytuję tabliczki na drzwiach, dopytuję o losy sąsiadów, pozdrawiam albańskim „Mirdita”, ale nikt tu z nikim nie chce rozmawiać. Każdego wieczora dowiaduję się więcej o tym, co przeżyli w ostatnich latach moi przyjaciele i co tu tak naprawdę się wydarzyło. Zanim od wewnątrz zbuduję sobie obraz tego domu, pamięć przywołuje różne inne przestrzenie dzielone wspólnie przez ludzi różnych narodowości. Oto wąska kamienica w Nowym Jorku zamieszkała przez trzy rodziny. Ich losy mogłem sobie odtworzyć dzięki Tenement Museum powstałemu w dzielnicy Lower East Side. Chłopak z włoskiej rodziny Baldizzich z Sycylii usługiwał przy szabacie rodzinie Rogarszewskich przybyłej z Litwy. Jak się porozumiewali, skoro stary Abraham znał tylko jidisz? Jedna rodzina, to kilkoro dzieci, dwa pokoiki, kuchenka, jedno okno. Drzwi były otwarte. U Gumpertów, którzy przybyli ze Śląska, radio nadawało w języku

niemieckim. Listy Niemki dają świadectwo bezskutecznego poszukiwania męża, który prawdopodobnie popełnił samobójstwo ulegając powszechnej wówczas depresji spowodowanej kryzysem gospodarczym i bezrobociem. Przeplatały się modlitwy katolików, protestantów, Żydów, mieszały zapachy tradycyjnych kuchni. W roku 1926 pojawia się jedna ubikacja na dwadzieścia osób i woda... Jak to się stało, że nie zaczęli się wzajemnie zabijać?

W Sarajewie poznałem troszkę wspólne życie w pewnym wieźowcu nieopodal wzgórza Grbavica. Mieszkali tu kiedyś Jugosłowianie. Prowadzili świecki tryb życia i nie było w dobrym tonie podkreślać różnice ich dzielące. Nie mieli osobnych modlitw i obrządków, osobnych tożsamości narodowych. Ich kuchnia była mieszanką różnych tradycyjnych potraw, a więc wspólna. Aż któregoś dnia jeden z nich poszedł na serbską linię frontu, usadowił się na Grbavicy na cmentarzu żydowskim i rozpoczął ostrzał między innymi własnego domu. Wiedział kto gdzie mieszka i nagle wszyscy stali się różni. Gdy się tam pojawiłem, wśród domowników nie było już ani jednego Serba, Chorwaci nie odpowiadali na pytania, nie puszczali dzieci na podwórko, zamykali się szczelnie w swych mieszkaniach i z ostentacyjną wrogością odnosili do nowych lokatorów, Muzułmanów. Jedną z nich była moja gospodyni, Suada, żyjąca samotnie z córką. Gdy podczas oblężenia zginął jej mąż, sama przywdziała mundur i poszła walczyć. Teraz w strachu przemyka przez podwórko i klatkę do swego mieszkania, jakby w coś zawiniła.

Przyjęcie w domu Nino Żalicy, złożone z różnych tradycyjnych potraw bałkańskich, pomogli mu przygotować sąsiedzi. A wieczorem oprócz mnie zaczęli się schodzić: Dubravka z Zagrzebia, Slavenka z Belgradu, Nena z Sarajewa, młode małżeństwo ze Skopje, Čolo z Vojvodiny. Śpiewali pieśni po macedońsku i w ladino, sarajewskie sevdalinki, przeboje Balaševicia... Znali je wszyscy. Płakali. Byli jak jedna rodzina. Tyle, że nie działo się to w którymś z zakątków byłej Jugosławii, lecz na zimnym, wielokulturowym osiedlu Amsterdamu.

W rzeczywistości zupełnie czymś innym jest życie tych emigrantów końca XX wieku od życia ich poprzedników zamieszkujących przed stuleciem kamienice Lower East Side.

Tamto było kuźnią nowego świata, budowaniem wspaniałego Nowego Amsterdamu. To jest ledwie nostalgiczną widokówką wysłaną na adres nigdy do końca niezrealizowanej i bezpowrotnie utraconej przeszłości i do tego wysłaną ze starego Amsterdamu, przypadkowego miejsca, które nie ma wiele do zaoferowania poza przystosowaniem się do raczej ustabilizowanego już życia w społeczeństwie dobrobytu. Co innego taka na przykład Priština w dzisiejszym Kosowie. Ci, którzy tam pozostali, albo właśnie przybyli, znaleźli się na nowo w wąskiej kamienicy końca stulecia, w której trzeba kształtować od początku nieznaną przyszłość. I to jest to, co staram się dosłyszeć mieszkając wspólnie z rodziną Eqrema Bashy.

Rozpocznijmy tę opowieść od momentu, gdy policja serbska wyгнаła ich z domu, dając kilka minut na spakowanie rzeczy. To było w marcu, na samym początku wojny. Do swego samochodu zabrali jeszcze dwie znajome kobiety. I tak, ze swym pospiesznie upchanym dobytkiem życiowym – pakowali, co wydawało się najważniejsze, bo nie wiedzieli czy jeszcze powrócą – nieludzko ściśnięci, spędzili na granicy z Macedonią siedem dni w oczekiwaniu na najgorsze. Potem kazano im wracać. Ich dom w Prištinie zmienił się przez te kilka dni nie do poznania.

Mieszkali w nim od samego początku jego istnienia, od dwudziestu lat. I od samego początku z pięcioma rodzinami serbskimi. Zachodzili do siebie na kawę. Coś rzeczywiście pękło w roku 1991, gdy rozpętał się miłoševiciowski system represji, a Albańczycy zeszli do podziemia. Gdy byłem w Mitrowicy, tym kosowskim Mostarze, opowiadano mi, że właśnie od tego czasu rzeka Ibar zaczęła dzielić nieodwołalnie dwa narody – Albańczycy z północy dogadywali się z Serbami z południa i zamieniali na mieszkania; powstała też osobna romska *mahala* (dzielnica). W domu Eqrema w stosunkach z sąsiadami pozostało jedynie chłodne „dzień dobry” i brak jakichkolwiek innych kontaktów.

A potem, gdy powrócili z krótkiego wygnania, pod nimi mieszkali już uzbrojeni „ludzie Arkana”, a na samym dole utworzono biura milicji serbskiej. Rozafa, starsza córka, kończąca właśnie wydział architektury, zaprosiła mnie na balkon. Zbliżała się północ, a o tej porze każdej nocy nad pozbawioną

światła Prištiną pojawiał się helikopter z silnym szperaczem świetlnym lustrującym teren miasta. „Chciałeś, żebym ci opowiedziała coś o swym domu. Jak ten warkoczający potwór nas oświecili, to spojrzysz w dół. Okna byłych pomieszczeń policji wychodzą na taki betonowy korytarz. Tam każdej nocy spędzano mężczyzn, bito ich kijami i torturowano. Nie mogłam spać. A rano wodą splukiwano krew.”

Pozostawanie dłużej w tym domu stawało się niebezpieczne. Rodzice zdecydowali po trzech dniach, że wyślą swoje córki, Rozafę i Doruntinę ryzykownym, jednym z ostatnich pociągów do Macedonii. Sami postanowili ukrywać się w mieszkaniu. Podczas nalotów nie mogli schodzić do piwnicy, bo tam byli sami Serbowie. Pierwsze trzy tygodnie drzemali tylko, w ubraniu i w butach, gotowi na wszystko. Potem powrócili do piżam, łóżka... wszystko znormalniało. Jedyne te kroki... Flutora zrywa się i zaczyna oddawać zbliżające się odgłosy butów na pustej klatce schodowej. „Kroki na schodach w nocy głośniejsze były od bomb!” Na zewnątrz wychodziła tylko ona – pokazuje jak się przemykała i ukrywała, że jest Albanką. Inaczej w piekarni nie dostałaby chleba.

Gdy wojna się skończyła, w ich domu nie pozostał ani jeden Serb. W ich miejsce przyszli uchodźcy, głównie ze wsi.

Dla licealistki Doruntiny kwestia współżycia z Serbami jest niemalże abstrakcyjną. W odróżnieniu od Rozafy, która jeszcze w dzieciństwie i początkowo w szkole miała pośród nich koleżanki i kolegów, Dori dorastała w środowisku wyłącznie albańskim. Tym bardziej jest niezwykła historia, którą mi o sobie opowiedziała któregoś wieczoru. Dori jest postpe-symistką, czyli uczestniczką bardzo ciekawego ruchu licealistów z różnych krajów, zainicjowanego w 1994 roku przez młodego Albańczyka na pewnym spotkaniu organizacji pozarządowych w Norwegii. „Postpe-symista nie może być wstydlivy i obojętny, musi być otwarty, twórczy, zaangażowany”. Mówiąc to Dori pokazuje mi zdjęcia i materiały z tego, co już zrobili: połączone z koncertami manifestacje przeciwko AIDS i narkotykom; opieka nad dziećmi uchodźców z Drenicy i wystawa rysunków przedstawiających ich domy rodzinne; docieranie do obozów uchodźców i spisywanie przeżyć ich rówieśników. Teraz każdego dnia przeprowadza wywiady

do ankiety o Prištinie przed i po wojnie. „Chodzi o to – tłumaczy – że po wojnie wraz z tymi nowymi ludźmi, którzy również w naszym domu zamieszkali, pojawiły się nowe obyczaje, brud, okropny turbo-folk, zdeptujące się w bałaganie tłumy na naszym *corso*. Chcemy na to zareagować, zapytać o to, jakie chcielibyśmy aby było nasze miasto.” Zapytałem ją, czy chciałaby aby w tym mieście pozostali Serbowie, aby było to również ich miasto, Dori, jak to już jest w charakterze tej znacznie ponad swój wiek dojrzałej dziewczynki, nie zbyła tego pytania byle czym. Opowiedziała mi historię o tym, jak tuż przed wybuchem wojny dołączyła do nich grupa dwudziestu serbskich postpesymistów. Mieli kilka wspólnych dyskusji, ale nic z tego nie wyszło. Każdy pozostawał przy swoich racjach. Za mało było czasu, by dokonał się choćby niewielki przełom. Gdy wybuchła wojna, lider tej serbskiej grupy został zmobilizowany i chodził po Prištinie w mundurze serbskiej policji. Po wojnie, jako jeden z nielicznych, nie wyjechał, jest po ochroną KFOR. A potem powiedziała coś, co omal bym przeoczył! „Spotkaliśmy się ostatnio i... podałam mu rękę”. Powiedziała to szybko i lakonicznie, ale ja już domyślałem się ile ją to kosztowało i co chce mi przez to powiedzieć. Stanęli naprzeciwko siebie w Prištinie, w obecności innych, i to musiało z pewnością trwać długą chwilę. Mali się znali, nigdy się ze sobą nie bawili, nie chodzili razem do szkoły, nie spotykali się na dyskotecę, ale dużo, bardzo dużo o sobie wiedzieli. Przeżyli wojnę. I wtedy Dori – ta mała albańska dziewczynka o mądrych i zmęczonych oczach, zaciskając wargi w walce z nikim innym, tylko z sobą samą, z własną dumą i uprzedzeniami, przełamując nienawiść zaledwie w chwilę po tym, jak razem ze wszystkimi swoimi bliskimi doświadczyła tyle poniżenia i bólu – wyciągnęła rękę. Żeby to uczynić trzeba było być prawdziwym postpesymistą.

Zauważyłem, że Rozi w tych dniach czyta książkę Danilo Kiša. Opowiadałem jej wcześniej o nim, ale miałem wątpliwości, czy do niej trafi. Jeszcze dla jej ojca to był pisarz pokoleniowy. Wystarczyło jednak zaledwie parę lat, aby dla dzieci byłych Jugosłowian Kiš stał się postacią zupełnie z innej planety. Rozi już nie wie, co to znaczy wspólne dziedzictwo kulturowe. Gdy wchodziła w okres dojrzewania, jej

ojca wyrzucono z pracy, a ją samą, razem z innymi studentami i profesorami, z uniwersytetu. Odtąd siadała w kucki w różnych improwizowanych pomieszczeniach i notowała wykłady na kolanie, wiedząc równie dobrze kim jest, jak i kto jest jej wrogiem. Nigdy nie miała szansy odczucia wspólnoty z czymś innym poza kulturą albańską. Odniosłem wrażenie, że lektura Kiša może mieć dla niej podobne znaczenie jak dla mnie – dorastającego w homogenicznej kulturze PRL-u – pierwsza lektura Miłosza, Vincenza czy Stempowskiego: odkrywała zupełnie nieznane lądy, które są blisko, tuż pod powierzchnią, i zapraszają do podróży.

„Mówienie teraz o wielokulturowym Kosowie jest zwykłą hipokryzją” – mówi Pascal Delpeche zamykając okno od strony ulicy Matki Teresy, byśmy mogli spokojnie rozmawiać. Była żona Danilo Kiša pełni teraz funkcję kogoś w rodzaju ministra kultury w administracji Bernarda Kouchnera, zarządzającego prowincją z ramienia społeczności międzynarodowej. W jej mieszkaniu jest jeszcze z nami Migjen Kelmendi. Rozmawiamy o jego przekładzie opowiadań Kiša na język albański, który właśnie ma się ukazać drukiem. Pascal mówi, że prawie każdego dnia odwozi do granicy z Jugosławią jedną rodzinę serbską. Tymczasem Kiš powraca i to dzięki Migjenowi, który jeszcze parę miesięcy temu znajdował się w wielotysięcznym tłumie Albańczyków przepędzanych jak bydło przez ulice Prištiny do pociągu, który miał ich deportować w nieznane. Opowiada nam, że tym, co najtrudniej mu będzie zapomnieć z tych strasznych dni, jest obojętność z jaką serbscy mieszkańcy miasta przypatrywali się ich męce i ponizeniu. A jak tylko powrócił, zabrał się za przekład z języka serbskiego utworów człowieka, który bezbłędnie odczytywał partyturę jego wewnętrznego dramatu. Danilo Kiš, cudem ocalały ze straszliwych pogromów ludności żydowskiej w Wojwodinie czasu drugiej wojny światowej, powracał do Kosowa tak, jak powracała Katherina Wolpe – mocą wspólnoty losu. I tak jak ona znał od zawsze „język” tej krainy, w której nigdy w rzeczywistości nie był.

Krzysztof CZYŻEWSKI

Energia – wyzwanie XXI wieku

Świat potrzebuje energii, gdyż dostęp do niej jest warunkiem rozwoju gospodarczego każdego kraju, a korzystanie z energii odzwierciedla poziom życia jego mieszkańców. Niestety, energia jest udostępniana mieszkańcom świata w sposób nierównomierny, a więc wielce niesprawiedliwy. Mieszkańcy krajów rozwijających się, którzy stanowią 80% ludności świata, wykorzystują zaledwie 25% światowej energii, co znaczy, że zużywają średnio 12 razy mniej energii niż mieszkańcy krajów rozwiniętych. Szczególnie drastyczne jest porównanie krańcowych przypadków. Mieszkaniec USA lub Kanady zużywa 100 razy więcej energii niż mieszkaniec Kenii, a prawie 200 razy więcej energii niż Nigeryjczyk. Rzesze mieszkańców Ziemi nie mają w ogóle dostępu do energii komercyjnej i korzystają z biomasy, a więc drewna, resztek upraw i odchodów zwierzęcych. Mieszkańcy wiosek Afryki Subsaharyjskiej poświęcają kilka godzin dziennie na zbieranie opału w promieniu kilkunastu lub więcej kilometrów, żeby móc spożyć ciepły posiłek. Prawie miliard ludzi jest niedożywionych a rocznie 3 miliony dzieci umiera z głodu. Energia jest potrzebna nie tylko do wytwarzania żywności, ale także do jej transportu i przechowywania, co jest szczególnie ważne w tropikalnych, ubogich krajach rozwijających się.

Problem bardziej sprawiedliwego rozdziału energii jest pogłębiany przez dramatyczny przyrost ludności świata. W 1900 roku było nas 1,7 mld, ostatnio dowiedzieliśmy się o narodzinach sześciomiliardowego obywatela kuli ziemskiej, jak z tego widać, w ciągu 100 lat liczba ludności wzrosła pra-

wie czterokrotnie. Przyrost naturalny jest znacznie większy w krajach rozwijających się niż w krajach rozwiniętych. Obecnie, jak powiedziałem, ludność krajów rozwijających się stanowi 80% ogółu mieszkańców Ziemi. Prognozy demograficzne przewidują, że w 2020 r. będzie ona stanowić 86% a według scenariusza średniego wzrostu, w 2100 r. osiągnie 93%. Nie możemy negować dążenia wszystkich mieszkańców świata do osiągnięcia godziwego standardu życia, a w takim razie w końcu XXI stulecia produkcja energii musi być wielokrotnie większa niż obecnie.

Jakie są zasoby energetyczne świata? Jeżeli wydobycie poszczególnych surowców energetycznych będzie się utrzymywać na obecnym poziomie, to udokumentowane zasoby węgla wystarczą na 270 lat, ropy naftowej na 50 lat, gazu ziemnego na 60 lat, a rozszczepialnego uranu 235 na 85 lat.

Słyszysz się głosy, że sposobem na niedobór energii są akcje jej poszanowania. Oszczędzać energię mogą te kraje, które mają jej dużo i które stać na wprowadzenie drogich, energooszczędnych technologii. Jeżeli energii się nie ma, to nie ma czego oszczędzać! Akcje poszanowania energii doprowadziły w krajach rozwiniętych do stabilizacji, a nawet zmniejszenia całkowitego jej zużycia. Nie dotyczy to jednak zapotrzebowania na energię elektryczną, które na całym świecie rośnie w tempie ok. 2% rocznie. Jest to spowodowane słusznym przekonaniem, że energia elektryczna jest najbardziej wartościową postacią energii finalnej, a więc energii wykorzystywanej bezpośrednio przez konsumentów. Energię elektryczną można łatwo przesyłać i z dużą wydajnością przetwarzać na formy użytkowe: ciepło, światło i ruch mechaniczny. Najważniejszą jednak jej zaletą jest brak szkodliwego wpływu na środowisko naturalne. Jest to najbardziej proekologiczna postać energii. Tymczasem jedna trzecia mieszkańców Ziemi nie ma do niej dostępu. Żeby zaopatrzyć ludność świata w energię elektryczną musimy budować nowe elektrownie. Obawiam się, że w krajach Trzeciego Świata będą to przede wszystkim elektrownie węglowe. W krajach tych, w miarę wyczerpywania się dostępnej biomasy, będą wykorzystywane inne, najbardziej dostępne, a więc najtańsze źródła energii. Pułapka nędzy, w jakiej te kraje się znajdują, nie pozwala myśleć dalekosiężnie i podejmować kosztownych działań mających na względzie

dobro całej ludzkości. Zasoby węgla są największe, a więc węgiel będzie tańszy od innych paliw węglowodorowych – od ropy i gazu ziemnego. Będzie więc spalany i to bez ograniczania emisji substancji dewastujących środowisko. Trujący dwutlenek siarki, tlenki azotu tworzące rakotwórcze związki i pyły będą niszczyły biosferę, a nieunikniona emisja dwutlenku węgla doprowadzi do trudno przewidywalnych, ale katastrofalnych dla wielkich obszarów kuli ziemskiej, skutków efektu cieplarnianego.

Często słyszy się, że panaceum na głód energetyczny świata będzie wykorzystanie odnawialnych źródeł energii: hydroenergii, energii wiatru, pływów i fal morskich, lub też bezpośredniej zmiany strumienia promieniowania słonecznego na energię elektryczną. Oczywiście zarówno te jak i inne źródła energii odnawialnej należy rozwijać i stosować gdzie się tylko da i w najbardziej wydajny sposób, ale nie jest to niestety szybka i tania droga ratowania świata. Nie jest to też droga bardzo bezpieczna, o czym w przypadku hydroenergetyki świadczą zabójcze katastrofy wywoływane zrywaniem się zapór wodnych. Hydroenergia, która jest obecnie największym źródłem energii odnawialnej, pokrywa zaledwie 5% światowego zapotrzebowania na energię, a wobec rosnących potrzeb nie przewiduje się żeby w 2020 r. jej udział przekroczył 10%.

Realną alternatywą dla ponurej perspektywy dewastacji biosfery przez spalanie węgla są różne formy wykorzystania energii jądrowej. Jest to rozwiązanie dalekosiężne, gdyż zasoby paliwa jądrowego wystarczą na setki tysięcy lat, jeżeli będą we właściwy sposób wykorzystywane. Co prawda stosowanego obecnie, rozszczepialnego uranu 235 wystarczyłoby na kilkadziesiąt lat, ale kolejnym etapem energetyki jądrowej będą tzw. reaktory powielające lub skojarzone z akceleratorami cząstek wzmacniacze energii. W tych urządzeniach może być wykorzystywany głównie izotop uranu 238, którego jest 140 razy więcej niż uranu 235, lub tor 232, którego zawartość w skorupie ziemskiej jest 3,5 razy większa od zawartości uranu.

Warto w tej chwili pozwolić sobie na krótką dygresję. Przeciętny węgiel zawiera jedną część na milion uranu i dwie części na milion toru. W Polsce spalamy rocznie 120 mln ton

węgla, a więc około 100 ton uranu i 200 ton toru ulatuje z kominów w postaci pyłów lub dostaje się na składowiska popiołów. Otóż gdyby się komuś chciało i opłaciło te ilości uranu i toru wydzielić z węgla, a następnie zużyć w powielających reaktorach jądrowych, to otrzymałby 8 razy więcej energii niż ze spalania całej masy węgla, w którym to paliwo jądrowe było zawarte.

Trzecim etapem rozwoju energetyki jądrowej jest wykorzystanie wysokotemperaturowej fuzji lekkich jąder. Są to izotopy wodoru: deuter i tryt oraz hel 3. Olbrzymie trudności techniczne odsuwają w czasie wykorzystanie tej drogi pozyskiwania energii, ale jej opanowanie spowoduje, że przestaniemy się martwić brakiem energii. W wodzie, a więc w oceanach, jeden atom deuteru przypada na 6700 atomów zwykłego wodoru, wobec czego energia z fuzji termojądrowej deuteru zawartego w litrze wody odpowiada energii otrzymanej ze spalania 300 litrów benzyny. Trytu i helu 3 też nam nie zabraknie. Tryt można wytwarzać w reakcjach jądrowych z litu, którego jest pod dostatkiem w skorupie ziemskiej, a hel 3 powstaje z rozpadu promieniotwórczego trytu lub może być dostarczany z kopalni na Księżycu, gdzie przyniesiony ze Słońca w „wietrze słonecznym” jest wiązany przez tytan w powierzchniowej warstwie srebrnego globu.

Największym problemem energetyki jądrowej jest uzyskanie dla niej społecznej akceptacji. W ustroju demokratycznym władze państwowe są wybierane przez społeczeństwo i są przed wyborcami odpowiedzialne. Wobec tego w sprawach ważnych dla rozwoju kraju muszą brać pod uwagę opinię ludności. Nieliczenie się z opinią publiczną narzuca władze na presję społeczną w postaci demonstracji, które mogą przybierać drastyczne formy. W Polsce przykładami ilustrującymi ten problem były: likwidacja budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu, kontrowersje wokół budowy masztu radiowego w Gubinie, budowa tamy w Czorsztynie (która *nota bene* w 1997 roku uratowała przed powodzią znaczne obszary Polski), czy też lokalizacja składowiska odpadów radioaktywnych.

W dzisiejszym świecie, w którym decyzje o kierunkach rozwoju powinny opierać się na naukowych podstawach, rozsądek nakazuje obranie drogi wskazanej przez ekspertów,

a tymczasem presja ze strony nieorientowanego lub wprowadzonego w błąd społeczeństwa zmusza do rezygnacji z właściwej drogi. Na podejmowanie decyzji ma wpływ wiele czynników, m.in. krótkotrwałość zajmowanych stanowisk, a w związku z tym zabiegi o wynik kolejnych wyborów, ataki ze strony rywalizujących partii opozycyjnych, a także niezdolność rozróżnienia między merytorycznie poprawnymi i tendencyjnymi ekspertyzami. Na szczególną uwagę zasługuje rola goniących za sensacją środków masowego przekazu, których nieodpowiedzialne informacje i komentarze pogłębiają bezradność społeczeństwa i uniemożliwiają wyrobienie sobie rozsądnej opinii oraz rozbudzają opór przeciwko decyzjom podejmowanym przez władzę.

Energetyka jądrowa jest dziedziną, w której demagogiczne wystąpienia łatwo wzbudzają emocje i prowadzą do różnych form protestu podejmowanych przez ludzi odczuwających lęk przed nieznanym i obawiających się wmawianych im zagrożeń.

Lęk przed energetyką jądrową występuje niemal na całym świecie. Jest to zjawisko irracjonalne, o charakterze zbiorowej psychozy i dlatego tak trudno je wyeliminować. Jedną z przyczyn tego lęku jest fałszywie pojmowany związek między dobroczynną cywilną energetyką jądrową i groźnym militarnym wykorzystaniem energii jądrowej, którego należy się obawiać i przeciw któremu należy występować. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wyniki badań naukowych nie podlegają ocenie etycznej. Kryterium ich wartości jest prawda. Zło tkwi w nas samych i to my możemy wykorzystać wyniki naukowe dla dobra, ale także na zgubę ludzkości.

Trudną lecz jedyną drogą, która w warunkach demokracji wiedzie do podejmowania mądrych decyzji jest edukacja społeczeństwa i jego przedstawicieli. Niezbędna jest mądra popularyzacja wyników badań naukowych. Podjąć się jej muszą czołowi uczeni świata. Z ich grona powinni się wyłonić niezależni, rzetelni i kompetentni popularyzatorzy, którzy przekonają społeczeństwa, że tylko nauka pozwoli znaleźć odpowiedź na wyzwania stwarzane przez bezprecedensowy rozwój cywilizacji.

Na zakończenie moich uwag o przyszłości energetyki świata chciałbym podkreślić, że kontrowersje wokół ener-

tyki jądrowej błędą wobec problemu osiągnięcia przyzwoitego standardu życia przez wszystkich mieszkańców Ziemi. O tym jak trudno będzie ten problem rozwiązać, niech świadczy fakt, że w 50 krajach, w ciągu ostatnich 15-20 lat zamiast się zwiększyć, zmniejszyło się zużycie energii na jednego mieszkańca. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, jakim wyzwaniem dla świata są miliardy biednych ludzi, z poczuciem krzywdy i zdesperowanych. Jak podatny jest to grunt dla wszelkiego rodzaju fundamentalistycznych ideologii i haseł. Jak łatwo na tym gruncie zamiast miłości bliźniego może wzrastać nienawiść i żądza odwetu. Widzimy to codziennie na ekranach naszych telewizorów. A przecież w mijającym stuleciu ludzkość osiągnęła zdolność samozagłady. Obyśmy w następnym stuleciu do niej nie doprowadzili. Szkoda byłoby zniszczyć wspaniały eksperyment Przyrody, jakim było powstanie życia na Ziemi i pojawienie się człowieka obdarzonego świadomością.

Andrzej HRYNKIEWICZ

Klub Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego

W Krakowie powstał Klub Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego. Założycielami są: Jan Antoń, działacz ludowy z Podhala; Jacek Baluch, sławista, b. Ambasador RP w Pradze; Ks. Adam Boniecki, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*; Tadeusz Bujnicki, historyk literatury; Ewa Drzyzga, dziennikarz radiowy; Krzysztof Goerlich, b. wiceprezydent m. Krakowa; Zbigniew Hołda, prawnik, członek Komitetu Helsińskiego; Stefan Jurczak, działacz „Solidarności”, b. Przewodniczący Regionu, senator; Jacek Majchrowski, prawnik, historyk polityki, b. wojewoda krakowski; Włodzimierz Mokry, b. poseł OKP, ukrainista, prezes Fundacji św. Włodzimierza; Jan Ostrowski, historyk sztuki, dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, wiceprzewodniczący Sejmiku Małopolskiego; Jerzy Pomianowski, rusycysta, publicysta, tłumacz; Andrzej Romanowski, historyk literatury, redaktor *TP*, Adam Szostkiewicz, dziennikarz, publicysta; Jan Widacki, prawnik, b. Ambasador RP w Wilnie; Andrzej Zięba, prawnik, politolog.

Zebranie założycielskie odbyło się w dniu 9 grudnia 1999 r. Wybrano 3-osobowy Komitet Założycielski w składzie: Jan Widacki, Włodzimierz Mokry, Andrzej Romanowski.

Podajemy tekst deklaracji programowej Klubu:

Powojenna polska myśl polityczna wiele zawdzięcza niewielkiemu środowisku skupionemu wokół paryskiej *Kultury* a zwłaszcza Jerzemu Giedroycowi, Juliuszowi Miero-

szewskiemu i Józefowi Łobodowskiemu. Środowisko to, działając w warunkach emigracyjnych tamtych czasów, w opozycji do wielu środowisk polskiej emigracji a tym bardziej do oficjalnej polityki PRL-u, dokonało przełomu w polskim myśleniu o dawnych Kresach i o wschodnich sąsiadach: Litwinach, Białorusinach, Ukraińcach...

Podzielając poglądy tego środowiska na przyszłość Polski, uważamy, że zależeć będzie ona także od tego, jak ułożymy sobie z nimi współzycie.

Przez ostatnie 10 lat niepodległej Rzeczypospolitej polskie elity nie rozwinęły tej myśli, ani też nie stworzyły żadnej innej spójnej doktryny, która mogłaby stać się podstawą polskiej polityki wschodniej.

Tworzenie takiej doktryny jest zadaniem pilnym, bowiem w środowiskach politycznych w Polsce przestano uprawiać myśl polityczną, a bieżąca taktyka i gra polityczna zastąpiły pracę nad wytyczaniem dalekosiężnych celów. W kreowaniu polityki wschodniej coraz dobitniej do głosu dochodzi ksenofobia i nacjonalizm, które w dalszej perspektywie są dla Polski w najwyższym stopniu szkodliwe.

Słuszny akces Polski do NATO i Unii Europejskiej nie powinien przyjąć odgradzaniu się Polski od wschodnich sąsiadów. Podzielamy pogląd Jerzego Giedroycia, że Polska tym bardziej będzie liczyła się na Zachodzie, im lepsze będzie miała stosunki ze Wschodem. Polsce potrzeba zatem wizji polityki wschodniej zakrojonej na XXI wiek.

Zakładając Klub Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszewskiego chcemy współdziałać w tworzeniu tej wizji.

Chcemy stworzyć klimat ponadpartyjnego porozumienia i społecznego poparcia dla dzieła rozumienia naszych sąsiadów i pojednania się z nimi. Ciesząc się z dialogu prowadzonego z Niemcami i Żydami, chcemy rozwijać dialog z opiniotwórczymi środowiskami Ukrainy, Białorusi, Litwy i Rosji.

Chcemy dialogu z mniejszościami narodowymi w Polsce i polską mniejszością za wschodnią granicą.

Zapraszamy do dyskusji i współpracy różne środowiska polskie, które również widzą potrzebę zbudowania trwałych

podstaw partnerskiej współpracy w tym regionie Europy. Chcemy rozmawiać nie tylko o polityce, ale także o kulturze i historii, o mitach, stereotypach i uprzedzeniach.

Na drodze wytyczonej przez środowisko *Kultury* chcemy zrobić krok dalej.

Jesteśmy przekonani, że w ten sposób możemy wnieść własny, polski wkład w dzieło jednoczącej się Europy.

Zapraszamy do udziału w pracach Naszego Klubu.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Obecność w prawach i celach

Stanisław Brzozowski pisze ten „Pamiętnik” w ostatnich kilku miesiącach i tygodniach życia. „Śmierć może czekać lata, ale potencyjnie, *in idea* stoi za ramieniem”. Nie czekała, każdy dzień był już darowany. Autor „Kultury i życia”, „Legendy Młodej Polski”, „Idei”, „Płomieni”, dziesiątka jeszcze książeczek pomniejszych oraz setek artykułów i recenzji, ma wówczas 32 lata. Idzie mu, jak dawniej mawiano, na 33. Dzisiaj byłby człowiekiem młodym – ambitnym literackim debiutantem lub obiecującym humanistycznym doktorantem. Pisarski i myślowy urobek tego aspiranta jest więc wyjątkowy. Wobec norm współczesnych, ale i zeszłowiecznych. Myśliciele niemieccy czy francuscy jego generacji przemierzali systematycznie szczeble uniwersyteckich karier. Stanisław Brzozowski nie został profesorem, nie skończył też żadnego uniwersytetu. Właściwie nawet na nim nie studiował. Rok kursu matematyczno-przyrodniczego miał najwyżej znaczenie propedeutyczne. Humanistyka na zrusyfikowanym uniwersytecie warszawskim była zła i przez Polaków bojkotowana. Autor tego „Pamiętnika” był autodyktą literackim, filozoficznym, lingwistycznym, kulturologicznym. Wbrew wszystkim uprzykrzonym znamionom (lektury, lektury, lektury bez końca) nie był tylko samoukiem intelektualnym. Był samoukiem integralnym.

Jak rachować, a raczej szacować wiek człowieka, który umiera? Rachować jest łatwo, służą do tego metryka i arytmetyka: 33, 66, 99. Ale jak czas ten szacować? Czy ostatnie miesiące życia człowieka młodego, który wie, że umiera i musi uporać się z życiem niespełnionym, są równoważne

ostatnim chwilom sytego swych dzieł starca, do którego śmierć przychodzi nagle i bezboleśnie? Nie ma żadnych miar takich doświadczeń i żadnych skal takich zrównań. Nie są też one naprawdę do niczego potrzebne. Jak wyraz twarzy nie przesądza o stanie ducha, tak liczba lat o wadze doświadczenia. Stanisław Brzozowski w swoim młodym, śmiertelnym wieku był człowiekiem wyjątkowo doświadczonym. Był wyjątkowo doświadczony intelektualnie, moralnie i kulturalnie. Wielozłoty splot tych doświadczeń był jego osobistym i historycznym zarazem dramatem. Autor „Pamiętnika” mógł przez dramat ten zostać intelektualnie rozbity, moralnie złamany, kulturalnie zniszczony. Stawił mu jednak mężnie czoła, a z całego tego splotu uczuł pulsujące źródło twórczości.

Jego wyjątkowe doświadczenie intelektualne nie polegało na imponującym zakresie lektur i prac własnych. I nie na błyskawicznym tempie umysłowego rozwoju. Z „Filozofii czynu”, „Kultury i życia”, „Prolegomenów filozofii pracy” można było wydobyć i rozwinąć normalne dzieła filozoficzne służące akademickim egzegezom. Ale on szedł po szczytach i zanim druk obsechł na jednym programie, już pisał następny. Nie wymieniał tych programów i ich nie porzucał, jak mu urągliwie wytykano. On je stale obrabiał i pogłębiał – kierunek był ciągle ten sam, bo i dramat był ten sam. Kierunek ten jest drogowskazem intelektualnym „Pamiętnika”, a „Pamiętnik” niezbitym świadectwem dramatu. Przyrodnicze fundamenty bytu, założone przez ewolucjonizm naturalistyczny zostały zdruzgotane, a byt ten okazał się tylko ludzką wizją świata. „Czy człowiek może sobie sam wystarczyć? Czy sobie wystarcza? – pyta Brzozowski w „pascalskim punkcie” swych rozmyślań. Intensyfikacja tego dramatycznego rozpoznania wymagała zawziętego schodzenia w głąb zamiast ekstensywnego zagarniania powierzchni. Stanisław Brzozowski był bezwzględnie krytyczny w tej eksploatacji – wobec siebie i innych. Niektóre jego ujemne opinie należałoby odrzucić, gdyby nie były pomocnikami samooceny. On wiedział naprawdę na czym polega kryzys współczesny, ujmował go w podstawach i tam się z nim zmagał. Gdyby pozostał na powierzchni, byłby tylko, jak Przybyszewski, objawem tego kryzysu.

Był też człowiekiem wyjątkowo doświadczonym moralnie. Co znaczy takie doświadczenie i jak je oszacować? Kto żyjąc osiąga dojrzałość, więc staje się osobą, nabywa wyjątkowych, niezbywalnie osobistych doświadczeń moralnych. Brzozowski ma obsesję rodziny i rodziców, zwłaszcza matki, o której napisał tutaj zdania tak dotkliwe, że pierwsi wydawcy je pominęli. Czy zdania te są sprawiedliwe? Nie! – jest to, jak sądzę, oczywiste. Zdania te bowiem mogą być prawdziwe, ale nie są sprawiedliwe. Matka Stanisława Brzozowskiego mogła mieć i zapewne miała te cechy, którymi syna dręczyła i którymi syn zdręczał się do śmierci. Ale na pewno nie miała tylko tych cech i nie do nich sprowadzała się jej osobowość. W najmocniejszych związkach uczuciowych o niesprawiedliwość najłatwiej. Jest ona powodowana przez taki zrost pragnień, uniesień i odrzuceń, jaki nigdy się nie powtarza. Każdy z nas zrosty takie nosi w sobie i sam sobie z nimi radzi. Jak więc można twierdzić, że ktoś jest wyjątkowo doświadczony moralnie, skoro każdy jest zasadniczo podobnie, choć na swój sposób, doświadczony? Przesądza o tym świadomość, samowiedza moralna.

Brzozowski ma ostrą świadomość moralną, jest własną samowiedzą. Ponieważ nie może i nią chce zapomnieć swego błędu, grzechu czy upadku. Jest osobistą tajemnicą każdego z nas, jak sobie radzi ze swoimi upadkami. Piśmiennictwo powszechne, od Biblii począwszy, to wyczerpujący katalog takich wybiegów, skłamań, wyznań i oczyszczeń. Autor „Wirów”, „Płomieni”, „Samego wśród ludzi”, „Książki o starej kobiecie” zużył belę papieru, aby swój błąd, grzech czy upadek, wyjaśnić. „Płomienie” mają tłumaczyć jego „szczerę” i pełne „wylania” zeznania przed carskim sędzią śledczym (w roku 1898, w sprawie Towarzystwa Oświatowego, gdy miał lat 20), „nie jako błąd, lecz jako cenny, dodatni w danych stosunkach proces myślowy”. Inne utwory prozaiczne Brzozowskiego pozostają w związku z tym tłumaczeniem. Można wyjaśnić taki błąd, jako cenny politycznie, ideologicznie, nawet kulturalnie i Brzozowski w swoich utworach robi to całkiem przekonująco. W zmaganiach z tym błędem wychowuje, formuje samego siebie. Jakieś jednak poza tłumaczeniami i poza osiągnięciami pozostaje moralne *irreductible quid*. I Brzozowski dobrze o tym wie. Przekonywał się o tym

przez całe życie wypełnione bezwzględną pracą nad sobą. To jest jego „troska codzienna”, „źródło natchnienia albo przynajmniej drogocennej strugi krwi w tym natchnieniu”. Czuje się jej puls w każdej głosie „Pamiętnika”.

Dziś wiemy, że zeznania te nie były ważne. Sprawę rozpracowano wcześniej dzięki większej wylewności kolegów i przebiegłości śledczych. Wiedza to jednak rzeczywiście historyczna, zatem doskonale spóźniona. Nie mogła ona zmienić samooceny Brzozowskiego, nie mogła też wpłynąć na tych, którzy ten błąd przeciw niemu rozgrywali. Nie mogła zwłaszcza powstrzymać tych, którzy dali wiarę zabójczemu oskarżeniu Bakaja. Wiosną 1908 roku bowiem Stanisław Brzozowski, u szczytu swych prac twórczych został jawnie oskarżony o tajną, płatną współpracę z „ochroną” czyli carską policją polityczną. Oskarżenie takie podówczas oznaczało wyrok śmierci. Kraj był właściwie okupowany, a sposobiono się już do niepodległości. Społeczeństwo przeżywało klęskę rewolucyjno-powstańczego zrywu, ale przenikała je gęsta sieć różnych konspiracji. W kulturze polskiej pisarza uznawano za proroka i przewodnika, oddawano mu „rząd dusz”. Poza duszami zresztą nie bardzo było czym rządzić, bo władza była w rękach obcych. Stanisław Brzozowski nie tylko taką rolę pisarstwa ewokował, ale i sobie ją przypisywał. Oskarżenie autora „Filozofii romantyzmu polskiego” o najgorszy rodzaj zdrady narodowej musiało spowodować kulturalny kataklizm.

Gazety prześcigały się w kolportowaniu oskarżenia, pismacy w potwarzach, a egzekutywy polityczne pławiły się w szpiegomani. Niektórzy wybitni pisarze milczeli wymownie, zapominając o grzechu zaniechania. Garstka obrońców to garstka przyjaciół – stanęli oni dzielnie przy oskarżonym, ale nie byli w stanie przeważać szali. Temida została oślepią – Brzozowski dobijany przez kolejne *epeisodiony* swej tragedii umiera oskarżony, ale nie oczyszczony. Oskarżenie to ciąży na nim do dzisiaj, a na oczyszczenie jest już właściwie za późno. Sto lat prawie – w pamiętnikach, wspomnieniach i napomknieniach, w prasowych insynuacjach i agenturalnych denuncjacjach, w archiwach krajowych i światowych poszukiwano dowodów jego winy. Zbiorowy trans hipnotyczny w jaki wpadli politycy i mężowie stanu, literaci i dziennikarze, a także historycy i szperacze, powinien być osobno badany

jako zjawisko psychologii tłumu. Stanisław Brzozowski był bowiem niewinny. Był tak niewinny, jak to wiedział i jak to oświadczał: „W obecnym oskarżeniu nie ma ani słowa prawdy”.

Trzeźwość umysłu i odwagę serca zachowali nieliczni. To Ostap Ortwin i Karol Irzykowski oświadczyli: „Niewinność jest tu założeniem”. Założeniem natomiast politycznym, a potem historycznym było założenie odwrotne, którego nawet nie trzeba było uzasadniać. Brzozowski jest winien, trzeba tylko ustalić stopień tej winy. Oskarżenie zrodzone na kolanie przekręconego carskiego żandarma, podchwyczone przez zatrutego policyjną mentalnością demaskatora, zostało kupione przez polskich zawodowych konspiratorów i pochłonięte przez odurzoną opinię. Agregacja tego oskarżenia – wpręgnięcie w nie kolejnych trybów i przyspieszanie przez nie całego mechanizmu – winna być podręcznikowym przykładem socjopolitycznym: tak właśnie produkuje się absurdalną historyczną faktyczność. Przykład ten dzisiaj powinien być studiowany ze szczególną uwagą. Żaden wzięty z klasycznego zeszlowieczonego wokabularza termin – fetyszycacja, alienacja, reifikacja – prawdy prostej nie zmienia. Stanisław Brzozowski był przez ten agregat zabijany za życia i niszczonej po śmierci. Nigdy i nigdzie nie znaleziono żadnych dowodów jego winy.

To właśnie nazywam jego wyjątkowym doświadczeniem kulturalnym. Kultura w jej elementarnym, całkowitym pojmowaniu, to zakorzenienie, zadomowienie, bezpieczeństwo. Wrastamy w nią niepostrzeżenie – przez bliskość uczuciową, sprawność cielesną, rytuały wzajemności. Zadomowienie budują artykulacja języka i symbolika religijna. Potem przychodzi oświecenie, narodowe i powszechne: „Bogurodzica”, mity greckie, „Pan Tadeusz”, „Makbet”. Skądinąd wiadomo, że „Księgi królewskie”, cykl tebański czy „Kroniki historyczne” są obrazami szlachtuza, ale nikt tej wiedzy nie odnosi do siebie. Nawet jeśli inteligentnie rozprawia o kompleksie Edypa. Naprawdę czujemy się bezpieczni – gestowi odpowiada gest, dźwiękowi słowo, symbole są przejrzyste, a normy wdrożone. Oczywiście, zdarzają się nieporozumienia, nawet konflikty – asymetrie gestów, bulgoty języka, zniewalanie symboli, łamanie norm. Konflikty takie zazwyczaj są przemienne – jak w gestach i słowach, to nie w symbolach

i normach. Podążając chwiejną kładką życia zawsze mamy jakieś poręcze, których da się trzymać. Nasze doświadczenie kulturalne, nawet konfliktowe i dramatyczne, pozostaje częściowe. Żywią się nim literatura, sztuka, humanistyka, nauka. Zwykle w określonej dziedzinie – semiotyki gestu, semantyki języka, hermeneutyki symboli, socjologii norm. W każdym okienku gmachu wiedzy inne załatwia się problemy. I każdy czymś tam zostaje – lingwistą, logikiem, psychologiem, socjologiem. Spotyka się też etyków i religioznawców.

Wyjątkowość doświadczenia kulturalnego Stanisława Brzozowskiego polegała na tym, że było ono całkowite, a nie częściowe. Pozbawiano go sukcesywnie i radykalnie zakorzenienia, zadomowienia, bezpieczeństwa. Jego historia rodzinna to wykorzenienie ze wszystkimi drastycznymi skutkami, obsesyjnie wspomnianymi w „Pamiętniku”. Jego biografia osobista, to nasilająca się bezdomność, która kreacją intelektualną ma zostać zniesiona: domem w myślach i dziełach. Jego „sprawa” to ostateczna utrata bezpieczeństwa – słowa i normy nie znaczą już tego samego, tym bardziej gesty i symbole. Odbierano mu głos, usuwano z miejsca pracy, cofano prawo istnienia. Są to określenia graniczne i dlatego przesadne. Trzeba pamiętać jednak, że na ostatek był już tylko jeden wydawca, dwóch czy trzech przyjaciół, garstka zwolenników. Autor „Samego wśród ludzi” znalazł się naprawdę na granicy, poza nią była już tylko śmierć – obywatelska, moralna, fizyczna. W tym wielożyłowym splocie ekstremalnych doświadczeń odkrył jednak pulsujące źródło twórczości. Głosu nie dał sobie odebrać – postawił go. Miejsce pracy wytwarzał swoją pracą. Na granicy nie tylko założył, ale i uwiecznił swoje istnienie.

Jak to było możliwe? Jak to osiągnął? Czemu to zawdzięczał? – oto pytania zdumionych. Prosto mówiąc – zawdzięczał to przyjęciu swojej sytuacji. Najpierw jeszcze ją odrzucał, potem z nią walczył, wreszcie stanął w jej prawdzie. We „Współczesnej powieści i krytyce”, „Płomieniach”, „Legendzie Młodej Polski”, publicystyce i listach, widać walkę Brzozowskiego w tych dziedzinach, z których go eliminowano: literackiej, krytycznej, politycznej. Główne partie „Idei”, „Głosów wśród nocy”, przedmowę do pism kardynała

Newmana, w zwłaszcza „Pamiętnik” pisze człowiek, który walkę tę porzucił. Nie dlatego, że zrozumiał, iż kapturowy wyrok jest losem, z którym walkę się przegrywa. Dlatego natomiast, że pojął i przyjął, iż myśleć i pisać istotnie można tylko tam, gdzie takie wyroki nie sięgają. Tam gdzie społeczno-historyczne fatum nie jest doświadczane, lecz może być badane. Autor tego „Pamiętnika” nie zabiega już o miejsce w żadnym z okienek gigantycznego gmachu wiedzy i kultury. Nie walczy o prawo głosu w nim – on bada prawa istnienia samego tego gmachu. Chce być „direct w metafizyce” – mówić wprost z wnętrza bytu.

„Pamiętnik” ten, w pierwszym czytaniu zdaje się być antologią opinii krytycznych: literackich, filozoficznych, kulturologicznych, nawet politologicznych. Autor, kiedy decyduje się go pisać, jest obezwładniony chorobą i skazany na czytanie. Ludzi, poza najbliższymi, żoną i córką, właściwie przy nim już nie ma. Rzecz dzieje się na przedmieściu Florencji, gdzie rodacy bywają rzadko, a przed kontaktem są ostrzegani. Ten, który od dzieciństwa był pozeraczem książek, a potem zadziwiał czytelników kaskadami swoich wielojęzycznych lektur, nie ma już niczego poza drukiem: kół dyskusyjnych, zespołów redakcyjnych, audytoriów wykładowych. Toteż jeśli nie pisze, to czyta, lub rozmyśla o czytaniu. Każda prawie z tych głos rozpoczyna się od księgowego impulsu: Meredith, Hugo, Bradley, Renan, Sainte-Beuve, Taine, Uspienski, Swinburne, Coleridge, Keats, Shelley, Dostojewski, Mickiewicz, Blake, Newman. Piętnaście nazwisk z pierwszych piętnastu stron – przeciętnie jedno na stronę, czasem cała litania. Nie jest to jednak żadna artystowska mozaika ani intelektualny kalejdoskop. W tej liście nie ma przypadków, jak nie jest nim wyraźna dominacja autorów angielskich. Ostatnie bowiem eseje Brzozowskiego były „O znaczeniu wychowawczym literatury angielskiej”.

Dobór tych refleksyjnych okazji, zarówno dodatnich, jak ujemnych, jest metodyczny. Kontrolowany przedmiotowo oraz regulowany podmiotowo. Przedmiotowo dominuje, jak widać, literatura angielska. „Kultura jest tu pojmowana nie jako proces intelektualny, dokonywany nad właściwym życiem, lecz jako tworzenie i przetwarzanie człowieka” – pisał we wspomnianym eseju. Idea podmiotowa jest jasna,

wyraźnie wielokroć wysławiana – „uchwycić osobistość poza przedmiotem”. Dla samouka nie jest to zadanie ani łatwe, ani małe. Literatura, filozofia, historia, mają swoją specyfikę rodzajową i swoje techniczne właściwości. Tego przede wszystkim uczy się na uniwersytetach i to jest główny temat akademickich rozpraw. Osobliwości i stosunki wzajemne poezji, krytyki, filozofii, historii są też ważnym wątkiem teoretycznym „Pamiętnika”. Najważniejsze są jednak wyrażające się w dziełach, gatunkach i epokach kulturalnych (klasycyzm, oświecenie, romantyzm): „formacja psychiczna”, „etyczne jądro”, „krystalizacja osoby”. W krytyce bowiem, będącej szczególnie świadomym sposobem czytania, idzie naprawdę o bliźnich obcowanie. Mam czuć, że „żyje we mnie Sokrates”, „Platon jest zmysłowo obecny”, a Szekspir „żywą i ludzką postacią”. Ponieważ, ostatecznie, chodzi o to, aby współtworzyć „konstruktywne życie ludzkości”. A dokonuje się tego przez „dźwiganie kultury osobistej”.

Co jednak znaczy „konstruktywne życie ludzkości”, jeśli nie ma być technokratycznym frazesem? Jak wpisuje się w nie „kultura osobista” nie będąca snobistycznym polem? I dlaczego też mamy wznosić jedno przez drugie, to znaczy ludzkość przez siebie, a siebie przez ludzkość? Prawdę mówiąc dlatego, że nic innego nie istnieje, a cokolwiek istnieje, osiąga istnienie tylko w tym wzajemnym wsparciu. Dokładniej – nie istnieje nic takiego, co wykracza poza naszą wiedzę i doświadczenie, a granice ich są granicami naszego świata. Trafiamy w splot słoneczny Brzozowskiego wizji świata, a raczej postawy kulturalnej. Ponieważ nie chodziło mu wcale o rozstrzygnięcie teoretyczne, tę lub tamtą podręcznikową filozofię. Chodziło o praktyczne, nawet afektywne, czyli uczuciowe czynniki naszego bycia w świecie, a świata w byciu. Zawsze to czy odrzucamy, przyjmujemy, nawet kochamy nasze życie codzienne jest osnową, jeśli nie wątkiem rektyfikowanych filozofii. Stąd „ciche triumfy szlifierstwa” w spinozjańskiej „Etyce”, „całe życie ludzkości przedstawione w układzie myśli Hegła”, „a right moral state of heart” Newmana. Nie idzie jednak tylko o zawsze zajmującą krytyka, twórczość jednostkową. Przykłady indywidualne, nawet genialne, są tylko przykładem.

Fundamentalnie, ontologicznie czy też pierwobytnie

chodzi o twórczość gatunkową. To ona bowiem zapewnia istnienie temu światu, który jest naszym światem. Byt, w którym twórczość ta się ostaje jest niewysłowioną tajemnicą. Tu jest nasz świat, z bytu tego wydobyty i nam znany, bo przez nas stwarzany. Tam byt, który jest „materią naszego obowiązku”, „możliwym x i niczym więcej”. Trzeba sobie wyobrazić tę ziemię dźwiganą przez tytana, jakim jest cały gatunek ludzki. Udźwigiem tym jest ona zawieszona w pascalowskich przerażających, nieskończonych przestrzeniach. Nie tylko ludzkość, każda formacja religijna, naród, grupa, osoba, mają swój udział w tym udźwigu. Europa, która stworzyła postawę „zainteresowania bezwzględne w świecie” ma udział przemożny. „Growth of English Mind” to „lekcja pogładowa” tego, jak „zbudowana jest dusza ludzkości”. Proza rosyjska – „mowa dorosłych ludzi”, „stronice tak przyspieszające bieg wewnętrznego istnienia”. Przejścia od ontologii do kulturologii są u Brzozowskiego widoczne i zrozumiałe. A jego kulturologia jest zawsze psychologią. Każdy otóż impuls zmysłów, każdy akt uczuć, każda operacja umysłu, zawieszenie naszego świata wspomaga lub osłabia. Dlatego bez należytej „kultury osobistej” nie ma „konstruktywnego życia ludzkości”.

Wskazuję zwięźle genezę tej wizji świata, choć geneza nie przesądza o istocie. Jej zarodek jest już obecny we wczesnych doświadczeniach intelektualnych Stanisława Brzozowskiego, z których pamiętnym są „Myśli” Błażeja Pascala. Lektury dwóch innych pisarzy myślicieli, Dostojewskiego i Nietzschego były lekturami spełnionymi. Więc takimi, które wyrabiały wizję świata. Nie ma jednak lektur tak spełnionych, jeśli nie ma takich potrzeb. Brzozowskiemu potrzebę tę stworzyło podwójne załamanie: tradycjonalizmu i progresizmu, albo kreacjonizmu i ewolucjonizmu. W nowoczesnej Europie progresizm zmagają się z tradycjonalizmem od kilku stuleci. W wieku XIX jest to wojna otwarta na wielu frontach: kosmologii i biologii, psychologii i socjologii, etyki i epistemologii. W naszych czasach, zauważmy, ubocznie wojna ta została odnowiona przez starcie „socjalizmu naukowego” z „fideizmem”. Skądś tam dolatują jeszcze odgłosy walki ewolucjonizmu z kreacjonizmem i odwrotnie. Brzozowski dojrzał osobowo i umysłowo w apogeum tego konfliktu,

był też neurotycznie wrażliwym jego organem. Konflikt ten nie dokonywał się tylko w jego lekturach czy poglądach. Urzeczywistniał się w nim.

Tradycjonalistycznie świat jest dany, ponieważ jest dziełem stwórcy. Nie tylko świat, także jego ład, nadany w tym samym akcie stworzenia, sakralny, przeto nienaruszalny. Krecjonizm jest więc zwolennikiem tradycjonalizmu, a inwolucja czyli powrót świata do swego stwórcy prawem nadrzędnym. Tradycjonalizm będący czymś więcej niż wizją świata, bo postawą praktyczną mógł wyrażać się w różnych ideach konserwatywnych, w wieku XIX głównie owocnych. Tradycjonalizm polski tamtego czasu był raczej instynktowny, niż intelektualny. Nie wydał wielkich myślicieli, ale wydał wielkiego pisarza. Był nim Henryk Sienkiewicz, pałący problem krytyczny Stanisława Brzozowskiego. Tradycjonalizm nasz był tym mocniejszy, im silniejsze były wszystkie polityczne, religijne i ekonomiczne zagrożenia tradycji rodzimej. Jego ostoją były „białe ściany polskiego domu”, ziemiańskiego, najlepiej kresowego dworku. W życiu autora „Wirów”, pochodzącego z ukraińskiej szlachty, wszystko to zostało zdruzgotane: żadnych „białych ścian”, nie tylko dworku, nawet domu. Taki świat nie może być dany, jego ład nadany, a zwłaszcza nienaruszalny. Tradycjonalizm nie jest tu już możliwy, bo nawet na tradycję miejsca nie ma: „każdy przytułek przeszłości jest więzieniem”. Zostają odstręczające obrazy własnej rodziny i środowiska. Tak drastyczne, że ocenzone w „Pamiętniku”.

Progresizmowi świat również jest dany, choć nie został stworzony. Jest wytwarzany samorodnie przez przyrodę – „immanentnie”, jak piszą w podręcznikach. Jego prawem powszechnym jest ewolucja, konieczna i celowa. Zmiany są nieuchronne i są zmianami na lepsze. Dlatego nie jest to tylko rozwój, to jest postęp, czyli progres. Człowiek jest lepszy od pierwotniaków, cywilizowani od prymitywnych, a więc oświeceni od wieków ciemnych. W zeszłym stuleciu progresizm pod przemożnym wpływem darwinizmu przybiera postać ewolucjonizmu naturalistycznego. Pozytywizm, utilitaryzm, liberalizm, socjalizm, są szczególnymi postaciami tego ewolucjonizmu. „Kryzys darwinowski” był w Polsce ówczesnej chorobą wieku młodzieży inteligenckiej, a ideologie po-

stępu mentalnym zadomowieniem. Jeśli każda przeszłość jest więzieniem, przyszłość musi być „Kryształowym Pałacem”. Im ta przeszłość ciemniejsza, tym bardziej świetlana przyszłość. Młody Brzozowski, wykorzeniony z tradycji, musiał być czułym instrumentem progresu. Darwinizmu doświadczył dogłębnie, skoro jako gimnazjalista pytał kolegów o podstawy wszelkiej ludzkiej wiedzy. Czy jest ona nabyta indukcyjnie przez naszych zwierzęcych przodków? Klasyfikowaliśmy, wspomina, ludzi ze względu na ich stosunek do Darwina.

Kiedy debiutuje nie jest już jednak progresistą, jest modernistą. Modernizm polski jest zjawiskiem osobliwym, wewnętrznie zróżnicowanym i do dziś problematycznym. Choć pojawili się ci, co nazywają się postmodernistami, modernizm u nas nie został bynajmniej wyzyskany. Jest on w krajach zacofanych, a takim bez wątpienia była zeszłowieczna Polska, równoważnikiem kultury miejskiej, pluralistycznej, relatywistycznej, indywidualistycznej. Młody Stanisław Brzozowski z modernistycznych przesłanek atakuje tradycjonalizm ucieleśniony w twórczości i osobowości Henryka Sienkiewicza. Głośna „kampania sienkiewiczowska” przesłoniła inną, nie mieszczącą się w rozdziałach historii literatury. Autor „Kultury i życia” określił ją jako „walkę o światopogląd”. W filozoficznych polemikach z różnymi wcieleniami ewolucjonizmu naturalistycznego, toczonych w latach 1903-1905 kształtuje się jego samowiedza i krzepnie postawa. Jeśli wszelka wiedza jest tylko pochodną przyrodniczej adaptacji, to jak uzasadnić prawomocność tej wiedzy, która to oznajmia? Pozytywizm, naturalizm, marksizm, nie są w stanie uzasadnić samych siebie jako „światopoglądów”. W świetle własnych twierdzeń nie są przecież niczym więcej, jak sposobami takiej adaptacji. Pojęciowymi odruchami bezwarunkowymi.

Oto własna pozycja wyjściowa Stanisława Brzozowskiego, myśliciela i pisarza – poza instynktownym tradycjonalizmem oraz intelektualnym progresizmem. Świat nie jest mu dany, jest za-dany i z tym zadaniem będzie się mierzył całe życie. Zmaga się też z nim w „Pamiętniku” do ostatnich swoich dni, ostatnich rzutów myśli. Tak kształtuje się wizja świata, przekładana na postawę praktyczną, a nie filozofia teoretyczna. Filozofia jest ważnym narzędziem krystalizowania tej wizji, a nie celem samym. Brzozowski musiał, oczywiście,

odnosić się do różnych kierunków filozoficznych: empirio-krytycyzmu, nietzscheanizmu, marksizmu, pragmatyzmu, bergsonizmu. Nawykowo więc i jego plasowano w przegrodach filozoficznej systematyki. Ale to był tylko zastany kontekst, który należało przenikać, porządkować, oczyszczać, aby wyjaśniać własne stanowisko. Rodzi się ono jednak, wzrasta i dojrzewa nie dla doktryn i kierunków. W tych zapisach są zresztą oznaki takich pragnień: mieć swoją filozofię, język własny, terminologię. Trwałe miejsce wśród myślicieli epoki. Jest to pragnienie w t a k i e j sytuacji osobistej całkiem zrozumiałe. Jakiegokolwiek miejsce, nawet katalogowe, jest lepsze od zupełnego opuszczenia. Ale naprawdę cel był inny – stworzyć wizję świata alternatywną wobec tradycjonalizmu i progresizmu zarazem. Równorzędną przy tym teoretycznie, praktycznie, afektywnie. To znaczy kompletną.

Było to zadanie niewykonalne, ale i nieuniknione. Niewykonalne było dlatego, że wizje świata kształtujące postawy całych zbiorowości nie są nigdy dziełem indywidualnym. Nawet Platonowi, który swą utopią chciał zastąpić mity greckie, nie powiodło się to przedsięwzięcie. Przetrwiał Platon i przetrwały mity, choć ich funkcje się zmieniły. Tradycjonalizm europejski ma kilkunastowieczną przynajmniej, wielopostaciową historię, różne typy społeczne, bogate ideowe artykulacje, wielkich pisarskich wyrazieli. Progresizm podobnie, składają się na niego w koncepcjach poznawczych – racjonalizm i empiryzm, w kategoryzacjach bytowych – naturalizm i ewolucjonizm, w ideach społecznych – liberalizm i socjalizm. Panteon progresizmu zaczyna się od Newtona i Kartezjusza, a gdzie kończy – nie widać. Co ważniejsze, tradycjonalizm i progresizm wyrastają na gruncie masowych postaw społecznych i postawy te kształtują. Tradycjonalistką, wbrew pozorom świadomą, jest Sonia Marmieładowa z Petersburga, progresistą – aptekarz Homais z Yonville. Żadna z tych postaci nie jest tylko pisarskim konceptem. Każda jest artystycznie upostaciowanym doświadczeniem potocznym.

Brzozowski, którego urzekały wielkie kreacje kulturalne, przeczuwał raczej niż pojmował, że jego zadanie jest niewykonalne. Wielkie kreacje kulturalne oznaczają pewną zbiorową jedność treści i formy, skalę greckiej *polis* i jej filozofii, Anglii elżbietańskiej i teatru Szekspira, francuskiego

społeczeństwa dworskiego XVII wieku i jego klasycyzmu. Kompletny wzór kultury już jest i przenika całe życie – gesty i słowa, ciała i dusze, osoby i ich związki, właśnie „bliźnich obcowanie”. Niczego takiego nie czując za sobą, autor „Kultury i życia” tym bardziej zazdrośnie odczuwa takie kreacje. Ci Anglicy zeszłego wieku – oni to o wszystko mają wspólne, a każdy z ich pisarzy jest przy tym inny! Blake pozostał na zawsze paradoksem, Newman „mówi i myśli wielowiekowym doświadczeniem”, Conrad – „ja zachodnie” jako „czynny instrument etyczny”. Oto tajemnica kultury prawdziwie twórczej – jedność i polimorfizm – która spokój śmierci zda się zakłócać Brzozowskiemu. Sienkiewicz nawet to ma, Sienkiewicz ma swoje kulturowe zaplecze, on je tylko wypowiada, a może wyśpiewuje? Ja nie mam nic, czy ja w ogóle mogę mówić? Czy ja mam głos?

Wątpliwość ta dręczy Brzozowskiego i „Pamiętnik” trzeba rozumieć jako dociekanie przyczyn niespełnienia. Nie tylko takiego, jakie przenika wszelkie podsumowania życiowe. Także tego szczególnego, związanego z zadaniem niewykonalnym. Jak stworzyć piórem własnym, myślą jednostkową to, co przekracza siły i możliwości osoby, nawet geniusza? Geniusze wyrażają kultury, ale ich nie wytwarzają. Zadanie Brzozowskiego niemożliwe, było jednak nieuniknione – ono przed nim stanęło. Załamanie progresizmu w nim samym, nałożone na załamanie tradycjonalizmu, postawiło go wobec tego zadania. Nie było ono bowiem tylko intelektualne, nie wzięło się z lektur Dostojewskiego i Nietzschego, nawet Pascala. Było to również załamanie moralne, konsekwencja młodzieńczego błędu. Jedno z drugim musiało się zbiec, aby kryzys był integralny. Cień tego kryzysu towarzyszy zapisom „Pamiętnika” – jak cień dłoni piszącej na papierze. Druzgocąca krytyka głównych postaci naturalizmu, jakiej dokonał młody autor „Etyki Spencera”, nie była tylko poznawczą. To prawda – naturalizm nie był w stanie uprawomocnić siebie jako „światopoglądu”. W krytyce Brzozowskiego przeważa jednak argumentacja etyczna. Ogniwo ewolucyjnego łańcucha nie jest podmiotem twórczym, więc moralnym. To tylko punkt w procesie wszechewolucji, „kolorowa skra w nicości”.

„Człowiek nie jest dalszym ciągiem ewolucji, jest zerwa-

niem wątku, przeciwstawieniem się mu” – oznajmia najślawniejszy może aforyzm „Legendy Młodej Polski”. To dewiza Brzozowskiego, wielokrotnie przerabiana, także w „Pamiętniku”. Oznajmienie wcale nie jest jednoznaczne, a interpretacje mogą być wielorakie. Czy człowiek „ustanawia” przyrodę w procesie jej fizycznego, technicznego i poznawczego opanowania? Czy też tylko „nadbudowuje” nad nią swoiście ludzki świat? Społeczny, ekonomiczny, symboliczny i psychologiczny, który nazywamy „kulturą”. Jakkolwiek by było i jakiegokolwiek byłoby ostateczne stanowisko Brzozowskiego, podstawowa kwestia jest jasna – człowiek nie ma „naturalnego” miejsca w przyrodzie, ona nie jest jego matecznikiem, a byt jego domem. Wykucie miejsca, budowa domu, są człowiekowi za-dane. Zadanie to rozwiązuje, skupiając wszystkie siły: zmysłowe, uczuciowe, umysłowe. Własny matecznik w obcym bycie człowiek zdobywa tworząc świat kultury – więzi międzyludzkich, zasad współżycia, praw moralnych. „Dźwigać kulturę osobistą” to wpisywać osobę w te więzi, zasady, prawa. Osoba jest osobą tylko tak wpisana, w „bliźnich obcowaniu”. Problemem Brzozowskiego nie jest filozofia, jest nim p a i d e i a. Uczłowieczanie świata przez formowanie człowieczeństwa w człowieku. Niebawym program integralnego samouctwa.

I tu Brzozowskiemu zjawia się Kościół katolicki. Nie jest to „Kościół Milusińskich”, katolicyzm „Polski dziecięniatej”. To już zostało wyjaśnione w „Legendzie Młodej Polski”. Chodzi o problem historyczny, zagadnienie kultury, „konstruktywne życia ludzkości”. Tworzyć nasz świat, to tworzyć zdolne go dźwigać „kompleksy psycho-życiowe” (to znaczy formację – AM). „W logice zachodniej tkwi postulat tworzenia samych tych kompleksów”. Czym zatem są wspaniałe dzieła geniuszy, ważne epoki kulturalne, wielkie kultury narodowe wobec tego dzieła powszechnego, jakie stworzył i tworzy Kościół katolicki? „Spinoza otworzył wielki świat, Hegel większy, Goethe jeszcze większy. Katolicyzm jest wspanialszy niż to wszystko. Szerszy, potężniejszy, zawiera więcej możliwości.” To nie jest olśniewająca iluminacja, to jest logiczna konstrukcja intelektualna. Jeśli świat nasz nie jest dany, lecz za-dany, rozwiązanie zależy do nas. My – to podmiot zbiorowy, odpowiednio zorganizowany społecznie i ufor-

mowany psychicznie. Wskazanie najlepszej organizacji społecznej tworzącej zarazem psychikę osobową jest więc nieuniknione. W tej perspektywie Kościół katolicki jest ważniejszy niż inne wyznania, zbiorowości, kultury. Brzozowski pomija teraz to, na co przedtem kładł krytyczny nacisk – że Kościół nie jest organizacją pracy. Staje się on dla niego tożsamy właściwie z kulturą powszechną – „Kościółem ludzkości”.

Ten świat wznoszą naprawdę ci, którzy są ku niemu zwrócenii. Jest to ten rys chrześcijaństwa, który różni go od wszystkich religii Wschodu i stanowi o specyfice Zachodu. Człowiek Zachodu przekracza zastane formy, wychodzi nieustannie poza ich granice. Postulat tworzenia „rzeczywistości ucłowieczonej” został zrodzony w starożytności klasycznej, ale to katolicyzm kontynuuje „najrzetelniejszą spuściznę starożytności”. Jego wkład w tę ciągłość jest ważniejszy niż renesansu włoskiego, klasycyzmu francuskiego czy protestantyzmu angielskiego. W pewnym sensie wszystkie te formacje są tylko mutacjami katolicyzmu i bez niego nie byłyby możliwe. Ale nie tylko to – Chrystus jest figurą „swobody całego człowieka”, chrześcijaństwo obejmuje więc „cały świat”. Ten właśnie świat ludzki wydobywany przez nas z bytu. Kościół katolicki jest ucieleśnieniem jedynej w swoim rodzaju powszechnie praktykowanej filozofii – w zmysłach, uczuciach i umysłach. W niej „każdy przelotny fakt życia”, „każdy atom duszy ma łączność z wielkim prawem”. „To jest bezwzględne, ale prócz katolicyzmu: kultury, jest katolicyzm, droga do świata nadprzyrodzonego. I ta jest dla mnie zamknięta”.

Stanowcza ta konkluzja została zanotowana 10 lutego. Czy do początku kwietnia, w którym kończą się te zapiski ulega ona zmianie? Stanisław Brzozowski zmarł 30 kwietnia 1911 roku, wypowiedział się przed śmiercią i otrzymał rozgrzeszenie. Tajemnica spowiedzi wymaga tego, aby przyjąć ją jako tajemnicę. Trzeba poprzestać na tym, co tutaj zapisane, więc publicznie wyjawione. Jawne jest więc persewerujące, wielokrotnie wypowiedane pragnienie pisarza. Wyjść poza negatywizm myśli, przekroczyć własny krytycyzm, porzucić ostatecznie współczesne „piaskowisko myśli i uczuć”, „absolutną równowartościowość frazesów”. Mieć „umysłową samoistność”, „pisać własnym stanowiskiem”, „tworzyć płodne fakty

myślowe”, „przedmioty zdolne trwać w słowie”. Co znaczą te wszystkie zbliżone, lecz mniej lub bardziej zawikłane określenia? Stanisławowi Brzozowskiemu na łożu śmierci nie tylko wizja świata się zjawiała, zjawiała się także wizja własnego pisarstwa w tym świecie. Ono miało być światłem przewodnim tej jaskini, w której byt jest w świat przekuwany. Byłoby wtedy roziskrzeniem drobin osobowej egzystencji i rozjaśnieniem tytanicznej gatunkowej kreacji.

Być „direct w metafizyce”, mówić wprost z wnętrza bytu – to wysławiać sens każdego „atomu duszy”, „faktu życia”, „obecności w prawach i celach”. Trzeba jednak wtedy wierzyć, że „na dnie naszej duszy jest światło” – i – że jest ten byt, „w którym praca nasza trwa jak w kryształach”. Z tą wiarą i w tej wierze pisał John Henry Newman, którego Stanisław Brzozowski nazywa swoim „nauczycielem i dobroczyńcą”. Jak wiadomo, wybór pism kardynała Newmana, skomponowany, przełożony i skomentowany, był ostatnią pracą filozoficzną autora „Pamiętnika”. Jedna z ostatnich również notatek kończy się tak: „Nie zapomnieć, nie utracić z oczu tego *I know I know*”. To John Henry Newman mówił: *I know I know*. Nie tylko mówił, pisał z wnętrza tej wiedzy. Stanisław Brzozowski wiedzę tę miał przed oczami.

Przyborowie, sierpień 1999.

Andrzej MENCWEL

Wstęp do nowego wydania „Pamiętnika” Stanisława Brzozowskiego, które ukazuje się nakładem SW „Czytelnik”.

Peter BAKOWSKI
WIERZ DLA BAKOWSKI
(POEM FOR THE WOUNDED)

Wiersze

Jehuda AMICHAI

POWRÓT BYKA

Byk wraca po dniu pracy na arenie,
wypija filiżankę kawy ze swymi przeciwnikami
i zostawia im karteczkę z adresem i
dokładnym położeniem czerwonej płachty.
Sztylet ciągle tkwi w jego sztywnym karku
gdzie czuje się u siebie. Teraz
siada na łóżku. Oczy ma ciężkie,
żydowskie. Wie,
że i sztylet czuje się zraniony, kiedy rozdziera mu ciało.
W następnym wcieleniu sam będzie sztyletem: rana pozostanie.
(„Drzwi otwarte. Jeśli nie, klucz leży pod
słomianką.”)
Zna litość zmierzchu i litość
ostateczną. W Biblii znajduje się na liście zwierząt czystych.
Jest naprawdę koszerny: przeżuwa swój pokarm
i nawet serce ma podzielone i rozszczępione jak racica.
Z piersi wystaje włosie.
Suche i siwe jak z podartego materaca.

Jehuda AMICHAI

Z angielskiego przetłum. Janina Katz

myślowe", „przedmioty zdolne trwać w słowie". Co znaczą te określenia? Stanisławowi Brzozowskiemu na łozu śmierci nie tylko wizja świata się zjawiała, zjawiała się także wizja własnego pisarstwa. Wiersz dla Zranionych jest świadectwem przewodnim tego, co Brzozowski przeżywał. Wiersz jest nie tylko wyrazem, ale i wyrazem życia. Wiersz jest nie tylko wyrazem, ale i wyrazem życia. Wiersz jest nie tylko wyrazem, ale i wyrazem życia.

WIERSZ DLA ZRANIONYCH
(POEM FOR THE WOUNDED)

Wiersz

Gdy
osoba, którą kochasz
zaczyna
rozdawać pocałunki
gdzie indziej,
gdy
śmierć jak bawół
buszuje
w kręgu przyjaciół,
ty będziesz:
siedział,
cierpiał w pokojach,
wlepił wzrok
w ściany i drzwi,
i w grzbiety książek,
niezdolny
uczynić ruch
w ich stronę.
Będziesz patrzeć:
na zegar,
na swoje obwisłe ręce,
w lustro.
Będziesz szukać w nich
sensu.
Który czasem
zjawia się
wraz ze
spojrzeniem przez okno:
będziesz widzieć
ptaki

zadowolone z nieba,
noc
otwierając
księgę gwiazd,
twoją dzielnicę
mądrą od snu
i dowiesz się
w końcu,
że ból
oddala cię od
twojego miejsca w świecie
i że wiara w siebie
wskazuje drogę powrotu.
A więc
kierujesz się
ku rzeczywistości,
podpalasz płomyk
pod czajnikiem
i ten gest
właśnie teraz
zdaje się
być zwycięstwem

Peter BAKOWSKI

spolszczył Adam Tadeusz Bąkowski

Wojciech KAWIŃSKI

PARADOKSALNIE

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

W OKNIE KUCHNI

Brzozy w oknie kuchni
rażą oczy jesienią.
Kosmyki – potem: strugi
żółtych liści, cierpliwie,

z dnia na dzień, zdzieranych przez wiatr.
 Słońce, więzione w liściach
 przez wiosnę i lato,
 wyrwa się na wolność.
 Coraz mniej postrzępionych,
 rozchwianych promieni.
 Można przez brzozy
 patrzeć coraz bardziej na wylot,
 na wskroś, jak przez dym,
 mgłę, koronkę firanki,
 Powietrze dawno już straciło
 gęstość potu.
 Uparta jesień wraca jak do siebie.
 Czy taki upór nie kłóci się
 z umiarkowaniem strefy?
 Wiatr coraz bardziej chyli jedną z brzoź.
 Powali ją w końcu czy porwie ze sobą.
 Korony uwierają drzewa jesienią.
 Trzeba je zrzucić w hołdzie zimie
 i ziemi.
 I oto można brzozom
 wszystkie gałęzie policzyć.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Remigiusz GRZELA

idziesz
 gdzie bramy
 na wół otwarte
 między tu i tam
 idziesz by zniknąć
 pomiędzy

gula myrta był nobel
 ós, wó***
 węgla i kości
 dwoje na ławeczce
 jak teatralna dekoracja
 nieruchomi
 wpatrzeni w siebie
 bezszelstni
 przysypani liśćmi
 nie wstaną
 nie uklonią się
 nie zejdu z sceny
 za starzy do tych ról

a na gałęzi
 nad nimi
 gołąb i gołębica
 czekają...

Remigiusz GRZELA

Wojciech KAWIŃSKI

PARADOKSALNIE

Szukając gwiazdy,
 Zgubiłem grzebień.
 W.W., Według Heinego

długo, o wiele za długo,
 rozsypywał się pośród wzgórz
 piaszczystych i śnieżnych
 ten wiek; jego gałąź
 sięgnęła gwiazd, księżycy, dna;

niejeden był upartym sługą
okrucieństw, przywilejów, złóż
węgla i kości, mitów błędnych,
miraży; to, co pozostało,
jest mgiełką, treścią rozbitego szkła –

IX 1999

SKURCZ

Resztki słów
na kartce postrzępionej;
opór jak upiór, znów
pręgą na nieboskłonie;
chwyta cię skurcz milczenia
na dnie kamiennej trawy;
wiek pisze czarny poemat
wersem niedoskonałym;

tutaj powoli rośnie
przestrzeń obcego światła;
mur obnażony do kości
wchłania ślepotę zwierciadła;

zęgluje ołów poblady
nad rozlewiskiem dymiącym;
czas wieczny, choć nieładny,
odśnania mróz w tle słońca –

IX 1999

Wojciech KAWIŃSKI

Kraj

Po dziesięciu latach wolności

Po dziesięciu latach od odzyskania przez Polskę niepodległości i wolności sytuacja społeczna jest bardzo złożona. Część społeczeństwa spektakularnie wzbogaciła się i zalała kraj setkami tysięcy samochodów osobowych. Zagraniczne auta można kupić już wpłacając kilkaset złotych zaliczki. Z płaceniem następnych rat z pewnością pojawią się trudności. A w międzyczasie kraj stał się nieprzejezdny. Brak obwodnic w miastach, autostrad i fatalny stan nawierzchni szos i dróg, a także ulic w większych miastach powoduje, że ci bogatsi ludzie żyją w ciągłym stresie komunikacyjnym. Na reprezentacyjnych ulicach miast, na przykład na Nowym Świecie w Warszawie, bogactwo leje się w oczach przechodniów. Błyszczą złoto i brylanty, pełno pięknych futer i zagranicznej luksusowej konfekcji damskiej i męskiej. Zrobiliśmy milowy krok od sklepów z gołymi półkami, na których stał tylko ocet, a u rzeźnika obserwowaliśmy „nagie haki”. Teraz wszystkiego jest pod dostatkiem, ale nie wszyscy mogą sobie pozwolić na korzystanie z pełnej oferty handlowej. Dlatego kwitnie handel bazarowy, legalny i nielegalny, na przykład na słynnym „stadionie dziesięciolecia”, który zbudowano dla uczczenia pierwszej dekady PRL, a na którym najwięcej jest sprzedawców rosyjskich, bo na wschód od Polski bieda jest o wiele większa. Gierek zbudował w swoim dziesięcioleciu więcej niż my w naszym suwerennym, lecz wpuściliśmy kapitał zagraniczny, który zbudował liczne wysokie budynki, lecz obecne inwestycje, w tym niemal wszystkie kolosy wielopiętrowe należą nie do nas, lecz do firm zagranicznych. Tymczasem co najmniej połowa społeczeństwa polskiego żyje na

granicy, a także poniżej granicy minimum socjalnego. Politycy spierają się o liczbę ludzi żyjących w biedzie, albo na granicy biedy i ubóstwa. No i coraz to są ogłaszane wyniki badań socjologicznych, mówiące o rozszerzaniu się nędzy społecznej niemal w połowie społeczeństwa. Z tego powodu nie oceniam nagannie ostatniej batalii podatkowej w parlamencie, w której obie strony posuwały się do demagogii. Lewica broniła najuboższych, bo żyją w nędzy, a prawica dążyła do obniżenia podatków dla ludzi biznesu, by w ten sposób ułatwić im dalsze inwestycje, a więc znalezienie nowych miejsc pracy. Obie strony miały więc swoje racje, lecz zaciętrzewieniem sprowadziły atmosferę parlamentu na niziny knajpy w mieście powiatowym. Chłodni i prawdziwi ekonomiści mogliby dojść szybko do kompromisu, lecz na jego osiągnięcie nie stać było ludzi zaciętrzewionych, w dużej mierze jeszcze kompleksami z okresu PRL-u, od którego obie strony już dawno się odcięły. Kompleksy przeszłości ponizyły znowu parlament demokratycznej Polski. Większą winę ponosi obóz aktualnie rządzący, lecz nie można nie przyznać, że lewicy także chodziło nie tylko o niższe podatki, lecz także o szybki powrót do władzy. Klęską Unii Wolności było, że nie stała się pośrednikiem i czynnikiem równowagi politycznej w parlamencie i w kraju. Stawia to wielki znak zapytania przed przyszłością tej partii elit polskich i dużej części inteligencji polskiej. No cóż, partie są niewolnikami władzy.

Nie kwestionuję lojalności Unii Wolności wobec jej obecnego sojusznika AWS, lecz wazę się na przypuszczenie, że w wyniku przyszłych wyborów parlamentarnych Unia Wolności może musieć pójść na koalicję z SLD, jeśli AWS straci co najmniej połowę swoich zwolenników sprzed dwóch lat. Nie zazdroszczę Unii Wolności konieczności podjęcia takiej decyzji, którą *nota bene* podjął już poseł Andrzej Celiński, no i będzie miał poważny wpływ na linię programową SLD. Jeśli Unia pójdzie w jego ślady, pewien wpływ także uzyska, a jeśli nie zmieni orientacji, to zostanie tylko symbolem na polskiej scenie politycznej. Ugodziłoby to głęboko w pychę moralną i polityczną „unitów”.

Co się dzieje w ogóle z elitami polskimi po dziesięciu latach od powstania III Rzeczypospolitej, w której odrodzeniu elity miały czynny udział. To one zawarły umowę z byłymi

komunistami, by dostać od nich część władzy, a w końcu całą władzę. Jeśli możliwy dla naszych liberalnych elit był układ z byłymi komunistami, to dlaczego dzisiaj wzdragają się przed koalicyjnym kompromisem z partią lewicy, która definitywnie odcięła się nie tylko od PRL, lecz także od jej systemu, przechodząc zdecydowanie na stronę socjaldemokracji europejskiej, której nowym przewodniczącym został właśnie katolik. Przyznaję, że Unia Wolności nie ma łatwej drogi, bo dzisiaj jest w koalicji z ruchem o pięknej nazwie, lecz o profilu narodowym, jeśli nie nacjonalistycznym. W mojej wyobraźni moralnej powinno być jej bliżej do wyraźnie liberalnych socjaldemokratów niż do agresywnych i konserwatywnych narodowców. Decyzje przyszłych „unitów” w 1989 były racjonalne. Później jednak Unia dała się sprowadzić na dziwaczną drogę sojuszu ze skrajną prawicą, by nie zostać obciążoną zarzutem związków z PRL-em. „Unicy” zdają się potępiać własne aliansy z ludźmi związanymi kiedyś z PRL-em, jakby nie wiedzieli, że właśnie socjaldemokraci byli najbardziej zniechęconym ruchem w oczach komunistów. Część elit polskich bije się do dzisiaj z własną przeszłością w PRL, odciążając się zarzucaniem innych takich związków. Środowiska „Znak”-u uważane są za niepokalne, choć jego przedstawiciele zasiadali w Sejmach PRL od 1957 do 1976 roku. Nad tym posłowaniem zastanawiał się od początku Kardynał Wyszyński i w prowadzonym dzienniku spisał swoje refleksje na ten temat 20 lutego 1961 roku: „Trzeba sobie jeszcze określić cel tej pracy: 1) czy to będzie obrona społeczna humanistycznych praw, 2) czy obrona spraw katolickich, 3) czy obrona interesów grupy „Znak”. Zdaje się, że ostatecznie zejdzie na to trzecie, jak było w poprzednim Sejmie, przy lepszej reprezentacji. W nowym Sejmie „Znak” nie będzie miał ani jednego polityka z prawdziwego zdarzenia, bo pan Jerzy [Zawieyski – A.M.] to łacina, pan Stomma to dziecina, a pan Kisielewski – Stańczyk, wesolek. Zgłaszam swoje *desinteressement* w tej sprawie, podobnie jak to uczyniłem – po październiku”.

Prymas Wyszyński w jakiejś mierze później sam sobie zaprzeczył i wielokrotnie przyjmował posłów „Znaku”, coraz bardziej ich cenił i był pełen uznania dla prof. Stommy, gdy ten zrezygnował z udziału w Sejmie po uchwaleniu w

Konstytucji zasady „kierowniczej roli partii i sojuszu ze Związkiem Radzieckim”. „Znak” bez Stommy był już inny ale i ten inny prymas Wyszyński częściowo poparł, dzięki obronie potrzeb Kościoła przez posła Konstantego Łubieńskiego. Wyszyński wycofał się z potępienia godnych ludzi. Nie wycofali się z potępienia innych katolików tacy działacze potępiający dzisiaj totalnie PRL, jak Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski, nie mówiąc już o nawiedzonym Krzysztofie Kozłowskim. Ten ostatni był uważany za następcę Turowicza w *Tygodniku Powszechnym*, lecz mądry był Jerzy Turowicz, zapewne nie bez wpływu czynników kościelnych, które zasugerowały na redaktora pisma krakowskiego ks. Bonieckiego i Turowicz go poparł, tak jak w 1945 roku kardynał Sapieha wysunął ks. Piwowarczyka, którego następcą został Turowicz.

Trudno dzisiaj wymierzyć, kto z ludzi „Znak”-u i jak głęboko był związany z PRL-em, lecz ci, którzy dzisiaj boczą się na SLD w sposób skrajny, nie zawsze mogą mieć nieskalane sumienie w całym okresie PRL. Pamiętajmy, że nie tylko „Znak”, lecz wiele innych instytucji katolickich powstało dzięki wsparciu Kościoła. Czyż więc znając ówczesne realia mamy się dystansować od socjaldemokratów, którzy byli uważani przez komunistów za największych wrogów. Komuniści trafnie oceniali, że ich alternatywą nie stanie się skrajna prawica, lecz umiarkowana, liberalna lewica. Nie należy o tych starych dziejach zapominać i brnąć w kompleksy ludzi kiedyś zaangażowanych, a teraz chcących być jedyne czyste i szlachetne.

Po dziesięciu latach wolności uważam za błąd nieustanne wracanie do złej przeszłości. Autorytet moralny i polityczny zdobywa się w demokratycznym państwie tworzeniem siły tego państwa, której nie uzyskamy chęcią eliminacji z życia politycznego partii lewicowej, której tylko mała część miała jakieś związki z PRL-em. Ludzie z Unii Wolności i to nie tylko katolicy, lecz także członkowie dawnej PZPR i jej „towarzysze podróży” musieli w tamtym systemie poruszać się w warunkach nader niedogodnych, by zachować czyste sumienie. Tak więc nie tylko ludzie z SLD mają sobie coś do wyrzucenia, a nawet oni mają mniej niż inni, bo byli młodszy, lub w ogóle nie zdążyli poddać się manipulacji ówczesnie

rzządzających. Między innymi dlatego jestem zdecydowanym przeciwnikiem ciągłej walki o przeszłość w polskich elitach, zamiast myślenia o przyszłości w ostatnich dwóch latach coraz biedniejszego kraju.

Nie jest prawdą, że w całym dwudziestoleciu międzywojennym walczone tylko o przeszłość. Czym innym bowiem zajmował się w 1923 roku Władysław Grabski wprowadzając złotówki, a w latach trzydziestych Eugeniusz Kwiatkowski, twórca Centralnego Okręgu Przemysłowego oraz portu i miasta Gdynia. Można by tu jeszcze dla przykładu wymienić Juliusza Poniatowskiego, ministra rolnictwa w latach 1934-1939, który całe swoje życie poświęcił sprawom biednej i zacofanej wsi polskiej. Zastanówmy się więc, czy możemy wykażać się w ostatnim dziesięcioleciu takimi nazwiskami w polityce polskiej, jakimi byli Grabski, Kwiatkowski czy Poniatowski. Zbyt mało mamy polityków fachowców, którzy mogliby tworzyć czy reformować całe dziedziny polskiego życia społecznego i gospodarczego. Dla bezstronności wymienię nazwisko Leszka Balcerowicza, który jest niewątpliwie pewną osobowością, lecz ulega specjalistom zachodnim, i to nie zachodnioeuropejskim, lecz amerykańskim. On, także niegdyś członek PZPR, nie wykazuje wrażliwości społecznej w gospodarce, lecz w pełni poddał się dyktatowi liberałów amerykańskich. Ważną rolę, moim zdaniem, odegrał Balcerowicz w latach 1989-1993, kiedy dokonywał się przełom myślenia w Polsce. W ostatnich dwóch latach 1997-99 Balcerowicz jest widziany jako człowiek skrajny. O ile w pierwszym okresie, zaraz po upadku gospodarki PRL, o Balcerowiczu mówiło się wręcz jako o kandydacie do Nagrody Nobla, to teraz mówi się o nim tylko jako o człowieku skrajnym i dalekim od myślenia socjalnego ekonomistów europejskich. Do tego Balcerowicz uwikłał się w czystą politykę, zostając prezesem Unii Wolności, a przecież sytuuje tę zasłużoną partię nie tyle w politycznym centrum, z którego się wywodziła, lecz na liberalnej prawicy, lekceważącej sprawę socjalną, a więc potrzeby dużej większości społeczeństwa. Ufna w swe dobre imię Unia Wolności znalazła się w dwojakiej zależności, politycznej przez koalicję z narodową prawicą i gospodarczej przez liberalny dyktat Leszka Balcerowicza. Balcerowicz nie jest człowiekiem niezastąpionym. Udowodnili to

w okresie rządów SLD/PSL tacy ekonomiści, jak Borowski, Belka czy Kołodko. Osobiście alternatywę Balcerowicza widziałem w prof. Witoldzie Trzeciakovskim, lecz ciężka choroba wyłączyła go na dłuższy czas z aktywności zawodowej. Nie chciałbym jednak uchybić godności prof. Balcerowicza, bo nie ulega wątpliwości, że przejdzie on do historii III Rzeczypospolitej, a nawet ma jeszcze szanse skorygowania swoich skrajnie liberalnych zapatrywań.

Z całą pewnością w ostatnim dziesięcioleciu zrobiliśmy dużo więcej niż Gierek w swojej dekadzie, ale nie na polu gospodarczym i socjalnym. Zbudowaliśmy jednak państwo suwerenne i demokratyczne, w którym panuje wolność myśli i szanowane są prawa człowieka. Mamy także pewne osiągnięcia ekonomiczne. Niestety, dominują nad nimi bezrobocie, szerokie rozmiary ubóstwa i nadal trwające cywilizacyjne zapóźnienie kraju. Obecnie rządząca koalicja przeprowadziła swoistą „reformę wszystkiego”, która spowodowała chaos kompetencyjny w terenie i dublowanie przez różne organa prostych funkcji społecznych. Na przykład gdy boli mnie brzuch, to najpierw muszę iść do tak zwanego lekarza pierwszego kontaktu i dopiero on skieruje mnie do gastrologa, czy internisty. Mam od urodzenia problemy z oczami, bo jestem tzw. albinosem i znowu muszę najpierw iść do lekarza pierwszego kontaktu, który skieruje mnie do okulisty, z którym przyjaźnię się od dziesiątek lat. Administracja służby zdrowia pochłania olbrzymie środki finansowe. Mam przyjaciela lekarza o stosunkowo wąskiej specjalności, lecz dobrego fachowca o znaczącej specjalizacji, który zarabia miesięcznie 900 złotych i po pracy w szpitalu idzie do prywatnej spółdzielni lekarskiej, by dorobić trochę grosza na utrzymanie rodziny. Ale dyrektorzy nowo wprowadzonych kas chorych zarabiają po około dwudziestu tysięcy złotych miesięcznie, bo są wytypowani przez nową polityczną siłę kierowniczą. Najzabawniejsze jest to, że powróciliśmy do idei kas chorych na przykładzie Niemiec, w których aktualnie myśli się o ich likwidacji. Niemal we wszystkich zawodach hierarchia wynika mniej z posiadanych kompetencji, a bardziej z wpływów nowej kierowniczej siły politycznej. Gdy byłem posłem w II kadencji parlamentu zarabiałem około 4500 złotych. Tymczasem dzisiaj posłowie

zarabiają po 9500 złotych. Wszystko to woła o pomstę do nieba. Piękne w Polsce słowo „Solidarność” zmieniło swój sens, bo przestało już funkcjonować jako symbol wolności kraju, a zaczęło jako symbol nowej nomenklatury w polityce, gospodarce i w życiu społecznym. Jest to zjawisko przygnębiające.

Na koniec parę słów o polskiej polityce zagranicznej. Zaczęła się ona od wyrzucenia z MSZ ludzi związanych kiedyś z PRL-em. Wielu z nich nakazał przywrócić do pracy Najwyższy Sąd Administracyjny, ale panowie Geremek i Olechowski nie uwzględnili wyroków NSA i część zwolnionych umieścili na niższych stanowiskach, a innych po prostu ostatecznie wyrzucili z pracy. W międzyczasie Geremek i posłuszny mu były agent PRL w Szwajcarii Olechowski, co sam przyznał, oczyścili MSZ, a posłów II kadencji Sejmu z Komisji Spraw Zagranicznych uznali za antysemitów. Zarzut ten usłyszałem od Olechowskiego, a pan Geremek powiedział mi, że Olechowski nie robi nic bez jego woli i wiedzy. Pewne zmiany kadrowe są normalne przy zmianie ekipy rządzącej, lecz masowe wyrzucanie ludzi z pracy ze względu na ich rodowód polityczny i wbrew wyrokom Sądu do dzisiaj nie mieści mi się w głowie. Po prostu wtedy Geremek rękami Olechowskiego wprowadzał do MSZ nową nomenklaturę lub zbliżoną do Unii Wolności.

Polska polityka zagraniczna jest tak proamerykańska, że wiele krajów zachodnioeuropejskich czuje się przedziwnie pominiętych. Także za słaba jest nasza ofensywa dyplomatyczna i gospodarcza na wschód, a współpraca Polski z Ukrainą i krajami bałtyckimi, przy równoległym porozumiewaniu się z Rosją, trwa, lecz mogłaby być naszym głównym i wspólnym z państwami zachodniej Europy celem politycznym. Amerykanie doznali pewnej porażki wśród wrażliwych moralnie Polaków swoją akcją z powietrza w Jugosławii. To samo zrobili jeszcze okrutniej Rosjanie w Czeczenii, która jednak jest członkiem Federacji Rosyjskiej. Prof. Geremek jest z pewnością utalentowanym człowiekiem, lecz zafascynowanym, podobnie jak Balcerowicz, Ameryką, za mało się koncentruje na wschód od Polski. A nasi zachodni przyjaciele także spostrzegają, że bardziej kochamy wielkie mocarstwa niż najbliższych sąsiadów i całą Wspólnotę Europejską. Sukcesem

minionego dziesięciolecia w polityce zagranicznej Polski było wyzwolenie się z dawnej zależności, ewakuacja wojsk ZSSR, no i względnie dobre stosunki ze wszystkimi sąsiadami. Ale to wszystko jest za mało, by Polska mogła odgrywać większą rolę w koncercie europejskim. Na szczęście także dzięki Polsce skończyła się dominacja wielkich mocarstw na półkuli północnej. Powinniśmy jednak dbać o pogłębienie współpracy z bezpośrednimi sąsiadami i z całą wspólnotą europejską. Nasi politycy zajmujący się sprawami międzynarodowymi powinni przedstawić społeczeństwu precyzyjny rachunek zysków i strat związanych z naszym wejściem do Unii Europejskiej. Na ten temat funkcjonuje w opinii publicznej wiele mitów i przesądów. Społeczeństwu trzeba przekazać pełen rachunek zysków i strat związanych z wejściem do Unii. Powinniśmy stać się członkiem Unii Europejskiej nie wolą rządu tylko, lecz przekonaniem wielu warstw społeczeństwa, że nasze początkowe straty, czy niepokojące zmiany obrócą się na korzyść Polski. Wejście do Unii Europejskiej będzie miało głęboki sens jeśli nastąpi zgodnie z wolą całego społeczeństwa. Ale mamy tylko dwa lata, by odbyć na ten temat głębokie rozmowy z różnymi środowiskami społecznymi. Jestem głęboko przekonany, że jeśli nawet chwilowo coś stracimy, to w dłuższej perspektywie bardzo wiele zyskamy.

Andrzej MICEWSKI

Trochę spokoju, ale niedużo

1.

Po burzy podatkowej pod koniec listopada w naszym świecie władzy trochę się uspokoiło. Cyklon przeszedł bokiem, czy może jesteśmy właśnie w jego oku? Są zwolennicy obu wykładni. Mają każdy, swoje argumenty. Ci, którzy twierdzą, że uspokojenie ma trwały charakter, powołują się

przede wszystkim na zbawczy wpływ, jaki na spoistość koalicji wywarło włączenie się prezydenta do opozycyjnej ofensywy przeciw rządowi. I AWS, i UW – mówią ci optymiści – zdały sobie sprawę, że rozpoczął się maraton wyborczy i że umocnienie wspólnego frontu jest ostatnią szansą rządzącej formacji. Zwłaszcza w Unii Wolności spadły ludziom łuski z oczu. Kiedy Leszek Miller mówi głośno i publicznie (przytaczam za sprawozdaniem w *Rzeczpospolitej* z 13 XII ze zjazdu młodzieżówki SLD), że celem SLD nie jest tylko osiągnięcie pierwszego miejsca w najbliższych wyborach do parlamentu, ale całkowite przejęcie władzy – to unicy nie mogą się już ludzi, że będą potrzebni postkomunistom. Tym bardziej, że prestiż Balcerowicza bardzo ucierpiał, a jego przeciwnicy opowiadają wszędzie, że mają na pęczki równie dobrych ekonomistów na jego stanowisko. Koalicjanci będą więc teraz rzetelniej współpracować i odzyskują nadzieję.

Pesymiści uśmiechają się ironicznie. Nie muszą nawet przytaczać z rubryki wypadków sejmowych, gdzie nadal, z tygodnia na tydzień, pojawiają się na wokandzie kolejne punkty różniące koalicję. Choćby z ostatniego tygodnia: wolne soboty czyli 40-godzinny tydzień pracy, obiecany w 21 punktach z Sierpnia 1980; kolejny atak prawicy na Krajową Radę Radiofonii i Telewizji o częstotliwości dla Radia Maryja; zaostrenie kar za gwałt, na co była powszechna zgoda, oraz za szerzenie pornografii z udziałem dzieci, zwierząt oraz – nowość definicyjna – „...narządów płciowych w trakcie stosunku”. Lewica pękała ze śmiechu a Unia Wolności i min. Niemcewicz z Ministerstwa Sprawiedliwości daremnie oponowali przeciw ośmieszeniu kodeksu. Cnota, głosami całej prawicy i PSL, odniosła zwycięstwo. A poważne sprawy – budżet! – dopiero za miesiąc wejdą na wokandę. Dopiero też w pierwszym kwartale lub jeszcze później dowiemy się, kto stanie do prezydenckiego wyścigu i jakie, wobec tego, będą kolejne targi i spory w koalicji.

Pesymiści mają przeto słuszność, pozostaje jednak ostatnia praktyczna racja, niezależnie od wagi sporu, do zerwania koalicji dojść nie może, kiedy bowiem pęka statek wszyscy idą na dno. Im zaś gorsze są notowania aliantów, tym bardziej obawiają się oni zerwania, zarówno dla AWS jak UW jest już za późno na szukanie alternatyw.

W sondażach opinii utrwała się tymczasem taka przewaga SLD*, że w języku publicznym dominuje już przekonanie o jego dojściu do władzy w 2001 roku. Zdemoralizowani są również szeregowi parlamentarzyści koalicji, toteż o kontr-ofensywę będzie coraz trudniej. W elicie AWS, zwłaszcza elicie związkowej, zdają się już dominować przygotowania do nowego „długiego marszu”. Na zjeździe delegatów „S” w Cetniewie (11-12 grudnia) Marian Krzaklewski koncentrował uwagę delegatów na znów forsowanej przez niego przebudowie AWS „w jednolitą partię lub przynajmniej federację”. Krzaklewski zaproponował, a delegaci uchwalili, że „S” wycofa się z polityki na rzecz takiej partii/federacji i przekaże swe udziały, tj. prawo głosu w AWS – Ruchowi Społecznemu AWS, który w ten sposób będzie miał 48%, tyle samo co trzy partie stowarzyszone (SKL, ZChN i chadecy Łączkowskiego-Tokarczuka – po 16%). 2% mają „Rodziny Katolickie” pośła Kapery, a 2% są nierozdzielone. Jeden z problemów tej konstrukcji, mniej ważny, polega na tym, że czwarta noga AWS, czyli chadecja, jest bardzo wątłutka. Złośliwi mawiali, że jest to raczej palec... w bucie Mariana. Przyłączenie PC miało podobno sprawić, że palec urośnie, ale zaraz, niestety, okazało się, iż wszystkie liczące się postaci z PC odmawiają akcesu. Nieporównanie poważniejszy problem polega na tym, że ani SKL ani ZChN, które w ciągu lat spędzonych u władzy umocniły się kadrowo i obrosły w piórka, nie zamierzają wyrzec się tożsamości i rozpuścić w Ruchu Społecznym AWS. SKL, które jest partią na poły liberalną, i tak z trudem znosi kierownictwo związkowej kadrówki. Formalne odsunięcie się związku od polityki byłoby więc Stowarzyszeniu bardzo na rękę, ale koledzy Halla i Rokity boją się, RS AWS będzie w projektowanej partii/federacji tym bardziej przekąźnikiem nacisków związkowych. ZChN, formacja o najwyraźniejszym profilu ideowym, nie chce się rozpuścić w AWS tym bardziej, że najbliżsi mu ideowo ludzie z „prawej prawicy” ROP Olszewskiego czy PP Łopuszańskiego, zostali przez AWS wyeliminowani i zmarginalizowani. Najpoważniejszym wreszcie problemem dla Krzaklewskiego jest wątpliwy stan samego

* Od 39 do 42% wskazań, wobec 15 do 20% dla AWS w sondażach z przełomu listopada i grudnia.

Ruchu Społecznego AWS. Jego przewodniczący Buzek tylko, oczywiście, firmuje przedsięwzięcie, organizatorem był Tomaszewski, minister policji i administracji, który teraz po zlustrowaniu jest *no-person* („jakby go nie było”), ale zapewne jakieś po nim ślady zostały. Jacek Rybicki, który przejął schedę w RS AWS po Tomaszewskim, może sobie nie poradzić z opanowaniem podskórnego, ale coraz mocniejszego antagonizmu pomiędzy RS AWS jako politycznym ramieniem ruchu, a aparatem związkowym. Ten antagonizm doszedł zresztą do głosu w Cetniewie, mimo że tylko 26 delegatów głosowało ostatecznie przeciw „uwłaszczeniu” RS AWS udziałami „S” w AWS. 214 było za, mimo to zwycięstwo „linii” Krzaklewskiego jest brzemienne wątpliwościami. Oponenti podnosili przede wszystkim, że RS AWS nie jest żadnym ruchem tylko aparatem urzędniczo-politycznym, zaś na całe poparcie zarabia związek. Istotnie, mimo że „S” straciła wiele ze swych pozycji w zakładach pracy, ten milionowy związek (1,2 mln członków oficjalnie) jest ciągle jeszcze najbardziej reprezentatywną organizacją świata pracy. Wg CBOS 14% pytanych wskazuje na „S” jako na związek który „najlepiej reprezentuje interesy ludzi takich jak...” odpowiadający (11% – OPZZ, 2% – „S-80”, 9%, – Samoobrona). Otóż wprawdzie Krzaklewski, który, jak wiadomo, nie sprawuje żadnych funkcji we władzach związku, cieszy się nadal poparciem i zaufaniem związkowców, nic takiego nie można by powiedzieć o rządzie Buzka, jego reformach i koalicjantach. Ich krytyka na zjeździe była totalna i przypominała czasem stosunki z gabinetem Suchockiej.

Tak czy inaczej, partii/federacji, w którą ma się przekształcić AWS długo jeszcze nie będzie i Marian Krzaklewski może się nie doczekać wzmocnienia swej pozycji jako jedyne szefa jedynej wielkiej partii prawicy. W istocie, i analitycy polskiej sceny od dawna na to wskazują. Właściwym stanowiskiem dla tak wysoko stojącego polityka powinna być prezydentura, i to zapewne z założeniem natychmiastowej zmiany Konstytucji w kierunku władzy prezydenckiej. Marian Krzaklewski zapewne o tym przemyśliwa, ale teraz zmuszony jest odłożyć te plany na bok. Jego rokowania na zwycięstwo w walce o prezydenturę są nikłe. W sondażu PBS ogłoszonym w *Rzeczpospolitej* 39% głosowałoby w grudniu

1999 na Kwaśniewskiego, 4% na Wałęsę, 3% na Krzaklewskiego, 2% na Olechowskiego, 15% by nie głosowało, a 31% nie ma zdania. Nic więc dziwnego, że w Cetniewie postanowiono nie nominować kandydata „S”. Związek udzielił poparcia w wyborach prezydenckich, jeśli AWS wysunie jednego wspólnego kandydata obozu solidarnościowego, którą to formułę uznano za zaproszenie UW do rozmów. Odrzucono stanowczo propozycję Wałęsy, żeby pierwszą turę wyborów potraktować jako prawybory w obozie solidarnościowym, w której wszyscy startujący zobowiązaliby się poprzeć zwycięzcę w walce z Kwaśniewskim w drugiej turze. Zazwyczaj tłumaczono, że pomysł Wałęsy mógłby sprawić, że nie będzie w ogóle drugiej tury. Wałęsa oświadczył zatem, że sam stanie do wyborów. A w Unii Wolności niektórzy chcieliby rozmawiać z AWS o wspólnej kandydaturze (Paweł Piskorski, Henryk Wujec), ale zdecydowana większość uważa, iż trzeba koniecznie zmanifestować w pierwszej turze obecność i ...odrębność Unii Wolności. Partia ta ma, jak już o tym pisałem, najbardziej stabilny elektorat. W 1998 osiągała miesiąc w miesiąc 12-16% wskazań, w 1999 – 10-13%. Miała więc miejsce niewielka ale wyraźna redukcja. Powodów mogło być kilka, w tym dwa zwłaszcza. Po pierwsze, biznesowy elektorat Unii Wolności przeciekał z wolna na stronę SLD. Po drugie, inteligencki elektorat Unii zawiedziony przez reformy i mający rosnące poczucie krzywdy, uciekał od polityki w absencję...

2.

Rok 1999 miał być trudny – i był. Rok 2000 będzie trudniejszy. Pani Henryka Bochniarz, szefowa Nicom Consulting, zażarty liberał i po troszę *enfant terrible*, oświadczyła, że ma „optymistyczne prognozy”. Wzrost PKB powinien wynieść 6% (wobec, nieobliczonych jeszcze, co najwyżej 4% w r. 1999). Powinny się również poprawić wyniki eksportowe dzięki oczekiwanej poprawie koniunktury w Unii Europejskiej (wg Nicom Consulting, jeśli produkt brutto w UE rośnie o 1%, to nasz eksport rośnie o 4%), o ile sprawdzą się te prognozy, to bezrobocie w Polsce wzrośnie do 15% i więcej. Może nawet do 20% – powiedziała optymistka. Ma to znaczyć, że Polska wkracza na drogę Hiszpanii (choć

jeszcze nie przystąpiła do Unii). Inni ekonomiści nie chcą się zgadzać z Henryką Bochniarz, ale o wzroście bezrobocia są wszyscy przekonani. Ponoć dopiero przy wzroście PKB o 7% bezrobocie może maleć. Zmienić te proporcje można „uelastyczniając” rynek pracy, co w języku liberałów oznacza redukcję ochrony kodeksowej pracowników, ubezpieczeń itd. Na elastycznym rynku pracy pracownik wędruje za robotą jak w Stanach Zjednoczonych: karawany i domy na kółkach. Ale w Polsce nie ma ani jednych ani drugich i brak nawet zwykłych stacji... I tak dalej... Wzrost gospodarczy w 1999 był napędzany niemal wyłącznie przez krajowy popyt konsumpcyjny pokrywany kredytem. Inwestycje natomiast gwałtownie spadły, eksport również. W r. 2000 kredyt będzie znacznie droższy a ponowny wzrost inflacji – na koniec 1999 szacowany na 9,6-9,8% (grudzień do grudnia) obniży siłę nabywczą konsumentów. Czy pozostałe dwa motory wzrostu, zwłaszcza inwestycje, zdołają przyspieszyć?

Tutaj powrócę do sprawy budżetu na r. 2000. Zakończone 9 grudnia prace w sejmowej komisji finansów, której po Henryku Goryszewskim przewodniczy teraz Mirosław Sekuła z SKL-AWS, uchwaliła kilkadziesiąt przesunięć w preliminarzu na łączną kwotę 84,6 mln złotych, tzn. pół promila (!) wydatków budżetu. W szarpaninie o te okruchy – każdy wnioskodawca starał się coś wyrwać dla swego okręgu – ginęła oczywiście autentycznie ważna problematyka budżetu. Posłowie nie mają wprowadzić prawa zwiększać wydatków nie wskazując pokrycia, ale wolno im i powinni zastanawiać się nad samą konstrukcją budżetu. W prasie, nie tylko fachowej, głośno było ostatnio o fikcjach w tym dokumencie. Mariola Balicka w dwóch artykułach w *Polityce* wskazała najpierw na tzw. fundusze celowe, które stanowią bez mała połowę wydatków publicznych, wydatki na ZUS i kasy chorych zaksięgowano fikcyjnie jako pożyczki (4+1,1 mld zł).

„W mijającym roku nastąpiło znaczne rozluźnienie dyscypliny budżetowej. Pieniądze popłynęły szerokim strumieniem wskutek uległości rządu wobec kolejnych grup dobijających się o państwowe środki, a przede wszystkim z powodu większych niż optymistycznie zakładano kosztów reform (...)

Rząd poszedł w zaparte, chowając w budżecie zaskórniaki na czarną godzinę, udzielając pseudopozyczek nie będących formalnie wydatkami czy przesuwając zobowiązania na następne lata – udowodnił, że założony budżet i jego deficyt są pod pełną kontrolą. Powszechnie acz nieoficjalnie wiadomo, że jest to księgową fikcją. Kryje się za nią w rzeczywistości znacznie gorsza kondycja finansów publicznych...”

Głównym źródłem finansowania „cudów” są dochody z prywatyzacji, którą w 1999 założono na 6,9 mld zł, uzyskano zaś do końca listopada 13,2 mld a do końca roku spodziewano się 13,9 mld. I to mimo, że nie sprzedano ani jednej spółki ponad plan. To też pokazuje, ile warte są szacunki, tym razem Ministerstwa Skarbu. Ustawowo na pokrycie deficytu wolno wykorzystać co najwyżej 8 mld zł ale zapewne i na to znajdzie się kruczek. Dla Ministerstwa Finansów formalne ograniczanie deficytu jest głównym celem państwowej księgowości. Mimo to nawet na Świętokrzyskiej uznano, że przesolono zupełne.

Na rok 2000 zdecydowano się otwarcie zgłosić autopoprawkę rządu do preliminarza budżetowego, podnosząc z 11,8 mld zł aż do 20 mld zł wpłaty z prywatyzacji na pokrycie deficytu. Ponieważ rok 2000 będzie zapewne rokiem maksymalnych wpływów z prywatyzacji, min. Wąsacz osiągnie 20 mld bez trudu. Tego zdania są dwaj byli ministrowie prywatyzacji – Lewandowski (UW) i Kaczmarek (SLD). Obaj jednak „martwią się” fiskalizmem prywatyzacji. Lewandowski: „...prywatyzację sprowadza się do budżetowej zapchajdziury. Fiskalizm prywatyzacji prowadzi do tego, iż nie daje się żadnych szans polskim grupom kapitałowym, a to może się na nas za kilka lat zemścić”. Kaczmarek: „Wygląda na to, że dochody budżetu stały się jedynym celem prywatyzacji i nie ma miejsca na politykę przemysłową. Jeżeli minister Wąsacz chce przyspieszyć prywatyzację energetyki, to oznacza, że przeprowadzi ją bez konsolidacji sektora. Byłoby to działaniem nie tylko na szkodę sektora ale i gospodarki” (obaj b. ministrowie wypowiedzieli się w *Gazecie Wyborczej* z 3 XII). Uwaga o polityce przemysłowej ma kluczowe znaczenie, również dla kwestii inwestycji. Prywatyzując na „przejeżdżenie” rząd nie może wspierać rodzimego inwestowania, zwłaszcza w infrastrukturę, a zagraniczni nabywcy kupują gotowe zakłady

nie po to, żeby ładować w nie pieniądze dla rozwoju polskiej gospodarki.

O zjeździe SLD (18-19 grudnia) i o tym zwłaszcza czy główna siła opozycji ma jakiś odmienny program polityki społeczno-gospodarczej – napiszę następnym razem.

Warszawa, 17 grudnia

Krzysztof WOLICKI

PS:

Już dzisiaj rozpoczęła się kosmiczna awantura o „narządy w trakcie stosunku”. Premier odciął się od wystąpienia min. Niemcewicz, a UW powiedziała, co myśli o premierze. Prezydent wtrącił swoje, napominając, by nie przesadzać z omnipotencją prawa i nie regulować tego, co należy do intymności dorosłego człowieka. A ZChN zbiera podpisy o odwołanie Niemcewicza.

Z ukosa

W domach, które tworzą narożnik Rakowieckiej i Puławskiej, jest mozaika sklepów i zakładów usługowych. Niektóre mają jeszcze plamy i zacieki Polskiej Ludowej, ale coraz liczniejsze wybebeszają swe wnętrza, by się uhigienicznąć, unowocześnić, a te nowe wnętrza przypominają plastikowe pudełka, które można wymyć szlauchem. I to chyba też jest postęp? Najbardziej niezwykłym lokalem był mały szewski zakład, jak skórzana dziura nabita gwoździami i zelówkami, mroczna, przesycona niezwykłym zapachem skór i klejów. Siedział w niej szewc, zawsze pijany jak szewc, z jednym zmrużonym sprośnie okiem. Kilka miesięcy temu dziurę wyremontowano i zamieszkał w niej higieniczny plastikowy sklepik z artykułami papierniczymi.

W ciągu ostatnich dwóch lat do większości tych pobliskich sklepów i lokali były włamania, a też napady z bronią w rękę, tak okradziono punkt lotka, ten w bramie, która otwiera swoją mroczną i brzydko pachnącą paszczę na mój dom, oficynę stojącą na podwórku. Pobliski piwny bar „Gawrosz” nie posiada toalety, więc jest nią ta brama i podwórko. Niektóre włamania były kuriozalne, do drogerii złodzieje dostali się z piwnicy domu, włamywali się jak do banku, a skradli szampony i rajstopy. Wydawało się więc, że już nic nie może zaskoczyć mieszkańców. I tu byliśmy w błędzie. W kantorze wymiany walut, który jest niemal na rogu Rakowieckiej i Puławskiej, czasami wymieniałem jakieś niewielkie kwoty. Gdy w południe wychodziłem z domu, ujrzałem na Puławskiej piejące koguty policyjnych wozów, a tłum gapiów falował na ulicy. „Z pepeszy ich załatwili” – informuje mnie sąsiad, pan Darek, ten od celebracji patriotycznych, w którego mieszkaniu jest kiosk ruchu. „To byli nasi znajomi, kupowali u nas bułki i mleko” – pochlipuje dziewczyna w sklepie z nabią. Co się stało? Rano przed kantor zjechały luksusowe samochody, wysiadło z nich kilku mężczyzn z karabinami maszynowymi i rozstrzelali właściciela kantoru. Rezydujący w kantorze złotnik–zegarmistrz miał pecha, poszedł po bułkę do naszego nabiowego i wrócił właśnie na egzekucję właściciela, więc jego też rozwalili.

W dzień po napadzie, w drzwiach, które otwieram niefrasobliwie (nie pytając i nie patrząc kto, ale mam zawsze pod ręką po lewej, zasłoniętej stronie, drewniany, ale krzepki trzonek tenisowej rakiety i temu trzonkowi, którym przed laty wykonywałem tyle celnych uderzeń, bardziej ufam niż temu co zobaczę przez wizjer) stoi dwóch drabów, sięgam więc po rakieta, ale oni zasłaniają się plakietkami „policja”. Oddycham z ulgą. Gdzie się podziały czasy, kiedy na taki widok załopotałoby mi serce, rewizja. Jeden gruby i zasapany, chociaż nie miał wysoko, drugi suchy, z wąsikami. Sadam ich w kuchni i częstuję wodą mineralną. Przybyli rzecz jasna w sprawie napadu. Pytają bez cienia wiary, czy widziałem coś podejrzanego? Nic nie widziałem. Ale i tak mają sporo papierkowej pracy. Wraziłem małe współczucie, nie wiedziałem, że uruchamiam lawinę. Dowiedziałem się, że ich praca nie ma sensu, policjant nic nie zarabia, mfody w War-

szawie dostaje na rękę 600 zł. „Nie widział pan na oczy dzielnicowego” – śmieje się gruby – „to ja panu powiem dlaczego go nigdy nie ma, on jak my teraz siedzi zagrzebany po uszy w papierach.” Drugi narzeka na obecny rząd i na rządy przysze. „Zawsze obiecują większe pieniądze na policję, a jak zachapią władzę, to nic nie dają.” Właściwie byli nawet sympatyczni, tacy bezradni i bezbronni ci dwaj oficerowie z wydziału zabójstw. Ale gdy wyszli, obleciał mnie wielki strach. Przecież to jest, do diabła, dwóch oficerów na służbie. Jeśli oni sami tacy bezradni i zatrwożeni dookolną brutalnością, korupcją i niewydolnością sądów, to jak bezradni jesteśmy my, zwykli obywatele, oni przynajmniej noszą ze sobą broń, a ja mam tylko rakieta tenisową, a w samochodzie metalową blokadę na kierownicę, której używam zamiast kija bejsbolowego.

Z okazji napadu odnowiłem kilka zaniedbanych znajomości, taki pośpieszny czas, że coraz trudniej jest nam się spotkać. M. która mieszka cztery piętra nad kantorem dzwoni do mnie i dzieli się wrażeniami. Pisarz Ł., którego w nocy tuż przed napadem spotkałem właśnie przed kantorem, jeszcze okrytym niewinnym całunem nocy, też dzwoni do mnie. A pan Darek, ten od kiosku ruchu, uważa, że już wszystko wokół zostało obrobione, teraz kolej na niego. Jako były kapral wojska polskiego i człowiek, który kultywuje patriotyczne tradycje na naszym osiedlu, jest przygotowany na wypadek ataku wrogich sił.

W kilka dni po egzekucji na Puławskiej, telewizja kręci z miejsca zbrodni program dokumentalny. Cały ten napad jest odgrywany jak w teatrze. To też znak czasu. Im bardziej coś jest tragiczne, tym bardziej atrakcyjne jest dla mediów, tu też gonimy USA. A na progu kantoru płoną znicze i leżą kwiaty, jakby zginęło dwóch świętych, a wiadomo, że szef kantoru był powiązany z mafią i to była egzekucja.

W jakiś czas potem jest większa sensacja, bo ginie w Zakopanem „Pershing”, słynny szef podwarszawskiej mafii. Wkładał narty do samochodu, kiedy rozstrzelali go przedstawiciele innego gangu. To jest już zupełny upadek gangsterskich obyczajów, kiedyś niepisana umowa mówiła, że na wypoczynku się do siebie nie strzela. Oto już niemal wszyscy wielcy bossowie grup przestępczych dokonali samoeliminacji,

nasi gangsterzy wyrzynają się nawzajem, jak gangsterzy w Chicago w latach 30-tych. Kto wie czy to nie jest jedyna szansa dla policji, która jest bezradna. Policja pociesza, że nasze grupy przestępcze nie mają jeszcze wpływu na życie polityczne, więc to nie jest mafia. A na miejsce gdzie zginął „Pershing” przybywa kawalkada luksusowych samochodów, to gwardia przyboczna gangstera składa kwiaty w miejscu gdzie zginął. Wszystko na oczach prasy i telewizji. A na jego pogrzeb ma przybyć ze Stanów nasz słynny bokser Andrzej Gołota, który przyjaźnił się z zabitym. A jeszcze nie tak dawno Gołota nie mógł przyjechać do Polski, był ścigany listem gończym. Ale kiedy okazało się, że jest silny jak tur i pięścią potrafi rozwalać łby innym słynnym bokserom i w tak wzruszający sposób rozślawiać imię Polski na całym świecie, to nagle stwierdzono, że jest dobrym obywatelem i zacnym Polakiem, wybaczone mu kryminalną przeszłość, przed laty w USA odwiedził go sam prezydent Kwaśniewski. Czy on też będzie w towarzystwie Gołoty na tym pogrzebie? Przepraszam, to są niesmaczne żarty, ale chwilami mam wrażenie, że w tę stronę zmierzamy.

Film „Długi” Krzysztofa Krauzego to nareszcie dobry polski film, który jest zarazem świadectwem naszego czasu. Dwóch młodych inteligentów rozkręca biznes, wpadają najpierw w długi, a potem w ręce bezwzględnych gangsterów, którzy ich szantażują. Próby uzyskania pomocy od policji kończą się niepowodzeniem. Więc w ostatecznej desperacji zabijają swoich oprawców. Aby upozorować porachunki mafijne, odrąbują głowy zabitym. Robi to dwóch miłych, wrzliwych, inteligentnych chłopców. Film jest oparty na faktach, ma niemal charakter dokumentu. Jest w tej historii antyczny dramat i fragmenty „Zbrodni i kary”, a przede wszystkim znak naszego czasu. Młode pokolenie w dżungli nowego świata. Namietność dorobienia się, która jest paktem z diabłem, brak osłony dla obywateli ze strony państwa. W finale, już poza filmem, jest bezmyślność sądu, który wymierza im najwyższy wymiar kary. To nie są mafijni gangsterzy, więc sąd się ich nie boi. To prawda, zamordowali dwóch ludzi, ale uprzednio byli przez nich okrutnie maltretowani, a zabijając mogli mieć przekonanie, że bronili

własnego życia. Nasz czołowy prawnik, Lech Falandysz (on z kolei obecnie reklamuje kawę), dawny doradca prezydenta Wałęsy, oświadcza publicznie, że na ich miejscu, gdyby tylko miał odwagę, to postąpiłby tak samo. A dwaj bohaterowie filmu, tym razem już ci prawdziwi z więziennych cel, występują w telewizji, opowiadają o sobie i stają się popularni. Pewnie wkrótce będą reklamowali jakieś towary, choćby te łopaty, którymi odrąbawali głowy swym oprawcom, przy pełnej aprobacie kinowej publiczności.

Podobnie jak w zeszłym roku, jestem w jury ogólnopolskiego konkursu literackiego dla dzieci w Bielsku-Białej. Mali i młodzi laureaci przybywają z całej Polski. I znowu jestem wzruszony. Te maluchy, często z wiosek i miasteczek, czasami kilkuletnie, o pięknych buziach, o płonących oczach, tak przejęte swoją poezją, a ja przejęty tym co piszą i co mówią. I znowu to poczucie, że ktoś wielką dłonią sieje diamentami po naszym zaśmieconym lesie, jak Polska długa i szeroka. Są też śliczne panienki, uczennice z drugich i trzecich klas liceów, które piszą liryki tak śmiało erotycznie, że umieszczając je w książkowej antologii, bez wątpienia ściągniemy na siebie gromy ZChN-u, jak w zeszłym roku. Co, jak widać, nie niszczy tej imprezy, i to właśnie jest ów polski brak konsekwencji, czasami przekłety, czasami błogosławiony.

Na scenę wychodzi kilkuletnia dziewczynka, bierze pewnie w łapkę mikrofon, jak lizaka i czyta wiersz o kurze, która „kiedy grzebie pazurkiem w ziemi, nie wie, że pisze testament, bo za chwilę stanie się rosołem”. Jej kilkuletni kolega, jest równie odważny, czyta wiersz złożony z podstawowych pytań, podobałby się ten wiersz Waltowi Whitmanowi. Chłopczyk mieszka w małej wsi, gdzieś na krańcach Polski. Jego mili, skromni rodzice, wzruszeni talentem syna, ale też trochę przerażeni, co też im to się urodziło? I znowu czuję zawrót głowy i dręczy mnie pytanie, co przetrwa z tych skrawków wrażliwości rozsianych po kraju, co można by zrobić, by wrażliwość tych młodych nie stwardniała, jak twardnieją i pokrywają się odciskami rosnące stopy człowieka. I te potężne siły, które wkrótce otworzą rosnącym dzieciom oczy i pokażą, że dzisiaj w ich kraju ważny jest tylko sukces i pieniądze.

W starym, pięknym centrum miasta jest plac, zwany przez młodzież „pigalakiem”, jest tam fontanna z rzeźbami z lat 60-tych. Prezydent miasta, z ZChN-u, postanowił, że zamiast tych rzeźb należy postawić krzyż, a z krzyża miałyby spływać artystycznie woda. Przy okazji, nowy most będzie nazwany imieniem papieża. W mieście zawiązał się komitet obrony świeckości placu, aż w końcu sam Kościół sprzeciwił się nadużywaniu symboliki krzyża. „To jest paranoja” – mówi mi urzędniczka z władz miasta – „w tym naszym urzędzie wkrótce wszyscy będziemy chodzić i nieustannie żegnać się znakiem krzyża”. Taksówkarz mówi mi bez wahania, że będzie głosował na SLD – „panie, za dawnych czasów jak kradł urzędnik komunistyczny, to kupował sobie potem syrenkę, a niech pan popatrzy na te pałace, to są domy naszej nowej władzy”.

Odwiedzam w Bielsku kilka kawiarni i nowych pubów, niektóre ulokowały się w zabytkowych, pięknych piwnicach, w jednym poezję śpiewa utalentowana dziewczyna, a słucha jej duża i kulturalna publiczność. I to też jest na szczęście to nowe Bielsko.

Nie mam siły i nie czuję się kompetentny by relacjonować wielki spór o nowy system podatkowy. Pewne jest tylko, że to jest dalsze kompromitowanie się polityków ze wszystkich obozów. Były w tych sporach fragmenty tragikomiczne, konflikty w ramach AWS-u i koalicji, wiele niekompetencji, opieszałości, głupoty, zaciętrzewienia, taniego populizmu, to ostatnie było głównie po stronie opozycji, czyli SLD. Patrząc na ten spektakl z boku, widać przede wszystkim skłócenie i niekompetencję całego parlamentu i partii politycznych. Intuicyjnie czuję, że Leszek Balcerowicz miał rację, a znając jego wrażliwość, która kryje się pod maską arogancji, podziwiam odwagę i determinację. Przegrał tę rundę, też dlatego, że jest wybitnym ekonomistą, ale nie najlepszym politykiem. Podobnie jak kilka innych wybitnych postaci w Unii Wolności, jest w nim niecierpliwość a nie ma nawet cienia tolerancji dla ludzkiej głupoty. Ma zasady i jest nieugięty, kompromis uważa za słabość lub akt niemoralny. Wśród stada naszych polityków-amatorów dryfujących z prądem bieżącej polityki, giętych przez każdy podmuch wiatru jak

trzciny, jest Balcerowicz politykiem niezwykłym. Wierzę, że wielu naszych polityków szczerze wierzy w Boga, co nie przeszkadza im gwałcić kolejnych przykazań, bardzo niewielu jest takich, którzy tak konsekwentnie i kompetentnie wcielają w życie jakieś koncepcje polityczne i ekonomiczne. Balcerowicz jest jak skała. I tak go też postrzega zagranica. Tu jest pewien paradoks, znam Balcerowicza słabo, ale kilka razy z nim rozmawiałem, raz przed laty prowadziłem z nim spotkanie, i wiem jak jest wrażliwy, jak źle znosi czyjeś krzywe spojrzenie.

Ale nie można powiedzieć, że z upadkiem reformy podatków, przegraliśmy wszyscy. Najwięcej zyskało SLD, ich notowania w badaniach opinii publicznej skaczą pod niebiosa. To są niebezpieczne sukcesy, chorobliwe tycie na populizmie. A prezydent Kwaśniewski wetując ustawę, zgodnie z własnym interesem wyborczym, ale chyba niezgodnie z interesem kraju naraził się tym, stojącym z drugiej strony barykady, którzy już byli gotowi zacząć go cenić i lubić. A był tak blisko.

Jeden z bohaterów Sierpnia, przywódca szczecińskiego strajku, Marian Jurczyk, od lat znany jako „prawdziwy Polak”, jest prezydentem Szczecina. Wyjątkowy osioł, cokolwiek powie jest prymitywne. Sąd lustracyjny niedawno oświadczył, że Jurczyk jest sprawcą kłamstwa lustracyjnego, bo współpracował z SB. Jurczyk był prześladowany, więziony, w niewyjaśnionych okolicznościach zginął jego syn i synowa, grożono mu śmiercią. Potrafię uwierzyć, że pod naciskiem coś tam podpisał, jak kiedyś Wałęsa, ale Wałęsa się do tego przyznał, gdy Jurczyk nie. I jest problem, że niegdyś w Szczecinie, w mrokach stanu wojennego, ludzie w obronie Jurczyka wychodzili na ulice narażając swoje życie. A to zobowiązuje. Cała ta sprawa, to już jedynie dorzynanie mitu „Solidarności”. Pytany przez dziennikarzy, współpracował czy nie, powtarza maniacko „Polska dla Polaków”, i że wykańczają go ci niepolacy, a ojczyzna staje się kolonią. Jako prezydent miasta blokował gospodarcze inicjatywy biznesu z Zachodem, a przecież Szczecin jest miastem przygranicznym. Jak to możliwe, że człowiek poważnie ograniczony umysłowo, ksenofob i najwyraźniej maniak, przez lata jest prezydentem jednego z największych polskich miast? Tu widzę największy problem.

Mam nieszczęście znać zbyt wielu ludzi, którzy przed laty weszli na tor naszej polityki, i biegną, nawet z połamanymi nogami. Pisałem niedawno o różnych rozpaczliwych nominacjach, teraz są już ich efekty, czyli imponujące katastrofy. Podobno wielka katastrofa jest z Targami Książki we Frankfurcie, gdzie Polska ma być gościem honorowym. Kolejne osoby szykowały ten polski książkowy i kulturalny popis, a wszystko przez lata i miesiące zmierzało w kierunku zawалу, który w końcu nastąpił. Czy podobnie jest w gospodarce? Polski kapitalizm, jak widać, nadal wykazuje nieprawdopodobną wprost tolerancję na nasze małe i wielkie niekompetencje.

Obywatel RP ma poczucie, że został szczęśliwie opuszczony przez PZPR i przez Związek Sowiecki, ale przy okazji bardzo nieszczęśliwie przez własne państwo. Żyje w kraju rządzonym przez polityków, którymi gardzi, lub z których kpi, w strachu, że straci pracę, że napadną go na ulicy, a policja mu nie pomoże, a jeśli sprawcy zostaną złapani, to dopiero zaczną się kłopoty, bo sądy są skorumpowane i ciężko chore. Premier robi takie wrażenie, jakby sam potrzebował pomocy. I to wszystko, jak czarne na białym, wychodzi w sondażach. Nagle okazuje się, nie do wiary, że Polacy jako najlepszy okres w swoim życiu wymieniają dekadę gierkowską. A dzisiaj nie ufają już prawie nikomu, nie tylko na politycznej scenie. To jest czucie, które ułatwia drogę do skrajnego egoizmu, skoro już nic nie jest pewne, nic nie jest uczciwe, nie ma wspólnych spraw ani autorytetów, a przyszłość niepewna, to trzeba brać co swoje i w krzaki, a w krzakach za kij i bronić swego do upadłego. A przecież nie jest aż tak źle, jak sami to widzimy. Nadal rosną wskaźniki gospodarczego wzrostu. Ludziom poprawia się poziom życia, ale najwyraźniej pogarsza się samopoczucie. To jest banalna prawda, że pieniądze szczęścia nie dają. Źle, coraz gorzej jest między nami.

Polska okazała się szczególnie bezradna wobec drapieżnego kapitalizmu i globalizacji, bo my jeszcze młodzi, niedoświadczeni i łapczywi. Najgłośniejsi o zagrożeniach krzyczą narodowi krety, co utrudnia obserwację prawdziwych zagrożeń dla widzących trzeźwo. Ale nawet ci najmądrzejsi

krytycy stanu rzeczy, potrafią tylko inteligentnie krytykować, nikt nie ma pomysłu co zamiast tego i jak ma wyglądać ta inna droga?

Andrzej Olechowski, dawny minister spraw zagranicznych, ma znakomite warunki fizyczne, niemal dwa metry wzrostu, a też posiada warunki umysłowe, świetnie i przekonująco myśli, pisze i mówi. Gdyby chciał kandydować na prezydenta, wydaje się, że jako jedyny mógłby zagrozić Kwaśniewskiemu. Otwieram telewizję i nagle widzę, jak Olechowski reklamuje jakiś fundusz emerytalny. Głosem, którym jeszcze niedawno firmował polską politykę zagraniczną, a potem jak ksiądz Skarga odważnie krytykował stan rzeczy, tym samym przekonującym głosem reklamuje prywatny fundusz emerytalny. Rzygać się chce.

Kilka spotkań w Kielcach i w małych okolicznych miasteczkach. O tej porze roku Polska jest wilgotna, szara i smutna nie tylko z własnej winy, też z winy klimatu. Kielce bardzo się zmieniły, centralne ulice starsze, a więc ładnej części miasta tworzą pasaż handlowe, i jak to u nas, domy kapią od reklam wieszanych bez ładu i składu. Od tego chaosu można dostać zawrotu głowy. Ale jest dostatnio, ludzie dobrze ubrani, nadmiar samochodów tworzy korki jak w Warszawie. Spotykam koleżankę ze studiów, pracuje na miejscowej uczelni, gdzie jest profesorem językoznawstwa. Zajmuje się formami grzecznościowymi, o których napisała książkę. Obecnie zbiera materiał do pracy o polskich formach obgadywania bliźnich. Jej badania potwierdzają, co ja obserwuję na każdym kroku. Polacy uwielbiają obgadywać innych, to najprostszy sposób dowartościowania siebie, a z poczuciem własnej wartości mają prawie wszyscy kłopot. Kiedy więc przy stole siedzi pięć osób, a jedna wychodzi, to pozostałe od razu poczynają obgadywać tego, co właśnie wyszedł. Zabawne, bo doświadczyłem tego jadąc właśnie w te odwiedziny. Byłem wcześniej gościem pewnej instytucji, jechałem samochodem służbowym, prowadził go zawodowy kierowca, a obok siedziała szefowa placówki. Wysiadła, a on jechał ze mną dalej i nagle zaczął opowiadać niestworzone rzeczy o swojej przełożonej, chociaż nie otrzymał żadnej zachęty z mej strony. Wcześniej robił

nam wykłady na temat naszej polityki ekonomicznej i zagranicznej, z taką swadą i miną, że jestem pewien, że bez cienia wahania przyjąłby funkcję premiera czy ministra jakiegokolwiek resortu. U nas ludzie nadal nie znają swojego miejsca, pewnie dlatego, że miejsca zostały wymiecione przez historię. Więc każdemu się zdaje, że gdyby nie fatalne okoliczności, to mógłby być w zupełnie innym miejscu niż jest obecnie, rzecz jasna w miejscu bardziej odpowiednim, a jeśli nie jest, to wina tajemnych i wrogich sił. W Kielcach rządzi SLD, więc wielu mieszkańców na nich zwała winę za wszystkie swoje problemy. Innym przydają się Żydzi. W Kielcach jest dość powszechny sąd, że słynny pogrom kielecki, to była prowokacja partyjnych Żydów, mówi mi o tym nawet pewna bardzo zacna kielczanka, która zarazem ubolewa, że antysemityzm w Kielcach tak kwitnie. Pogrom kielecki mógł być sprowokowany, chociaż nie ma na to dowodów, pewny jest tylko fakt, że plotka o zaginięciu chłopca skłoniła licznych, poczciwych obywateli by mordowali, cudem ocalałych ze świeżej jeszcze wojny dzieci, kobiety i starców.

Wracając do bardziej optymistycznych tematów. Moi mili gospodarze mają śliczną córeczkę. Kiedy rozmawiam z dziewczynką, to wraca mi nadzieja, że przyszłość Polski będzie pełna słońca, jak jej włosy i oczy. Z pensji profesorskiej nie da się żyć, a on też pracuje na uczelni, więc założyli małe wydawnictwo. I właśnie tak niemal wszyscy sobie jakoś radzą, lepiej lub gorzej. Potem w centrum miasta spotykam się z R., która jest instruktorem bibliotekarstwa. Narzeka na pensję, ale jej mąż dobrze zarabia, czasy jednak są takie, że kobiety źle się czują, kiedy podstawą utrzymania jest pensja męża. Opowiada mi, że gdy kilka lat temu wprowadzali się do nowego domu, tylko oni mieli samochód, dzisiaj wozy mają wszyscy mieszkańcy ich klatki schodowej. A więc znowu ten paradoks naszego narzekania, narzekają też ci, którym powodzi się lepiej. Jakby w ukryciu pracowała wielka fabryka nowych potrzeb i aspiracji, których już zaspokoić się nie daje. Ale równie ważne jest to, o czym pisałem niedawno, że nie mamy czasu a też umiejętności, by celebrować życie, a co jest ono warte bez tego? I te lęki! W Kielcach wieczorem sama kobieta nie wychodzi już z domu.

A jak na dzunglę, to trochę za mało u nas kolorowych kwiatów i pięknych drzew.

Zwiedzam kilka bibliotek dużych i małych, w dużych i małych miastach. Jest brak funduszy na zakup nowych książek, ale sieć biblioteczna odziedziczona po PRL nadal gęsta. Jest spadek czytelnictwa, ale głównie na wsi, tam sytuacja wygląda fatalnie. Za to w miastach lawinowo zwiększa się pożyczanie przez młodych książek, które służą samokształceniu, to potwierdzają wszyscy bibliotekarze. Młodzież na gwałt się dokształca, inwestuje w siebie. W Busku Zdroju na rynku jest kilka eleganckich, niemal paryskich sklepów. Za to księgarnia prezentuje się raczej nędznie, tomików poezji nie widzę tam prawie w ogóle. Podpatruję co kupują ludzie, kilku młodych za grube pieniądze nabywa angielsko-polskie słowniki.

Jestem na spotkaniu w Pińczowie. To niewielkie miasteczko kojarzy się z powiedzeniem używanym najczęściej przez brydzystów. Kiedy ktoś ociąga się z położeniem karty czy z licytacją, słyszy wymówkę: „w Pińczowie dnieje”. Powiedzenie zrodziło się, zapewne dzięki pińczowskiej Górze św. Anny, która góruje nad miastem i osłania je od strony południowo-wschodniej, więc słońce oświetla miasteczko nieco później. Miasto było kiedyś duże i bogate, najpierw zniszczyły je szwedzkie wojny, a w czasie ostatniej wojny zginęło 65% mieszkańców, a 80% budynków, często zabytkowych zostało zniszczonych.

Oceniając nasze współczesne polskie choroby, nie wolno nam zapominać jaką katastrofą była wojna, a potem lata komunizmu.

Kiedy w miejskiej bibliotece spotykam się z kilkunastoma mieszkańcami, czuję, że trochę cierpią, że Pińczów kojarzy się mi tylko z karcianym powiedzeniem. Tutejszy wapień ma niezwykłą cechę, że po wydobyciu jest miękki i łatwy do obróbki, a potem twardnieje, to nim właśnie wyłożony jest m.in. Pałac Kultury. Dyrektor biblioteki, młody, inteligentny, urodził się w pobliskiej wsi, nadal tam mieszka i dojeżdża do pracy. Jest w Unii Wolności, o czym wspomina jakby z delikatnym wstydem. Dzisiaj takie czasy, że jakoś głupio być w partii politycznej. Jemy obiad, bardzo wyrafinowany, w nowej restauracji u podnóża słynnej góry. W mieście

mroczno, ale burmistrz planuje oświetlenie nielicznych ocalałych zabytków. Już po publicznym spotkaniu, z kilkoma mieszkańcami idę na herbatę. Jest dzisiaj problem z definicją elity miasteczka. Mieszka tu grupa ludzi z wyższym wykształceniem, spotykają się z różnych okazji. Ale jest nowa elita, to ci, co dużo zarabiają. Problemem towarzyskiego życia jest dezintegracja i jakaś niemożność. Od wielu lat nie daje się zakończyć budowa basenu. Samorządy oceniane były przez wszystkich pozytywnie, ale tylko z początków ich działalności, potem coś się stało, że zwyrodniały. A to branie spraw we własne ręce napotyka na kłopoty, jakby ręce były za słabe, albo sprawy za ciężkie lub za śliskie.

Opisywałem już kiedyś Tetmajerówkę, czyli dworek malarza Włodzimierza Tetmajera, który tak uświetnili w ostatnich latach moi znajomi Elżbieta i Zbyszek Konstanty. Ona jest prawnuczką słynnego malarza. On przed laty miał warsztat samochodowy, ledwie wiązali koniec z końcem, w latach 70-tych spali w szafie małego pokoiku. W latach 80-tych stworzyli firmę produkującą kosmetyki dla niemowląt, a potem inne firmy. To ludzie wielkiego sukcesu finansowego nowego czasu, ale dla których pieniądze nie są celem samym w sobie, kultywują piękną tradycję i wspierają kulturę w Krakowie. Po latach Elżbieta osiadła na włościach rodzinnych, czyli w dworku Tetmajera, który dzięki nim odzyskał dawną świetność, a był w ruinie. Teraz pulsuje od obrazów słynnych malarzy i przedmiotów z okresu Młodej Polski.

Kiedy spaceruję po słynnych z „Wesela” Bronowicach, boli mnie, że ta wieś, która swoją urodą uwiodła tylu krakowskich artystów, zmieniła się w nieładną krakowską dzielnicę. A jeszcze w latach 60-tych stało tu wiele drewnianych chałup, które pamiętały Wyspiańskiego i słynne wesele. Dzisiaj żyje jeszcze stara, drewniana kuźnia, a dwie chałupy ze zdruzgotanym dachem dogorywają na poboczu drogi. Tak kochamy naszą tradycję, a tak ją pracownicy zaniedbujemy. Zachodzę do pobliskiej Rydlówki, gdzie przyjmuje mnie energiczna ciotka Elżbiety, prawnuczka Lucjana Rydla. Przed stuleciem sąsiadami byli ich pradziadowie, teraz one mieszkają po sąsiedzku. Ten dom – muzeum, pierwotnie był dworkiem Tetmajera, a w roku 1900 odbył się tu ów słynny

ślub Rydla z Jadwigą, siostrą żony malarza, bo Tetmajer udostępnił go na weselne przyjęcie swemu przyjacielowi, poecie. Nie mógł wiedzieć, że dzięki Wyspiańskiemu, ten domek stanie się nowym Soplicowem. Jakimś cudem dworek przetrwał i jest w nim teraz muzeum. Po latach Tetmajer nabył obszerny dwór w pobliżu, i to jest właśnie obecna Tetmajerówka, natomiast Rydel od malarza odkupił dom, gdzie było jego wesele i „Wesele” Wyspiańskiego i tam zamieszkał. Dzisiaj pani Rydlowa krzepką dłonią ustawia mnie przy framudze, gdzie zapewne stał Wyspiański obserwując przyjęcie.

Śledząc biografię Tetmajera i jego prawnuczki Elżbiety, obserwuję ze zdumieniem jak powtarza się ta wielka i mała historia, tylko w nieco odmiennych konfiguracjach. W roku 1880 do kościoła jechały „Trzy wozy zaprzężone po cztery konie, o zaplecionych wstęgami grzywach. Na wozach, jak kwiaty w ogrodzie, lśniły barwy szkarłatnych chustek, gorsetów, czepców i robionych kwiatów (...) Na środku pierwszego wozu stał pan młody w białej jak śnieg płótniance...” opisywał zdarzenie jeden ze świadków. Kraków zdrzął z oburzenia. Chłopiec z takiej dobrej rodziny, żeni się z wiejską dziewczyną! Odnotowano ironicznie, że „wrażenie było tak silne, że obawiano się o zdrowie wszystkich dewotek”. A sam Tetmajer skarżył się znajomemu w liście: „Cały Kraków odwrócił się ode mnie, (...) Z rodziną mam fatalne przejścia, bo ojciec znać mnie nie chce. Jednym słowem straszne awantury”. Ojciec, ułan z czasów powstania listopadowego, do końca życia nie wybaczy synowi. „Straszne awantury” przeżywa Elżbieta, prawnuczka Tetmajera, gdy w roku 1968 wychodzi za mąż za Zbyszka Konstantego. Pannienka z dworu Tetmajera, z takiej rodziny, wychodzi za zwykłego chłopaka z Bronowic, na dodatek, słynnego we wsi zabijakę? Nie! – krzyknął ojciec. Ale ona się nie ugięła, jak kiedyś nie ustąpił Tetmajer. Oba śluby były w tym samym kościele Mariackim, na rynku, bo Bronowice należą do parafii tego kościoła. W poprzednim wieku nie widziano w kościele rodziny malarza, teraz nań nie przybyła z Tetmajerówki rodzina panny młodej. Tak to się wszystko paradoksalnie plecie.

Gdy Polska odzyskuje niepodległość, słynny malarz, staje

się nagle politykiem, jest w pierwszym szeregu ludzi, którzy tworzą wolną Polskę. Kiedy na chwilę wchodzę w tamte lata, widzę jakże podobne do dzisiejszych były konflikty, korupcja i gorycz odzyskanej wolności. Tetmajer podobnie jak wielu artystów i naukowców, którzy w Trzeciej Rzeczypospolitej, czyli po roku 1890, stali się dygnitarzami, też się do tej roli zupełnie nie nadawał. Jego patriotyzm był czasami nieporadny, czasami patetyczny, a to przecież on jest autorem intrygującego zdania: „W naturze polskiej jest jakiś błąd.” Znamienne, że jego potomkowie te właśnie słowa wybrali na motto założonej przez siebie fundacji, która tak pięknie wspiera wiele kulturalnych imprez Krakowa. Zbyszek Konstanty i jego żona kontynuowali polityczną tradycję Tetmajerów. W stanie wojennym w dworku był skład nielegalnych powielaczy, a jego warsztat samochodowy punktem przerzutowym sprzętu i podziemnych książek. W ich małym mieszkanku, ich mały syn kręcił korbką powielacza produkującego ulotki. Przy nalewkach które robi gospodarz wspominamy te wspólne, konspiracyjne czasy, z nostalgiczną łezką w oku.

A ja przy okazji ze wzruszeniem odkrywam, że żyje najmłodsza z córek Włodzimierza Tetmajera – pani Krystyna Skąpska mieszka na ulicy Starowiślniej. Często mi przysyła ciasto i herbatę, a potem podchodzi do starego zegara, który wisił kiedyś w dworku, w jadalnym i uruchamia dla mnie pozytywkę, i nagle czuję jakbym był na progu Soplicowa. W jej obszernym mieszkaniu oglądam z przejęciem obrazy Włodzimierza Tetmajera. Był jednym z najwybitniejszych malarzy polskiej wsi, niektóre obrazy są tak wielkie, że rozpychają obszerne ściany starej kamienicy. Pod koniec życia Tetmajer namalował niezwyklej autoportret, też wisi w tym mieszkaniu. Na mrocznym tle jego siwa głowa jest przedstawiona od tyłu i przypomina czaszkę, to jest człowiek widziany oczyma śmierci, która skrada się na palcach. I przybyła po malarza wkrótce.

Córka Tetmajera ma dzisiaj 88 lat, ale jest młoda duchem i ma w sobie światło. A przecież przeszła przez mrok wojny i Syberii. Była tam z nią jej matka! Pani Krystyna długo mi opowiada o ucieczce z Krakowa na wschód, wejściu Rosjan, o aresztowaniach. Na Syberię jechały długimi

tygodniami towarowym wagonem, na środku którego stał piecyk. Celem podróży była kopalnia miki, gdzieś za Irkuckiem. Trzaskające mrozy, głód, praca ponad siły. Tam pani Krystyna zostawiła groby męża i dwójki dzieci. Potem amnestia, Teheran, w końcu Indie. Z Indii amerykańskim okrętem płyną do Neapolu. Wahania – czy nie zostać na emigracji? Miały nawet gotowe dokumenty, „ale mama chciała do Bronowic”. Wróciły w roku 1948, a cała wieś na nie czekała dzień i w nocy. Przychodzili potem ludzie z wielkich i małych Bronowic witać „Gospodynię” z „Wesela”, która pojechała na Syberię w krakowskim stroju z wielkimi koralami na szyi i w takim stroju wróciła. Czy Wyspiański wymyśliłby taki epilog „Wesela”?

Z wielu okruszków pamięci pani Krystyny wybieram kilka. Bratem malarza był słynny poeta, Kazimierz Przerwa-Tetmajer. W czasie okupacji żył w biedzie, zmarł w przytułku dla ubogich. Pani Krystyna pamięta stryja, gdy obchodził 25-lecie pracy. Najpierw w Związku Podhalan było przyjęcie, potem stryj pojechał do jej siostry Isi na obiad, (tak, to ta Isia z „Wesela”, która jako jedyna po ojcu odziedziczyła talent i wiele jej obrazów wisi w Tetmajerówce). Kiedy Isia podała zupę, a pani Krystyna pamięta, że „na obiedzie była też jej mama, stryj rozejrzał się z niepokojem i czekał. Naprzód wszyscy musieli zacząć jeść, zanim on podniósł łyżkę. To były początki jego psychicznej choroby.”

Już w Tetmajerówce, znowu pijemy herbatę na ganku, który jest oprawiony w drewniane, pełne wdzięku kolumnienki, a ten ganek nie zmienił się od czasów gdy siadywali tu przyjaciele malarza: Sienkiewicz, Reymont i Wojciech Kosak. Pani Krystyna nie pamięta Piłsudskiego na ganku, chociaż wiadomo, że tu był, pamięta za to generała Hallera, jak przyjechał do Krakowa przywożąc dwóch francuskich generałów. Adiutantem jednego był kapitan de Gaulle i on też tu siadywał. Kto by się spodziewał, że ten wysoki wzrostem oficer będzie kiedyś jednym z największych polityków Europy. W Tetmajerówce odbywały się bale. Wszystkie siostry grały na fortepianie, zawsze zgodnie ze swoim temperamentem. Najstarsza, Isia, grała tylko walce. Energiczna Hanka, ta która lubiła jeździć konno, oberki i mazurki. A łagodna siostra Klimka (czyli babcia Elżbiety!), grała zwykle

Szopena. Najmłodsza i jedyna żyjąca z sióstr wspomina: „Kiedy schodziła się młodzież zwijano dywany i były tańce. Moim zadaniem, małej dziewczynki, było skrobać świeczkę na podłogę, żeby zrobiła się śliska do tańca.” A kiedy pani Krystyna wspomina, że „Jasiek Mikołajczyk najlepiej znał się na rolnictwie i to on pomagał mamie”, nagle oświadczam sobie, że to jest przecież Jasiek z „Wesela”, ten co zgubił złoty róg. Co jest dzisiaj tym złotym rogiem, gubimy go czy nie, w naszej nowej drodze?

Coraz częściej czuję, że kluczem do oceny świata jest to, że wszystko i wszyscy są „mimo wszystko”. Tak samo warto wiedzieć, że niemal wszystko w Polsce jest „mniej więcej”, a jeśli tego „mniej” nie jest za wiele, to jest dobrze. Ale chyba rzeczywiście, ostatnio jakby coś po cichu tępnęło, przynajmniej w moim odczuciu i osób mi bliskich, odczuwamy jakby lekkie sparszywanie. Rzecz doprawdy trudno uchwytana, jak śwąd, który nie bardzo wiadomo skąd dobiega, jest zapachem rozkładu, a może tak właśnie pachnie postęp?

Na przyjęciu, z lekka pijackim, na którym jest kilka osób z naszego młodego biznesu, w tym aż trzech re-emigrantów, Polska nagle staje się głównym tematem rozmów. Jakies pijackie czułe deklaracje, że my tu jednak we własnym kraju, że we własnym domu jednak najlepiej. A zarazem jest przecież jakieś zakłopotanie i zmartwienie ojczyzną, korupcją, tym powszechnym narzekaniem i egoizmem. A dalej znowu idą te patriotyczne deklaracje, że ojczyznę należy kochać, i że jest zagrożona. „Przez kogo?” – pytam z lekką obawą, bo ludzi polubiłem, a jak się dowiem, że zagrożona jest przez obcych, to lubić przestanę. „Przez nas samych, przed nami trzeba jej bronić” – brzmi odpowiedź. Tu mogę się mimo wszystko i mniej więcej zgodzić.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Na tytułowej stronie *Tygodnika Powszechnego* ukazały się dwa wielkie zdjęcia obok siebie: doktora Marka Edelmana i arcybiskupa Alfonsa Nossola. Obaj otrzymali przyznawane dorocznie z inicjatywy pisma medale świętego Jerzego. „Za walkę ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym” – tak brzmi sentencja odznaczenia. Wręczanie medali odbywa się w Pałacu pod Baranami. Właściciele rezydencji, Kinga i Antoni Potoccy, gościnnie użyczają sal, gdzie po części oficjalnej następuje część artystyczna, no i stosowna feta, jak to w Krakowie.

Zaproszeni przybywają z całego kraju. Express z Warszawy bywa tego dnia pełen. Nasz wagon zajmowały prawie wyłącznie osoby jadące na krakowską imprezę. Prosto z pociągu udałam się na Wiślną do *Tygodnika*, żeby spotkać się ze starymi znajomymi (garstka ich została) i odwiedzić stare kąty. Było gwarno, drzwi się nie zamykały... Jeden z młodych redaktorów powiedział mi, że po ukazaniu się numeru ze zdjęciami laureatów, Redakcję zasypał stos listów. Nim rozerwali koperty, westchnęli: „och, znowu antysemita...” Mylili się. Nie było sprzeciwów wobec Edelmana. Listy dotyczyły „szwaba i hitlerowca”. Chodziło o duchownego.

Biskupa Nossola poznałam przed laty w Opolu, jak niósł walizkę przybysza, czarnego kolegi z Afryki, do skromniutkiego budynku kurii. Jako chyba pierwszy z wyższych hierarchów nie pozwalał do siebie mówić „eminencjo”, kłękać i całować pierścieni. Niektórzy twierdzą, że bp Nossol, mimo autentycznej skromności, jest jedynym w Episkopacie prawdziwym Europejczykiem (w moim pojęciu, jest ich kilku). Doskonale wykształcony, otwarty, znajdujący wspólny język z każdym. No i nieprawdopodobnie chudy. Jan Paweł II, który go bardzo lubi, mówi o nim z czułością: „mój najchudszy biskup”. (Wygrywał w tej konkurencji nawet z kardynałem Macharskim.)

Na Opolszczyźnie, skąd Nossol pochodzi, uważając się za

Ślązaka, mamy najliczniejszą mniejszość niemiecką. Są też enklawy Morawiaków, mówiących po czesku. Z nastaniem wolności Biskup zezwolił, żeby tam, gdzie ludność tego chce, msze odbywały się po niemiecku i po czesku.

Odbierając medal powiedział:

„Prawo do bycia innym, prawo do różnienia się, jest podstawowym prawem ludzkim. Sama tolerancja nie wystarczy, inność musi być zaakceptowana, abyśmy wzajemnie ubogacali się swoją różnością...”

No i doczekał się! Rasizm to rasizm. Odrzuca każdego, kogo okrzyknie, że nie w pełni „swój”. Konia z rzędem temu, kto by w zgodzie z logiką objaśnił mi to pojęcie.

Reportaż jest gatunkiem trudnym, mozolnym, czasochłonnym, i co każdy dziennikarz wie – kompletnie nieopłacalnym. W prasie zatem mało reportaży, jedynie ambitna *Gazeta Wyborcza* zamieszcza je niemal codziennie. Dopracowała się własnej szkoły. Reporterzy żonglują faktami, rozmowami, obrazami, wystrzegając się własnego zdania, własnych wniosków i osobistego spojrzenia. Liczą na inteligencję czytelnika. Reportaże mają charakter artystyczny, czy może behawioralny. Zresztą, mniejsza o określenia. Teksty tego typu, wypuszczane z „kombinatu” *Wyborczej*, bywają świetne i mniej świetne, rzecz normalna, ale zawsze trzymają się wspomnianej formuły. Czytam je z zainteresowaniem, ale też z pewnym niedosytem. Są zbyt ulotne. Obawiam się, że znikną z czytelniczej pamięci równie szybko jak gazeta z ich domów. Brakuje mi w nich czegoś, co by zostało na trwałe jako pewnego rodzaju zwiad psychologiczno-socjologiczny dla przyszłego badacza epoki.

Sądzę, że reportaż o dłuższym trwaniu uprawiał Józef Kuśmierek, zmarły 2 kwietnia 1992 roku.

Po raz pierwszy zwróciłam na niego baczniejszą uwagę, gdy walnął artykułem pod tytułem „O czym wiedziałem”. Przyniósł go pewnego mroźnego poranka na przełomie roku 1978/79 do tygodnika *Kultura*, gdzie pracowaliśmy oboje. Był to strzał w dziesiątkę. W sposób niezwykle syntetyczny i zarazem wszechstronny wywalił kawę na ławę, bez żadnej

„mowy ezopowej” stosowanej przez dziennikarzy; bez żadnej autocenzury. Tekst napisany z niebywałą swadą stanowił miążdżącą, popartą liczbami, analizę sytuacji gospodarczej epoki Gierka.

Zima Stulecia, bo tak ją nazwano, paraliżując Polskę, stwarzała okazję do ukazania całej naszej – jak się już powszechnie mówiło – „rozpierduchy”. I Józio to zrobił.

Drogi i szyny tygodniami nieprzejezdne, toną w przemieszczanych wichurami zaspach śnieżnych; paliwo nie dojeżdża, elektrociepłownie i elektrownie stoją; bydło i drób zamarza w fermach, ludzie w mieszkaniach, ropa w silnikach autobusów. Co pomysłowisi przypinają w miastach narty. Widywało się narciarzy w Alejach Jerozolimskich i na Marszałkowskiej. Ale nie była to sielanka. Studzienki odpływowe zablokowane bryłami śniegu na amen, powodowały gromadzenie się gazu pod ziemią. Z tego powodu wystrzeliła w górę jak raca Rotunda, czyli bank PKO w środku miasta, rozrywając na strzępy wiele istnień ludzkich. Władza, jakby nie istniała, wykazuje totalną bezradność.

W takim to czasie Józio Kuśmierek przychodzi do Redakcji z tekstem, który nie tylko w krótkich żołnierskich słowach obnaża zjawisko, ale z buchalteryjnym wyliczeniem podaje przyczyny.

Naczelny, Dominik Horodyński, spojrzał na autora jeszcze mniej przychylnym okiem niż zwykle, a my, koledzy, wrywaliśmy sobie maszynopis z rąk. Józio mógł umieścić artykuł w prasie podziemnej, ale upierał się, żeby zesać go do druku oficjalnie. „Józio, opanuj się, cenzura, towarzysz Łukaszewicz (rządzący mediami w KC – EB)...” – perswadowaliśmy.

– To wy się opamiętajcie – krzychał. – Do głowy wam nie przychodzi, że „Łukaszewicze” to nie Polska, że są do wymiany! Właśnie przez takie wasze myślenie trwają...

Jego słowa uprzytomniły mi nie to, że Kuśmierek jest nieulekły, o czym wszyscy wiedzieli, ale fakt, że to ja się boję. Uprzytomniły mi mój własny, cichy, ale stale obecny, lęk, nie opuszczający mnie od początków komunistycznego porządku. Żyłam w ustawicznym strachu. Bałam się ustroju, który odbierał mi wolność, tym bardziej, że uznałam go za nieuchronny los, jaki przypadł mi w udziale do końca moich dni.

Z lęku brał się mój stosunek do przedstawicieli władzy. Byli dla mnie złowrodzy, ale nienaruszalni i wszechpotężni, jak bogowie greccy.

Gdy powracam myślą do postaci Józefa Kuśmierka, wydaje mi się, że niedowartościowanie jego osoby polega przede wszystkim na tym, że nie umieliśmy docenić jego postawy. Postawy człowieka wolnego w zniewolonym czasie.

Józio ostatecznie wyleciał z warszawskiej *Kultury*, gdy przez telefon po pijanemu zwymyślał towarzysza Rokoszewskiego, członka KC, ciemną, bezduszną figurę tamtych lat.

Przyjęcie pożegnalne urządził w restauracji „Czytelnika”, mieszczącej się w sąsiedniej kamienicy na dole. Schabowe stygły na talerzach, a koledzy nie nadchodzili. Naczelnicy zagroził nam drogę, groził sankcjami, jeżeli pójdziemy pożegnać Józia. Mnie poprosił do gabinetu osobno i pouczył, że powinien służyć przykładem młodszym i zachować się należycie.

Zachowałam się należycie: poszłam na przyjęcie. Niestety, było nas niewiele. „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych...”. Józio przeżył naszą strachliwą nielojalność daleko boleśniej niż utratę posady.

Był kotem, który chadzał własnymi drogami. Zawsze. Towarzyski, chętny do rozmów, ale nie szukający środowisk, ugrupowań, z którymi by się trzymał czy identyfikował.

Syn prezesa Stowarzyszenia Kupców Chrześcijańskich, buntował się przeciw ojcu, od młodu lewicował. W czasie wojny jako szesnastolatek związał się z Gwardią Ludową. Był w lesie. Potem osłaniał słynne zebranie KRN-u w sylwestra na przełomie lat 1943/44 odbywane na Twardej w Warszawie w mieszkaniu towarzysza Mijala. Mijałowa nastawiała dań w pokoju, gdzie towarzyszem przydiował Gomułka. Chłopcy z obstawy na głodno czekali w przedpokoju. Zebranie się przeciągało. Józio opowiadał, że gdy mijały kolejne godziny a na stół wjeżdżały kolejne półmiski z karpim w galarecie, nie wytrzymał. Wtargnął do pokoju i krzyknął: „dość żęście się, towarzysze, najedli, teraz my!” Zatem, to on był pierwszym autorem powiedzonka „TKM”, podyktowanym wszakże nie żądzą władzy, ale zwykłym głodem.

Józef Kuśmierk, kompletnie obojętny na własny stan posiadania, w tym, co pisał, jak mówiłam, umiał niezwykle

konkretnie wskazywać na marnotrawstwo i nonsensy gospodarcze państwa. Czytając jego teksty, zastanawiałam się, skąd czerpie tyle precyzyjnych danych. Chwilami myślałam, że je zmyśla. No bo skąd? Tłukł się, co prawda, bez opamiętania, po zapadłych wioskach kraju jako reporter, ale wyprawy te, choć wzbogacały go w szczegóły, nie mogły dawać syntetycznej wiedzy o całości gospodarki. Okazało się, że miał cichych informatorów w Komisji Planowania, po ministerstwach i w ogóle, na najwyższych szczeblach władzy. Byli to kumple z młodości, którzy porobili kariery.

W 1949 roku Kuśmierk rzucił legitymację partyjną, ale w niczym nie zmienił trybu życia ani zainteresowań. Nadal drukował, gdzie się dało. W *Po prostu*, w *Nowej Kulturze*, w *Świecie*, a przede wszystkim, w znakomitym, ale zamkniętym z hukiem, *Życiu i Nowoczesności*.

Trzeba wspomnieć, że przeszłość wojenna rozciągała nad Kuśmierkiem rodzaj parasola ochronnego. Funkcjonował trochę na wariackich papierach. Opinia wariata i pijaka była dla władzy wygodna, miała odebrać wagę temu, co pisał. Pił i palił dużo. W ostatnich latach życia żywił się kawą i papierosami, niezła strawa jak na zawałowca.

Pamiętam taką scenę. Spędzam jako dziennikarka noc na Łobzowskiej w Krakowie, w Izbie Wytrzeźwień. Mieliśmy doniesienia w Redakcji, że dzieją się tam okropieństwa: zamroczonym podopiecznym wyłamują złote zęby, itp. itd. Pozwolono mi zwiedzić pomieszczenia, siedzieć i patrzeć. Naturalnie nie spodziewałam się, że w mojej obecności dojdzie do nadużyć, ale chciałam przynajmniej wynuchać atmosferę. Nic z tego. Personel był czujny. Dopóki nie zjawił się Józio Kuśmierk. Prowadziło go dwóch zomowców, poczynając sobie dość brutalnie. Józio reagował: pluł, kopał, wrzeszczał, typowa pijacka furia. Zapominając o mojej obecności, zabrano się za niego po swojemu, demonstrując szczegółowo cały arsenał przemocy. Do wyrywania złotych zębów (czy takowe miał!?) nie doszło. Interweniowałam. Dowiedziawszy się, że poturbowali znanego dziennikarza, zdębieli. Puścili go, przepraszając. Wyszliśmy razem. Okazało się, że Józio jest śmiertelnie trzeźwy. Zrobił *happening*, żeby ułatwić mi robotę.

Po zawale odbywał rehabilitację w konstancińskim sanatorium wraz z moim mężem. Takiego pacjenta jeszcze tam

nie widziano. Na ogół, pozawałowcy są zastrachani, poruszają się sztywno jak manekiny, mój mąż rozpoznaje każdego takiego koleżkę na ulicy z dużej odległości. Po Józiu nie było nic widać; zachowywał się ze swobodną nonszalancją. Miał w nosie wszystkie przepisy regulaminu. Palił jak smok. W czasie jego pobytu sanatoryjna ubikacja była zadymiona jak uczniowski szalet. Wyrzucono go mówiąc, że samobójców nie potrzebują. W kolejce czekają ludzie chcący żyć.

Nie przejmował się zdrowiem, mieniem, ubraniem, wyglądem. Ignorował też marazm, jaki ogarnął społeczeństwo w latach osiemdziesiątych. Znow ruszył w Polskę. Redakcje niechętnie dawały mu delegacje, więc podróżował na własny szczerot. Widywałam go od czasu do czasu we wspomnianej stołówce „Czytelnika”. Coraz bardziej mizernego, z coraz głębszymi kołami pod oczyma. Nie pił. Karmił się, jak powiedziałam, kawą i papierosami. Ożywał go duch potrzeby działania, perswadował nam z zadyszką, ale ogniem w oku, że coś trzeba zrobić, a nie biadolić i tasować polityczne karty. Brzydził się masochistycznym roztrząsaniem klęski, co uprawialiśmy w tymże „Czytelniku” niestrudzenie.

Jak zwykle, nie bał się „towarzyszy”. Lekceważył ich. Miał pomysły na pracę pozytywistyczną od dołu, od sołtysa i wójta, od szeregowego gospodarza. Pobudzanie do działania szarych obywateli uważał za misję dziennikarzy. Gdy żywność błyskawicznie zniknęła z półek sklepowych, propagował zakładanie na wsi małych przetwórci wszelkiego rodzaju. Znalazł poplecznika w Stefanie Kisielewskim, który mówił dokładnie to samo.

Ale nie bardzo chcieliśmy tego słuchać. Przyznaję ze wstydem, że unikałam stolika Kuśmierka, uważając jego idee za utopię skazaną na zagładę, choć rzetelnych argumentów przeciw nie miałam. Sądzę, że Józio czuł się ogromnie osamotniony przy tym swoim stoliku, gdy ludzie omijali go lub w roztargnieniu słuchali tego, co mówi. Gryzł się niezrozumieniem bardziej niż gasnącym zdrowiem.

Nagle zniknął. Padł w marszu – tak jak żył. Był od nas wszystkich lepszy. Autentycznie ideowy – bez deklaracji. Gotów płacić za to, co głosił, najwyższą cenę. Józef Kuśmerek czeka nie tylko na wydanie zbiorowe swoich artykułów, ale i na porządną biografię.

Mój mąż, człowiek raczej obojętny religijnie, gdy zmywa statki (to jego powinność domowa), przestawia głośnik na Radio Maryja. Słucha, jak leci. Nie tylko przepojonych, skrywanym jadem politycznych „Rozmów Niedokończonych”, ale śpiewów, modłów, godzinek, telefonów dobroczynnych, informujących, że ktoś chce oddać wózek dla dziecka, maszynę do szycia, rower, lodówkę – czyli audycji naprawdę użytecznych. Próbowałam i ja słuchać. Nie byłam w stanie. Nie tylko dlatego, iż Radio to zawsze stara się przemycić jakieś obrzydlistwo. Na przykład, znakomita aktorka, Halina Łabonarska, czyta powieść „Dziedzictwo” Romana Dmowskiego (pseudonim: Kazimierz Wybranowski) – rzecz wrednie antysemitką; Radio nadaje ją dwukrotnie, we dnie, i w nocy dla Polaków za Oceanem. Ale, jak powiedziałam, nie tylko o to mi chodzi w tym radiu. Mierzi mnie ton. Zawsze ten sam, jęklawie pobożnisiowaty, jakby wychodził stale od jednego człowieka, a nie od wielu dzwoniących ludzi.

Siostra Małgorzata Chmielewska, założycielka czterech domów dla bezdomnych, która obok Janiny Ochojskiej jest dziś jedną z naszych *celebrities* w najlepszym stylu, bo robi wspaniałą robotę; otóż Siostra Małgorzata jest zdania, że Radio Maryja to stracony geniusz. „Bo ci, którzy dzwonią do ‘Rozmów Niedokończonych’ i mówią złe rzeczy o innych, są autentyczni. Pełni nienawiści, agresji i lęku. Czyli Radio dotarło do prawdziwych problemów milionów Polaków. Gdybym ja odbierała takie telefony – ciągnie siostra Chmielewska – to miałabym znakomity materiał do katechezy... Wyobraźmy sobie księdza, który mówi na kazaniu: ‘słuchałem wczoraj Radia Maryja. Zadzwoił do studia człowiek, który wypowiadał się tonem pełnym agresji i nienawiści. Zastanówmy się tu, w naszej wspólnocie, czy była to wypowiedź chrześcijańska. I czy w nas również nie ma takich myśli.’” I dalej: „Nie możemy negować tego, że w wielu katolikach jest wielkie pomieszanie pojęć... Ale Kościół nie może być partią polityczną, a za swoje mieszanie się do polityki – kiedykolwiek w swoich dziejach – zawsze płacił ogromną cenę... Radio Maryja nieraz podejmowało próby ‘zmonopolizowania dobra’, atakując ludzi, którzy robili coś sensownego, ale nie pod szyldem Kościoła... Ja wielokrotnie obrywałam za kontakty z ludźmi, którzy skądinąd nie

deklarują się jako gorliwi katolicy, choć być może, żyją wartościami ewangelicznymi bardziej niż ja...”

Tyle zakonnica w brązowym habitie ze Wspólnoty Chleb Życia założonej współcześnie we Francji i uznanej przez Kościół.

● Plac Teatralny w Warszawie odbudowany jak przed wojną, tyle, że wygląda jak z cukru. Mniejsza z tym. W dawnym Ratuszu mieści się City Bank. Mniejsza z tym. W ramach rekonstrukcji odbudowano również kaplicę dawnych Panien Kanoniczek. Przejął ją ks. Wiesław Niewęglowski, niestrudzony duszpasterz środowisk twórczych. Już się nie tułamy; mamy swój kościółek. Ksiądz Wiesław dokonał wspaniałej roboty (księża okazują się urodzonymi budowlańcami), z małego pomieszczenia zrobił, co się dało. Tylko po co te marmury na posadzce? Powiada, że dostał; sponsor dał. Podobnie mówią bernardyni z mojej parafii. Obok barokowego zabytku klasy zerowej zbudowali kościół „pakowniejszy”. Naokół błoto i wykroty, w środku precudowny marmur w deseń. Argumentacja podobna: z daru. Zgoda, tylko że ten dar można przeznaczyć na opiekę i pielęgnację starych, niepełnosprawnych, wykołejonych w parafii. Co niedziela ksiądz wylicza, ile dała każda ulica i dziękuje ofiarodawcom. Nie powie: „my tu sobie trochę jeszcze pokłęczymy na szlichcie, a wasze pieniążki pójdą na pomoc potrzebującym”. Wielu księżom nie przychodzi do głowy, iż przysporzyliby większej chwały Bogu wypełniając na co dzień Osiem Błogosławieństw niż dekorując Jego dom. Nie zastanawiają się, że dają w rękę argument populistom: „w kraju tyle biedy, a kościoły fundują sobie marmury”. U moich bernardynów na kościele wisi szyld: *Funeral Service*, i obok po polsku: „na raty”. No, ale niech im będzie! Mieszmasz językowy ogarnął przecież całą Polskę.

A przecież coś się zmienia w Kościele! Ostatni list pasterski Episkopatu nie ział nudą, przełamał rutynę w formie i treści. Był krótki, doręczny, operował słowem „chrześcijaństwo”, nie „katolicy”. Kończący seminaria najmłodszy ksiądz coraz sympatyczniejszy, bliżsi ludziom i lepiej wykształceni.

Więc może u progu trzeciego tysiąclecia, jeżeli nie w kraju, to chociaż w Kościele w Polsce coś pójdzie na lepsze?

Trzymając się tematu. Siostra Anuncjata, niepokalanica, szefująca zakonnicom w Jazłowcu (już o tym donosiłam na tych łamach), pisze: „... w najbliższych dniach mają nam oddać lewe skrzydło. Remont gigant i waham się, czy się tego podjąć, czy zostawić na straty... Zebym mogła wiedzieć, czego Bóg chce w tej sprawie, bo tylko wtedy ta praca będzie miała sens...”.

● No więc jak, Panie Redaktorze, jest sens brać, czy nie ma?

Niepokalanek na Ukrainie jest kilka i więcej nie będzie. Zakonnice potrzebne są w kraju do tworzenia szkół, na które coraz większy popyt, mówiąc językiem ekonomii. Jazłowiec jest domem macierzystym niepokalanek. Ogromne, zapadające się zamczysko. Niepokalanicy „strzegące” tam grobu założycielki, położyły dach, prowadzą przedszkole, pracują dobroczynnie. Wraz z towarzyszącym im młodym księdzem już chyba lepiej mówią po ukraińsku niż po polsku. Niedawno powiększyło ich grono kilka Ukrainek. Uroczystość obłóczyn odbyła się oczywiście po ukraińsku. Ale co najważniejsze, żyją w harmonijnej symbiozie z grekokatolikami (w końcu, identyczne wyznanie tylko innego rytu) oraz z prawosławnymi. W tamtym zakątku wśród ludzi religie się przeplatają, to tylko na górze hierarchie bywają w konflikcie.

Miejscowy konserwator, którego nie stać na odbudowę, ma swój interes, żeby oddać zamek niepokalankom do renowacji. Potem, ma się rozumieć, przejąłby obiekt i przeznaczył na swoje cele. Obie strony o tym wiedzą; nie ma żadnych ukrytych podtekstów.

Więc co by Pan Redaktor radził niepokalankom? Nie jest to w istocie religijny problem, ale raczej polsko-ukraiński.

Skoro przy niepokalankach. Byłam na mszy za duszę zmarłej przed dwudziestu laty, moim zdaniem najwybitniejszej niepokalańskiej indywidualności ostatnich pokoleń. Mówię o siostrze Matei. Uczyła polskiego. Ale jak! Nie znosiła beżmyślności; wszelkie rycie, kucie na pamięć, wygłaszanie, okraszanie tępiła z całą bezwzględnością. Obdarzona poczuciem humoru typu *pure-nonsense*, musiała cierpieć z powodu naszego niezrozumienia. A jednak to głównie do niej

przyjeżdżałyśmy do Szymanowa ze świata. Przyjaźniła się z Mironem Białoszewskim, była z nim w żywej korespondencji i jak się dowiedziałam dopiero na żałobnej mszy – z Haliną Mikołajską. Gdy na jej pogrzebie w Laskach Marian Brandys zobaczył niepokalański strój innej zakonnicy, rzucił się jej w ramiona: „Halina będzie teraz z siostrą Mateą”, powiedział. Tyle dni spędziłam na ławce w Oborach z panem Marianem, o tylu rzeczach była mowa, ale o tym nie zgadaliśmy się. Już się nie zgadamy. Przynajmniej tutaj.

● W Warszawie powstały dwa piękne nowatorskie budynki. Gmach Sądów na Placu Krasińskich i Biblioteka Uniwersytecka na Powiślu. Oba projektu Marka Budzyńskiego, oba pochodzące z wygranych konkursów. Warszawiancy w swojej masie okrzyknęli je za koszmarnie. Nie rażą ich naprawdę koszmarnie w swojej brzydocie niektóre z licznie stawianych biurów, banków i wielkich firm – *vide*: okropny, stodołowaty, „Mr. Brzydota” zewnętrznie, czyli wieżowiec na Puławskiej, zakrywający całkowicie cudem ocalały z Powstania, przedwojenny budynek „Higieny” – ciskają gromy na przemyślany kompozycyjnie, lekki, przykuwający wzrok oryginalnością i kolorem gmach Sądów i Biblioteki. Nawiasem mówiąc, Sądy Budzyńskiego nawiązują do przedwojennego kształtu ulicy, przy okazji eksponują Pałac Krasińskich i odwrotnie, głąszą zupełnie chybiony pomnik Powstańców Warszawy.

Pamiętam podobne gromy na stawiany przez Szwedów za komuny pierwszy (nie licząc „Pałacu”) warszawski drapacz chmur, hotel „Forum”. Odbijał od burości budynków Warszawy, był w ciepłym kolorze kawy z mlekiem, i to się właśnie nie podobało. W odróżnieniu od cudzoziemców, którzy dziwili się, że żyjąc w kraju, gdzie przez większość roku jest szaro, nie sięgamy w budownictwie do kolorów.

Zgoda: z gustami się nie dyskutuje, ale przy wszelkich pretensjach, jakie tu co miesiąc zgłaszam, akurat tej ślepoty i zamknięcia na oryginalne, autorskie propozycje architektoniczne najmniej spodziewałabym się u rodaków. Myślałam, że jesteśmy ludźmi z fantazją.

Paweł Piskorski, prezydent Warszawy, ledwie co upieczony, a już laureat dorocznej nagrody Stefana Kisielewskiego fundowanej przez tygodnik *Wprost*. Nie mam nic przeciwko Piskorskiemu. Przeciwnie, uważam, że się dobrze zapowiada. Ale tylko zapowiada, bo jeszcze niczego ważnego nie dokonał. Korki uliczne potężnieją, Most Siekierkowski nie ruszył z miejsca ani o jotę (wciąż ta sama przyczyna: ktoś nie chce sprzedać pustej stodoły leżącej na trasie); podobnie, obwodnica; kramy w centrum jak stały, tak stoją. Szukałam w bieżącej prasie uzasadnienia nagrody – nie znalazłam. Na pewno, dostał ją „po uważaniu”. Ale jakim? Tego się nie dowiemy.

● Jak również nie dowiemy się, jakie uzasadnienie przyświeca pokrywany z budżetu zagranicznym wyjazdem senatorów. Radio TOKFM zadało sobie trud zapytywania senackich rzeczników i dyrektorów codziennie przez wiele dni. Jedno pytanie: dlaczego jadą. Słuchaliśmy na antenie wymiagających odpowiedzi: że brak upoważnienia, że osoba mogąca udzielić informacji – w podróży, że „na chorobie”, że jutro. „Jutro to będzie jutro”, zakończył sprawę po wielu „jutrach” spiker.

● Gdy czytelnik weźmie ten egzemplarz *Kultury* do ręki, sprawa spektakularnego zamieszania parlamentarno-podatkowego należeć będzie do historii, i pewnie ja również o niej zapomnę. Ale teraz leży mi na wątrobie. Nie podatki, bo na nich się nie znam, ale zachowanie prezydenta. Gdy złapano go u progu prezydentury na mało istotnym kłamstewku z magistratem i nie bardzo umiał z niego wybrnąć – współczułam mu. Nikomu się krzywda nie stała. Sam zapłacił za chwilę słabości upokorzeniem. Potem „sprawował się” nad podziw dobrze i zyskał uznanie osób przedtem mu nieprzychylnych, w tym moje. Aż tu nagle „wybuchło” jego połowiczne *veto* wobec reformy podatkowej. Jej autorom i zwolennikom obiecywał „na bank”, że podpisze całość rozumiejąc integralność reformy. Postąpił inaczej, motywując zmianę stanowiska nie przemyśleniem meritum sprawy, ale „ukaraniem” koalicji za zastosowanie w Sejmie kruczka prawnego.

Jeżeli już, to kruczki stosowała również opozycja, o czym prezydent nie wspomniał. Stracił w moich oczach występując w tej sytuacji w roli moralizatora.

Warszawa, 9 grudnia 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Niderlandy pana Zagłoby

W sierpniu br. Biuro Radcy Ekonomicznego Ambasady Polskiej w Waszyngtonie otrzymało propozycję zatrudnienia kilkuset śląskich górników przy eksploatacji węgla kamiennego na Alasce. Oferta właścicieli złóż węgla kamiennego w Jonesville była bardzo ogólnikowa. Przedstawiciel właściciela kopalni podał jedynie, że jest zainteresowany zatrudnieniem polskich górników. Propozycję tę biuro radcy ekonomicznego przesłało do Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Oferta w Katowicach została potraktowana bardzo poważnie. Wybierająca się w październiku do USA delegacja województwa śląskiego z wojewodą Markiem Kempsem na czele, planowała przeprowadzenie dalszych rozmów na ten temat. Wojewoda Kempski na zaproszenie gubernatora stanu Pensylwania, Toma Ridge'a, spotkał się z Samuelem McCluglem, przedstawicielem amerykańskiej kopalni, który podał szczegóły amerykańskiej inicjatywy. Przede wszystkim Amerykanom chodziło o to, by polski holding kopalniany zainteresował się zakupem złóż węgla na Alasce. Po ich zakupie Polacy zajęliby się zaangażowaniem górników do pracy, eksploatacją złóż, a następnie sprzedają złóż na rynkach międzynarodowych. Pan McCluglem stwierdził, że węgiel na Alasce jest bardzo wysokiej jakości, polscy górnicy są doskonale wyszkoleni, więc nie byłoby trudności ze sprzedażą tego węgla na rynkach światowych. Oferta amerykańska,

przynajmniej na początek, nie była zbyt duża. Była mowa o zatrudnieniu „maksymalnie” ok. 200 polskich górników. Musieliby to być pracownicy władający językiem angielskim. Szereg innych spraw, jak wysokość zarobków, długość pobytu górników na Alasce, reakcja amerykańskich związków zawodowych i zgoda rządu USA na pracę nie były sprecyzowane.

Po powrocie do Polski wojewoda Kempski przedstawił ten plan lokalnym władzom polskim, Agencji Restrukturyzacji Górnictwa oraz Ministerstwu Przemysłu. Wiadomość o propozycji amerykańskiej została nagłośniona przez prasę i z miejsca zaczęli zgłaszać się pierwsi górnicy. Tymczasem żaden holding kopalniany w Polsce nie zainteresował się propozycją Amerykanów. Na początku grudnia inicjatywa „Szychty na Alasce”, jak zatyłował artykuł na ten temat polonijny *Nowy Dziennik*, zostaje w zawieszaniu. Nie udało się nawet ustalić, gdzie znajduje się dokumentacja dotycząca amerykańskiej inicjatywy.

Podsumowując historię amerykańskiego pomysłu, rzecznik wojewody stwierdził, że stroną najbardziej zainteresowaną jest prasa a nie polski kapitał górniczy. Dodał on, że bardziej realistycznym pomysłem, niż praca na Alasce, jest zatrudnienie zwalnianych górników śląskich w kopalniach czeskich. Pracuje ich tam już kilkuset, szczególnie w strefie przygranicznej.

Marek TOMASZEWSKI

O religii bez namaszczenia

Kościelne pieniądze

Po bardzo interesującym raporcie *Polityki* (nr 45/99) o stanie finansów Kościoła, redaktor Jerzy Giedroyc zwrócił się do mnie z prośbą o artykuł-komentarz. Decyduję się na to niezbyt chętnie, ponieważ jestem niewierzący, więc przy takim temacie natychmiast pojawia się podejrzenie, że moją główną intencją są złośliwości pod adresem Kościoła. (Cokolwiek zrobię i tak niektórzy czytelnicy tak to odbiorą.) Po namyśle zdecydowałem się na prezentację tych kilku uwag mając nadzieję, że nie przyczynią się one do zaognienia dyskusji wokół tych spraw, a raczej przeciwnie, że być może troszkę ułatwią dialog bez emocjonalnego zacietrzewienia. W artykule korzystam z uwag przesłanych mi przez księdza Adama Bonieckiego oraz przez Adama Szostkiewicza i Antoniego Pospieszalskiego. Oczywiście za opinie wyrażone w tym artykule odpowiedzialność ponoszę tylko ja, ale mam nadzieję, że fakt, iż mogłem się zapoznać z poglądami osób znacznie lepiej znających tę problematykę ode mnie pozwolił mi uniknąć najbardziej rażących błędów.

Artykuł na łamach *Polityki* był bardzo interesujący, ale nie od niego chciałbym zacząć. Dyskusja o kościelnych finansach toczy się przecież już od dłuższego czasu. Tli się od kilku lat, przygasa i znów odżywa. Na łamach różnych pism jest raczej serią słabo powiązanych wypowiedzi z ukrytą informacją, że dla części hierarchów potrzeba radykalnych zmian na tym polu jest bolesnym i pilnym problemem. Słuchając tych głosów, odnosi się wrażenie, że niektórzy biskupi (i nie tylko biskupi) zarówno zdają sobie sprawę z tego, że w odczuciu znacznej części społeczeństwa Kościół postrzegany jest

jako instytucja pazerna na pieniądze, ale i tego, że autorytet księży jest coraz bardziej narażony na szwank, w sytuacji rosnącej rozpiętości poziomu życia wiernych i ich kapłanów.

Odpryski tej dyskusji o kościelnych finansach pojawiają się na marginesach sporów o reprivatyzację, o finanse państwa, o sprawność działania wymiaru sprawiedliwości, a nawet o samorząd. Zdawać by się mogło, że istnieje ostry przedział między zdecydowanymi zarzutami lewicy pod adresem Kościoła, wyrażanymi w najbardziej brutalny sposób na łamach *Nie*, a niezwykle wręcz ostrożnymi wezwaniami o uporządkowanie finansów kościelnych, na które natrafić można nawet na łamach *Naszego Dziennika*, gdzie sąsiadują z obroną *status quo* i wezwaniami do dalszej ekonomicznej ekspansji Kościoła na wszystkich frontach. Oczywiście ten przedział jest pozorny. Bez trudu możemy tu pokazać *continuum*, ale wydaje się, że jego najbardziej charakterystyczną właściwością jest niemal całkowity brak informacji o krytycznych postawach wiernych wobec kleru w prasie katolickiej. W prywatnych dyskusjach na temat prasy katolickiej pojawiają się wręcz porównania do okresu późnego socjalizmu i spotkałem się tu nawet z pół-żartem rzuconą propozycją, że przydałby się tu drugi obieg. Jak łatwo się domyśleć, nie była to propozycja ateusza, ani nawet człowieka religijnie obojętnego.

Poziom religijności w dzisiejszej Polsce jest ciągle jeszcze efektem rozpadu komunizmu z jednej strony oraz tego, że Polak jest papieżem. Te zmienne, najsilniej wzmacniające poziom religijności, nie wydają się wpływać najlepiej na zmianę jej charakteru. Charakter polskiej religijności był na przestrzeni ostatnich stuleci setki razy przedmiotem rzeczowej krytyki i to głównie ze strony ludzi głęboko wierzących. Podnoszono tu społeczno-rytualny charakter tej religijności, jej nieszczerliwe połączenie z identyfikacją narodową, prowadzące do instrumentalnego traktowania religii przez przywódców politycznych i do zatarcia klarowności niektórych pojęć religijnych w mentalności samego kleru, a wreszcie tradycjonalizm i społeczny konserwatyzm. Kościół katolicki, przez swoje tkwiące w feudalizmie korzenie i jednoznaczny sojusz z warstwą szlachecką, nie tylko był negatywnie nastawiony do wszelkich procesów demokratyzacji życia społecznego, ale

w codziennych praktykach religijnych zmierzał do wzmocnienia akceptacji istniejących struktur społecznych. W efekcie, jak to podkreślał na przykład Stefan Czarnowski, wysoki autorytet kapłana łączył się nieraz z ostrym antyklerykalizmem na tle wygórowanych opłat za posługi. Równocześnie fakt, że kler i Kościół pozostawał niechętny, a nawet wrogi, wobec działań zbiorowych zmierzających do poprawy położenia społecznego warstw niższych, łączył ludowy antyklerykalizm z radykalizmem społecznym i prowadził do jeszcze bardziej rytualnego traktowania religii, jako sfery oddzielonej od najistotniejszych spraw życia codziennego. (Znakomite wyjątki wśród księży raczej potwierdzały tę regułę.)

W odczuciu społecznym bez trudu można dostrzec podwójny obraz Kościoła – jako strażnika moralności oraz instytucji dbającej głównie o własne dobro i żywiącej się hipokryzją. Istniejące od kilkuset lat w języku polskim porzekadło: „kto ma księdza w rodzie temu bieda nie dobodzie”, wyraźnie świadczy o tym, że ten podwójny obraz uważany jest za zjawisko permanentne i niezmiennie.

Na historycznych zakrętach sprzeczne tendencje ujawniają się wyraźniej. Jeśli w ostatniej fazie rozpadu systemu komunistycznego Kościół postrzegany był przede wszystkim jako instytucja integrująca społeczeństwo w oporze wobec tamtego zła, z chwilą zwycięstwa natychmiast pojawiły się głosy ostrzegające przed możliwością instrumentalnego traktowania religii w polityce, oraz niebezpieczeństwa przekształcenia się Kościoła prześladowanego w Kościół władczy. Życie potwierdziło wiele z tych obaw, zaś dyskusja wokół kościelnych finansów wydaje się skupiać całą wiązkę problemów trapiących głównie samych wierzących.

Czy jest to zatem dyskusja wyłącznie wewnątrzkościelna, w której głosy osób postronnych są całkowicie zbędne? Ponieważ jest to równocześnie dyskusja na temat relacji między Kościołem i państwem, odpowiedź na to pytanie brzmi jednoznacznie – nie. Niestety, jak to widzieliśmy podczas sporów wokół Konkordatu, argumenty merytoryczne są tu z reguły prezentowane i interpretowane w kontekście partyjnych walk o władzę.

Sama dyskusja, czy też próba analizy tej dyskusji, musi być rozłożona na czynniki pierwsze. Zasadnie byłoby zacząć

taką analizę od prezentacji dotychczasowego przebiegu dyskusji wśród kościelnej hierarchii i na łamach prasy katolickiej. Ta dyskusja rozpoczęła się niemal natychmiast po upadku komunizmu, co było prostą konsekwencją faktu, że Kościół (podobnie jak i inne instytucje) stanął przed pytaniem, w jaki sposób i na ile zmiana otaczającej rzeczywistości wpływać będzie na zmianę jego sposobu funkcjonowania. O ile możliwości znacznego rozszerzenia dotychczasowej działalności zostały natychmiast dostrzeżone i podchwyczone, o tyle dyskusja na temat zmian systemowych posuwa się bardzo drobnymi krokami. Przypominając sobie głosy na ten temat (np. biskupa Pieronka) wydaje się, że centralnym hasłem zwolenników reformy jest przejrzystość. W wyniku nacisków na większą przejrzystość finansów kościelnych pojawiły się pierwsze powszechnie dostępne sprawozdania na temat finansów kilku diecezji oraz płac biskupów i księży. Rzecz znamienita, że część społeczeństwa przyjęła te sprawozdania dość sceptycznie. Czy społeczny odbiór tej próby był krzywdzący, czy same sprawozdania w krzyżący sposób kontrastowały z tym, co ludzie widzą gołym okiem? Osobiście spotkałem się ze stwierdzeniem, że ta próba przekształciła się w szkodliwy dla Kościoła pokaz hipokryzji. Cała ta sprawa była tematem gorących dyskusji w dość małej grupie inteligencji katolickiej i przedmiotem licznych komentarzy w publikacjach skrajnej lewicy. Znamienny jest tu fragment listu, który otrzymałem od księdza Adama Bonieckiego: „Oczywiście, czasem trudno przekonać ludzi, że np. biskup (w tym przypadku abp. Ziściński) nie pobiera żadnej pensji, korzysta oczywiście z mieszkania i posiłków w Kurii, utrzymuje się zaś z autorskich honorariów. Co z tego, że tak naprawdę jest i tak nikt nie uwierzy.” Ta podejrzliwość w postawach społecznych jest dość charakterystyczna i chyba jest problemem, który należy traktować poważnie. Nie ma najmniejszego powodu, aby wątpić w to, że wielu księży żyje w bardzo skromnych warunkach, nie ma również powodu aby sądzić, że obraz kleru w oczach społeczeństwa nie ma żadnych styczności z rzeczywistością.

W moim Dobrzyniu zainteresowanie problemem kościelnych finansów (aczkolwiek ograniczone do parafii) jest jednak silniejsze niż w dużych miastach. W okolicznych miastecz-

kach i wsiach sytuacja jest podobna. Dyżurnym tematem towarzyskich spotkań są cenniki usług, psychologiczne naciski wywierane na wiernych, samochody księży, wystrój plebanii. Młodszy zaczynają głosować nogami, starsi tylko psioczą.

Być może mam fatalne pole obserwacji. Tu i ówdzie czytam w gazetach o proboszczach przejętych hasłem przejrzystości kościelnych finansów, dbających o kolegialne liczenie ofiar, skrupulatnie prowadzących księgowość i systematycznie prezentujących wiernym informacje o finansach parafii. Chciałbym w takiej parafii porozmawiać z ludźmi, przekonać się na ile zmienia to ton uwag na temat Kościoła. Jak dotychczas mi się nie udało. Żle szukałem? Miałem pecha? Czy też ten typ proboszcza jest aż taką rzadkością? Zdawać by się mogło, że na to pytanie znajdę odpowiedź sięgając do pism parafialnych. Większość tych pism jest niestety nadal na bardzo niskim poziomie, ale warto odnotować fakt, że na tym polu wiele się zmienia i że istnieje cały ruch zmierzający do podniesienia poziomu pism parafialnych, i że coraz częściej zdobywają one różne nagrody w konkursach prasy lokalnej. Kilku redaktorów takich pism (z reguły są to piśmka redagowane przez księży, a nie przez parafian) potwierdziło moje obawy, że parafialne rozliczenia finansowe nigdy nie były ani tematem warsztatów dziennikarskich, ani seminariów czy spotkań, i że dotychczas nie zgłaszano zapotrzebowania na informację na temat tego, jak takie rozliczenia prezentować. Wielu proboszczów jest wręcz przeciwnych takim rozliczeniom, ponieważ, jak to określił jeden z redaktorów takiej gazety parafialnej: „Jeśli parafianie mają głęboką wiarę, mają również zaufanie do swojego duszpasterza.” (Nawiasem mówiąc, podobny typ postaw obserwowałem również u wielu działaczy „Solidarności” i innych organizacji społecznych w Polsce, którzy czuli się urażeni oczekiwaniami finansowych rozliczeń z darowanych pieniędzy czy darów rzeczowych.) Ten typ postaw wydaje mi się bardzo groźny z punktu widzenia rozwoju demokracji. Jestem przekonany, że bez prawdziwie demokratycznego samorządu w gminie nie będzie demokracji w państwie, a obawiam się, że przykład ze strony proboszcza promieniuje na postawy działaczy samorządowych, na organizacje społeczne, na postawy obywatelskie. Stałe i wszechobecne posądzenia strzegących moralności ka-

planów o hipokryzję, czy wręcz o finansową nieuczciwość, musi prowadzić do lekceważącego stosunku do moralności, a w szczególności do obowiązku czystych rąk w sprawach finansowych. Tymczasem księża wydają się być przekonani, że te posądzenia są wynikiem moralnych braków wiernych i że jakiegokolwiek rozliczenia niczego tu nie mogą zmienić. Ksiądz Boniecki prezentuje w swoim liście interesujący przykład Brazylii, gdzie jak pisze, całością finansów parafii zajmuje się wybierana przez ogół rada. Ona wypłaca księdzu pensję, sama zaś jest kontrolowana przez kurię i przed nią się rozlicza. Jego zdaniem w znacznym stopniu eliminuje to podejrzliwość wobec księży.

Antoni Pospieszalski jest głęboko przeciwny wprowadzeniu podatku kościelnego na wzór niemiecki i (podobnie jak wiele osób w kraju) optuje za pozostaniem przy dobrowolnych ofiarach. Nie obawia się ewentualnego zubożenia Kościoła, gdyż jego zdaniem taki Kościół byłby bliższy Ewangelii i byłby również znacznie bliższy ludziom ubogim. Wydaje mi się, że ta wizja ubogiego Kościoła jest raczej utopią, ale ja również mam tu swoje naiwne marzenie: Kościoła szerzącego znajomość księgowości, Kościoła propagującego finansową przejrzystość i rzetelność. Nasz samorząd z reguły nie ma jeszcze pojęcia ani o gospodarności, ani o finansowej rzetelności. Rzucająca się w oczy chciwość samorządowców wyznaczających sobie niebotyczne płace i diety na długo rzutować będzie na stosunek ludności do samorządu. Skąd płyną te wzory, skąd się bierze owa bezwstydnosć? Czy przypadkiem nie wpływa na te postawy rozpowszechniony w naszym społeczeństwie obraz kapłana? Nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić, ale podejrzenie związku wydaje mi się uzasadnione.

Jest jeszcze jedno skrzyżowanie problemu samorządu i kościelnych finansów – wykorzystywanie funduszy na prace interwencyjne do prac nie tylko na rzecz kościołów, ale i plebanii. Tu, w polu moich obserwacji, jest to stosunkowo najczęstsza forma korzystania przez Kościół z funduszy publicznych. Bogiem a prawdą, mój stosunek do tej sprawy nie jest wcale taki jednoznaczny. Burmistrz leżącego o kilkanaście kilometrów od nas miasteczka mówi o tym całkiem otwarcie i te wydatki są uwzględnione w jego sprawozdaniu. W rozmowie mówi mi, że traktuje te wydatki jako transakcję związaną

– świetnie mu się współpracuje z proboszczem, który przejmie na siebie część ważnej dla gminy pracy społecznej. Gorzej jest np. w jednej z sąsiednich gmin, gdzie się to starannie ukrywa (a czego ukryć się nie da) więc jest powód do plotek i podejrzeń o „dziwne” układy między wójtem i księdzem. To samo w innej gminie dotyczyło pieniędzy na remont cmentarnej kaplicy. Osobiście zgadzam się z radnymi, że w tej biednej gminie są znacznie pilniejsze potrzeby (jeden z radnych AWS ubawił mnie swoim komentarzem, że z cmentarza jeszcze żadne nie cierpiące zwłoki wnioski nie wpłynęły, a od żywych b. dużo) ale jeszcze bardziej martwi mnie fakt, że decyzję w tej sprawie zarząd gminy podjął bez porozumienia z radą. Ksiądz (inteligentny i sympatyczny) wydawał się również nie rozumieć mojego zmartwienia. Dla mieszkańców gminy sprawa była jednak jasna: wójt ma księdza w kieszeni i może się nie obawiać jego krytyki. Członek parafialnej rady stwierdził: nasz ksiądz to dyplomata, w żadnych ludzkich sprawach się nie wypowiada.

Na poziomie gminnego samorządu znaczna część budżetu (moim zdaniem zdecydowanie zbyt duża, ale to osobny problem) finansowana jest centralnie, są to pieniądze przeznaczone na bardzo określone potrzeby i moim zdaniem bardzo źle się dzieje, jeśli są wykorzystywane niezgodnie z przeznaczeniem. Inna kwestia z tą częścią budżetu gminy, która pochodzi z dochodów własnych. Tu demokratycznie wybrana rada ma znacznie większą swobodę decydowania i jeśli troską mieszkańców jest powiedzmy remont kościoła, czy chociażby wsparcie parafialnego pisma, to nie ma powodów, dla których rada nie miałaby takiej decyzji podjąć. Jednak moim zdaniem, troską wszystkich, włącznie z zainteresowanym księdzem, powinno być pilnowanie reguł gry, nie tylko przejrzystość takiej decyzji, ale i jej formalna poprawność.

Redaktor Jerzy Giedroyc w liście, w którym prosi mnie o przygotowanie tego artykułu, pisze o swoich obawach na temat wzrastającego obciążenia funduszy publicznych wydatkami na finansowanie Kościoła. Raport *Polityki* pokazuje, że nie tylko nikt nie zna całej prawdy na temat finansów Kościoła w Polsce, ale (co jest znacznie poważniejszym problemem) nikt w administracji państwowej nie umie odpowiedzieć na pytanie, jakie sumy są wydatkowane na potrzeby

Kościoła z funduszy publicznych. Zdawać by się mogło, że tak proste elementy składowe tych wydatków, jak np. koszty nauczania religii w szkołach, płace kapelanów w wojsku, w więzieniach i w służbie zdrowia, powinny być łatwe do sprawdzenia i przedstawienia opinii publicznej, jeśli nie z innych powodów, to chociażby dla uniknięcia podejrzeń o próby ukrywania tych kosztów.

Bodaj najwięcej kontrowersji wywołuje sprawa współfinansowania przez państwo związanych z Kościołem wyższych uczelni. Problem wydaje się być partyjno-światopoglądowy. Osobiście uważam, że w dobie potwornych cięć funduszy na naukę warto pamiętać, że przyszłość Polski raczej zależy od stanu polskiej nauki niż polskiej teologii. Muszę tu oczywiście pamiętać o swoich skrzywieniach, o tym, że dla mnie ani teologia, ani socjologia do nauki się nie zaliczają. Nie wolno jednak zapominać, że uczelnie katolickie nie samą teologią stoją i że wypuściły sporo całkiem solidnych fachowców. Zgoda. (Co więcej, seminaria, a więc kształcenie kapłanów, pozostają nadal na wyłącznym utrzymaniu Kościoła. Chociaż i tu spotykamy się ze znakami zapytania.) Pozostajemy zatem raczej przy pytaniu o formy podejmowania decyzji w sprawach finansowania uczelni powiązanych z Kościołem, o jakość dyskusji na temat nakładów ze środków publicznych, które mają być przeznaczone na uczelnie katolickie, anizeli przy sporze o to, czy w ogóle środki budżetowe mają być na ten cel przeznaczane. Tej dyskusji towarzyszy ideologiczne zaperzenie i to po obu stronach barykady. Czy jest szansa, żeby ton dyskusji na temat tych decyzji zneutralizować? Wszystkie osoby, z którymi na ten temat rozmawiałem, są w tej kwestii bardzo sceptyczne.

Kolejny problem na styku Kościoła i funduszy publicznych to reprivatyzacja. Z całą pewnością wnioski Kościoła są tu traktowane priorytetowo i na wyjątkowych prawach. Znowu muszę próbować być ostrożny z krytyką, bo zapewne sporo prawdy jest w stwierdzeniach, że w niektórych sprawach o zwrot majątku kościelnego chodzi o dobra, których utrzymanie w chwili obecnej więcej kosztuje niż przynosi zysku i że zwracając je Kościołowi, państwo więcej zyskuje niż traci. Podobne argumenty padają na temat ziemi, że chodzi tu głównie o majątki, które znalazły się w gestii Agen-

cji Rolnej Skarbu Państwa i że Kościół sprawniej niż inni organizuje na nich dzierżawy lub prace dla byłych pracowników PGR. Innymi słowy, nie wszystko jest tak piękne jak twierdzą przedstawiciele Kościoła, nie wszystko jest tak złe jak mówi Urban.

Materialna sytuacja Kościoła ma swoją geografie. W Krakowie całe ulice są własnością zakonów. Nikt postronny nie wie, jakie są zyski z dzierżawy posesji przy tych ulicach, ale równie mało wiemy o kolosalnych kosztach remontów budynków sakralnych, czy o wewnętrznych sporach na co obrócić kościelne pieniądze. Tu jednak spotkałem się z interesującym zarzutem, że Kościół nie widzi powodów do odmiennego traktowania pieniędzy ze składek wiernych i zysków z działalności gospodarczej, a przecież pieniądze ze składek to fundusze publiczne wiernych, które winny być rozliczane równie skrupulatnie jak budżet państwa.

Wiele niepotrzebnych konfliktów wywołały zwolnienia z ceł. Wydaje mi się, że problem nie polega na tym, że te zwolnienia są, ale na braku kontroli tego jak się z nich korzysta i to zarówno ze strony państwa (Urzędu Celnego) jak i w jeszcze większym stopniu ze strony samego Kościoła.

W odczuciach społeczeństwa Kościół jest dziś najbogatszą instytucją w Polsce. Ekonom Episkopatu Polski, ksiądz Jan Drob na łamach *Polityki* odpowiada na stwierdzenie o prowadzeniu „szerokiej działalności gospodarczej Kościoła”, że nie taka ona znowu szeroka i że opodatkowana. I tu znów pytanie – jak właściwie szeroka, w jakich rozmiarach korzysta z ulg podatkowych, czy ktoś to wie jak właściwie są wydawane zyski z tej działalności? Ostatecznie trudno byłoby zanegować sens (nawet czysto ekonomiczny) gigantycznej pracy charytatywnej Kościoła, czy dziwić się pracy misyjnej, itp. Nie o tym wszystkim jednak mowa, mowa o przejrzystości, o skali ulg podatkowych (może uzasadnionych, nie zamierzam tu bawić się w oceny, chodzi raczej o stan faktyczny) o zyskach i wydatkach. Mam wrażenie, że ks. Drob, mimo wszystkich wysiłków jego rozmówców, bardzo zřęcznie się wymigał. Wspomniany w raporcie *Polityki* fundusz emerytalny Arka-Invesco jest tu najbardziej spektakularnym przykładem tej działalności, ale jak wiadomo kontrowersje wokół tego funduszu są znacznie mniejsze

anizeli wokół operacji finansowych Radia Maryja i np. do dziś niewyjaśnionych losów pieniędzy zbieranych na wykupienie Stoczni Gdańskiej. Ostatnia wizyta papieska była w znacznym stopniu finansowana przez sponsorów i podobno pozostały tu spore nadwyżki finansowe. Sprawność ściągania sponsorów nie jest i nie może być zarzutem. Brak przejrzystości co się dzieje z darowanymi pieniędzmi jest zawsze okazją tak do uzasadnionych jak i nieuzasadnionych zarzutów. Obawy przed takimi zarzutami najwyraźniej nie są obce Episkopatowi Polski, który na ostatniej naradzie w 1999 roku właśnie z powodu braku przejrzystości systemu finansowania powstrzymał się przed daniem zielonego światła dla Telewizji Familijnej. Udziałowcami tego przedsięwzięcia ma być podobno Skarb Państwa oraz m.in. Polska Miedz, widać nie tylko ja mam odczucie, iż nie byłoby to stosowne.

Nowa gospodarcza aktywność Kościoła wzbudza wiele emocji, ale jak się wydaje główny nurt dyskusji toczy się wokół ewentualnych rozwiązań systemowych. Z dużym zainteresowaniem czytałem niedawno zamieszczony na łamach *Więzi* artykuł ks. Piotra Mazurkiewicza na temat finansów Kościoła w państwach Unii Europejskiej. Autor pisze wyraźnie, że istnieje w Polsce zapotrzebowanie na taką informację w związku z koniecznością i możliwością zmiany systemu finansowania Kościoła w Polsce. W końcowej partii artykułu podkreśla, że w wielu krajach zachodnich Kościół jest subwencjonowany przez państwo i równocześnie zaznacza, że zwiększa to bezpieczeństwo finansowe Kościoła, ale zmniejsza poczucie odpowiedzialności wiernych. Ostatni akapit tego artykułu jest dla mnie szczególnie interesujący: „Niewątpliwie jednak, zaletą tych rozwiązań systemowych jest klarowność kościelnych finansów, a zatem również mniej okazji do kierowanych pod adresem Kościoła oskarżeń o nadużycia. Jeśli zatem celem reformy finansów kościelnych w Polsce byłoby zapewnienie stałości dochodów oraz wprowadzenie przejrzystości, to niewątpliwie system podatku kościelnego wyraźnie temu sprzyja. Bezpowrotnie jednak spowoduje on odejście od sytuacji, w której każda złotówka jest przez wiernych osobiście przynoszona do kościoła.”

Z rozważaniami przez niektórych autorów projektami wprowadzenia w Polsce podatku kościelnego mam pewien

kłopot, a może nawet dwa kłopoty. Pierwszy to nieprawdopodobna wręcz niezręczność naszych reformatorów. Obawiam się, że wyglądałoby to jak obecne reformy w służbie zdrowia czy w szkolnictwie. Drugi problem jest jeszcze poważniejszy, mianowicie byłaby to okazja do koszarnej walki politycznej między partiami sądzącymi, że poparcie Kościoła zapewni im polityczne zwycięstwo, a partiami przekonanymi, że wyborcy są raczej antyklerykalni. Chwilowo wydaje mi się jednak, że w samym Kościele przeciwnicy systemowego rozwiązania problemu finansów kościelnych mają liczebną przewagę i że jedyna rzecz, na którą w przewidywalnym czasie można liczyć to pojawienie się wzorów rzetelnego rozliczania finansów parafialnych i diecezjalnych i stopniowe rozpowszechnianie się tych wzorów. Pomocą w rozpowszechnianiu takich wzorów mógłby być internet, prasa katolicka, prezentacja przez hierarchów, którym ta sprawa leży na sercu. Jak pisałem wcześniej, chwilowo nie widać nawet zapotrzebowania na takie wzory.

Ksiądz Adam Boniecki pisał w swoim liście, że od jakiegoś systemowego uregulowania kwestii finansów Kościoła nie da się uciec i że on osobiście jest zwolennikiem systemu włoskiego, a więc pozostania przy dobrowolnych ofiarach wiernych plus dobrowolnego opodatkowania na rzecz Kościoła w ramach podatku od osób fizycznych. Mnie osobiście wydaje się (mogę być w błędzie), że dyskusja nad reformą jest jeszcze tak bardzo w powijakach, że nawet jeśli do niej dojdzie, to jest to kwestia wielu lat. Hasło przejrzystości, konsekwentne naciski, tak hierarchii, jak i (przede wszystkim) samych wiernych, mogłyby jednak stopniowo przynieść jakościową zmianę.

W samym Kościele zwolennicy zmian systemowych wspominają również o innym niebezpieczeństwie – o wysychaniu ofiarności wiernych, czy to ze względu na relatywne ubożenie społeczeństwa, czy też ze względu na wzrastającą ofertę towarów budzącą to, co się czasem pogardliwie nazywa konsumeryzmem. Ów konsumeryzm jest dość natarczywie, ale raczej mało skutecznie piętnowany z ambon, co jak mi się wydaje, wśród młodszego pokolenia wzbudza reakcje dokładnie odwrotne od zamierzonych.

I wreszcie osobny problem – zabytki. Kościół sprawuje

pieczę nad zabytkami naszej architektury. Tu współpraca z państwem i państwowe nakłady wydają się konieczne, ale po pierwsze, reguły gry są kompletnie niejasne, po drugie, ta pieczę realizowana jest bez wystarczającego i sprawnego nadzoru. W efekcie (widziałem to chociażby w sąsiedniej wsi) kasuje się zabytkowe kościółki, żeby wybudować jakąś okropną, udającą kościół stodołę. Na Zachodzie, również tam, gdzie istnieje podatek kościelny, zabytki sakralne konserwowane są w niemałym stopniu dzięki ofiarności społeczeństwa (nie tylko wiernych). Całkiem sporą rolę odgrywają tu datki od turystów, na co u nas raczej nie można liczyć i z tego punktu widzenia pomysł finansowania np. remontu kościoła Mariackiego z reklam telefonii komórkowej należy chyba uznać za udany.

Kończąc te uwagi chciałbym raz jeszcze podkreślić, że zaangażowanie państwa w finansowanie Kościoła jest nie do uniknięcia i to nie tylko ze względu na jego społecznie bardzo ważną działalność charytatywną. Trzymając się tradycji otaczania swoich finansów tajemnicą, Kościół nie ułatwia rozwiązania tego problemu w możliwie najbardziej bezkonfliktowy sposób. Radykalne systemowe rozwiązania wydają się nadal być sprawą dość odległą, ale już dziś potrzebny i możliwy byłby przegląd istniejących powiązań między Kościołem a Skarbem Państwa i tego rodzaju raport z pewnością pomógłby oczyścić trochę atmosferę i ułatwiłby dalszą dyskusję.

Mieszkając przez wiele lat w krajach o innej niż nasza tradycji religijnej nauczyłem się przyjmować jako rzecz oczywistą rozliczanie darowanych pieniędzy przez organizacje religijne, charytatywne czy społeczne z kupiecką skrupulatnością. Nadużycia są tam zjawiskiem rzadszym, a atmosfera wokół spraw finansowych jest zdecydowanie lepsza. Pieniądze Kościoła to nie tylko niezbędny kapitał na ewangelizację, działalność charytatywną, remonty budynków sakralnych czy uposażenie księży, ale również element praktycznej nauki Kościoła. Szeroko rozpowszechnione podejrzania o nierzetelność i hipokryzję w sprawach finansowych rzutują na samą wiarę i niewątpliwie utrudniają, a czasem wręcz blokują, promieniowanie pozytywnych wzorów propagowanych przez Kościół na inne dziedziny życia społecznego.

Religia jest wehikułem tradycji i dominująca religia, czy

tęgo chcemy, czy nie, kształtuje mentalność zarówno wierzących jak i niewierzących. Kościół polski uważa się często za ludowy, chłopski. Podejrzewam, że w kwestii stosunku do pieniędzy przenosi raczej dziwaczną tradycję szlachecką, osobliwej drażliwości i wstydlivosti wokół spraw finansowych, która bynajmniej nie wyklucza ani chciwości, ani nieuczciwości. Tej tradycji miło by się było pozbyć na wszystkich polach, nie tylko w sferze finansów kościelnych.

Dobrzyń, 12.12.1999

Andrzej KORASZEWSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Sąsiedzi

O murze, co udawał płot

Historia zaczyna się sześć lat temu. Rada miasta Usti nad Łabą ma problem z ludźmi uchylającymi się od płacenia czynszów. Któregoś dnia magistrat postanawia ich wysiedlić. Dziś jednak trudno wyrzucić ludzi na bruk, zwłaszcza gdy mają dzieci. W '93 roku miasto zaczyna więc remontować dwa bloki przy ulicy Maticznej w dzielnicy Nesztiemice i urzędują w nich tanie mieszkania o niskim standardzie. Rok później przemieszcza tam swych niewypłacalnych mieszkańców.

Usteccy radni nie przypuszczają jeszcze, ile biedy tym krokiem sobie napytają. A właściwie nie tyle sobie, co swemu krajowi, który im w końcu jeszcze zapłaci, byle tylko pozbyć się problemu.

W Czechach tak się bowiem składa, że problemy socjalne pokrywają się z etnicznymi. W Usti niemal wszyscy uchylający się od płacenia to Romowie. Nie płacą, bo nie mają z czego, gdyż przeważnie nie pracują. Nie pracują zaś, bo są Romami. Nie tylko dlatego, że jako Romowie nie mają w zwyczaju pracować. Także ci, którzy chcieliby pracować, nie mogą dostać pracy – jako Romowie właśnie. W ten właśnie sposób bezrobocie wśród czeskich Romów sięga dziesiątków procent.

Ale to, że są bezrobotni, nie znaczy, że nie starają się dorobić. I tak z pobliskich, bogatych Niemiec na Maticzną trafiają stare pralki, lodówki i jeszcze inne podobne rzeczy – tam już niepotrzebne, tu wciąż jeszcze dające się upłynnić, przynajmniej jako złom. Na śmietnik trafia tylko to, czego spieniężyć już naprawdę nie sposób.

Ale – jak się okazuje – to wystarczy. Sęk w tym, że i w Maticznej z płacaniem nie jest najlepiej, również z płacaniem za wywóz śmieci. Magistrat próbuje przywołać lokatorów do porządku i śmieci nie wywozi. Tylko, że ten kij – jak każdy – ma dwa końce. Pod blokami rosną góry odpadków.

Jak zamienić siekierkę na kijek?

A poza tym jeszcze ten hałas! Każda romska rodzina ma dzieci. Z reguły wiele dzieci. A dzieci potrzebują ruchu, zabawy. Kiedy nie mają się gdzie bawić, bawią się na ulicy. I rzadko kiedy są cicho.

Romom to nie przeszkadza. Porządnie i czysto musi być w domu, ale już niekoniecznie poza nim. No a dzieci są przecież dziećmi.

Innego zdania są mieszkańcy kilku rodzinnych domków po drugiej stronie ulicy. Interwenują raz, drugi, trzeci, wreszcie – w kwietniu '98 roku – piszą petycję. Śmiecią, smrodzą, hałasują – skarżą się na sąsiadów władzom miasta, do których zaczyna docierać, że ściągając Romów na Maticzną zamieniły siekierkę na kijek. Zamiast mieć mniej problemów, mają po prostu inne.

Radni radzą przez miesiąc i w końcu wiedzą, co robić. „Postawimy mur, który to wszystko zasłoni”, obiecuje w maju mieszkańcom will burmistrz Usti, Ladislav Hruszka. Mur na cztery metry – dodaje.

Światowa prasa donosi, że w Czechach będą budować getto dla Cyganów. To na chwilę skłania do refleksji. Już w czerwcu, ten sam burmistrz Hruszka obiecuje z kolei Romom z bloków, że jeśli zrobią porządek wokół swych domów, żadnego muru nie będzie.

Miasto podstawia ciężarówkę, Romowie zaczynają sprzątać.

Jak celnie trafić w płot?

Tymczasem władzę w państwie przejmują socjaldemokraci. W Usti, tak w całym mieście, jak w Nesztimicach, rządzi jednak wciąż jeszcze Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS) ex-premiera, Václava Klause. A wybory komunalne tuż, tuż – już w listopadzie.

Radni z Usti nie mają ochoty iść do opozycji, jak ich koledzy z centrali. We wrześniu rada w Nesztimicach podejmuje więc uchwałę o wzniesieniu w ulicy Maticznej „cera-

micznego płotu” o wysokości jednego metra i osiemdziesięciu centymetrów. Płot to przecież nie mur. Chodzi tylko o ochronę przed hałasem. Jak przy autostradzie.

Ów strzał w płot okazuje się wyjątkowo celny i przysparza radnym popularności. W listopadzie partia Hruszki i Toszovskiego (i Klause) bez trudu zdobywa ratusze w Usti i w Nesztimicach.

Jak walić głową w mur?

Tymczasem na Maticzną wkracza Petr Uhl, od niedawna pełnomocnik rządu do spraw praw człowieka. W październiku Uhl domaga się od ministrów zakazu budowy muru. Samorządowcy z Usti rozpoczynają na niego nagonkę. To rzekomo dzięki niemu zagraniczni korespondenci zamiast o płocie piszą o murze. Uhl się jednak nie poddaje i nadal wali głową w ustecki mur, z nadzieją, że go w końcu rozwali.

W maju w mur zaczyna walić też rząd. Ministrowie podejmują decyzję o wstrzymaniu jego budowy. Sęk w tym, że rząd nie ma żadnych uprawnień, by coś nakazać lub zakazać samorządowi.

W końcu 30 sierpnia mur ma stanąć. Od rana do Usti zjeżdżają się Romowie z całego kraju. Magistrat, „ze względów technicznych”, przekłada budowę „na jutro”.

Jeszcze jednak tego samego dnia agencje donoszą, że starosta usteckiego powiatu, Leosz Nergl, unieważnił decyzję magistratu o budowie muru i to... już dwa miesiące wcześniej, jako sprzeczną z ustawą o ochronie przyrody. Mur bowiem może naruszyć... system korzeniowy stojącej tam lipy. Mur narusza też – zdaniem starosty – konstytucyjną Kartę Praw Człowieka. Sęk w tym, że decyzja starosty jest tak samo ważna, jak decyzja rządu. Na razie jednak budowa się opóźnia.

Jak mury rosną, a jak padają?

W końcu jednak 4 października na ulicę Maticzną przyjeżdża ekipa firmy Pyrus. Robotnicy burzą najpierw stary, żeliwny płot, potem stawiają słupy, wreszcie wpuszczają między nie betonowe płyty.

Dwa dni później na plac budowy wkraczają wspierani przez przyjaciół Romowie z bloków. W ciągu kilku godzin mur znika.

Nie na długo. 13 października, w środku nocy, jeszcze

przed czwartą nad ranem, Maticzną otacza osiemdziesięciu miejskich policjantów. Chwilę potem zjawiają się robotnicy z Pyrusa. Odgradzają ulicę płytami z falistej blachy i płotem z drucianej siatki. O ósmej rano czwarta część konstrukcji jest już gotowa, w południe połowa, wczesnym popołudniem zaś ustecki mur staje się rzeczywistością. Nie da się go już tak łatwo rozebrać, jak tamtego sprzed tygodnia – zapewniają architekci nowej koncepcji współżycia białej większości z romską mniejszością w Usti na Łabą.

Tymczasem głową w stojący już mur wali parlament. Tego samego dnia równo stu ze 174 obecnych w izbie posłów unieważnia decyzję radnych z Nesztemic o budowie „ceramicznego płotu”. Przeciwni są niemal wszyscy deputowani z partii Klausa oraz kilku komunistów. Burmistrz Hruszka nazywa uchwałę parlamentu dowodem oderwania posłów od problemów mieszkańców kraju. Magistrat zamierza się odwoływać do Trybunału Konstytucyjnego.

Parlament może unieważniać decyzje samorządów, jeśli są sprzeczne z prawem, wyjaśnia praski adwokat Tomáš Sokol. Sęk w tym, że i z tego nic nie wynika. Gmina czy miasto może bowiem budować na swoich gruntach co chce – także bez decyzji radnych – o ile nie narusza to prawa budowlanego. Mur nie narusza.

Tymczasem budowę ostro krytykuje Unia Europejska. Komisarz do spraw jej rozszerzania, Günther Verheugen, mówi o naruszaniu praw człowieka i apeluje do rządu w Pradze o natychmiastowe rozwiązanie. Przewodniczący Komisji Europejskiej, Romano Prodi, oświadcza, że Europa nie będzie tolerować już żadnych murów.

Przeciw murowi znów protestują Romowie. 4 listopada w Maticznej ustawiają namiot i zaczynają w nim koczować.

23 listopada obraduje ustecki magistrat. Mur będzie zburzony – dowiadują się dziennikarze na konferencji prasowej. Czeski rząd obiecał miastu dotację w wysokości dziesięciu milionów koron, czyli miliona dwustu tysięcy złotych. Za jej trzecią część wykupione zostaną trzy wille „białych” po drugiej stronie ulicy Maticznej, reszta przeznaczona zostanie na programy socjalne i na rozbiórkę stojącej obok, rozpadającej się kamienicy.

W nocy na Maticzną znów przyjeżdża ekipa z Pyrusa. Po

kilku godzinach z muru nie zostaje kamień na kamieniu. Romowie jednak się nie cieszą. Gdy sąsiedzi odejdą i bez muru będzie tu getto – mówią.

Z mieszzanymi uczuciami do decyzji rządu „przekupienia” usteckich władz odnosi się jego pełnomocnik. Uhl ma jednak nadzieję, że przynajmniej część tych pieniędzy, które gabinet posłał do Usti, zostanie wydana rozsądnie, na konkretne socjalne programy.

Uhl nie ma jednak wątpliwości. Dobrze się stało, że mur runął. Bo ten mur był już symbolem. Złym symbolem.

To był mur

Bo to był mur. Tak potężny, że długo nie mogli sobie z nim poradzić posłowie i senatorowie, ministrowie, premier i prezydent. Tak wysoki, że widać go było z Brukseli i Waszyngtonu. Tak długi, że potrafił cały kraj oddzielić od reszty Europy. I tak groźny, że zaczęli się go bać ludzie poza granicami Czech.

Był to mur, bo zbudowano go, by odgradzić od siebie ludzi. Jak wcześniej jego pierwowzór zwany berlińskim. Jak mury wokół więzień. Jak – *toutes proportions gardées* – kolczaste ogrodzenia wokół obozów.

Aureliusz M. PĘDZIWIŁO

Kronika kulturalna

„Postmodernizm”: ostatnia hucpa XX wieku

Tytuł tej głośnej już książki napisanej przez profesorów fizyki – Amerykanina i Belga, najściślej choć niezbyt elegancko oddać można jako „Intelektualne hochsztaplerstwa. O nadużyciu nauki przez filozofów postmodernistycznych”. Zaczęę to omówienie długim cytatem z jej odautorskiej przedmowy:

„Historia tej książki zaczyna się od kawału. Od wielu już lat dziwiły nas i niepokoiły tendencje intelektualne części amerykańskiego środowiska uniwersyteckiego. Obszerne działy humanistyki i nauk społecznych zdawały się opanowane przez swoistą filozofię, którą z braku lepszego terminu będziemy nazywali ‘postmodernizmem’, czyli przez prąd umysłowy cechujący się prawie jawnym odrzuceniem racjonalistycznej tradycji Oświecenia, teoretycznymi wywodami pozbawionymi jakichkolwiek sprawdzianów empirycznych, oraz relatywizmem poznawczym i kulturowym, dla którego nauka jest tylko jedną z wielu możliwych ‘narracji’, ‘mitów’ czy też uwarunkowanych społecznie konstrukcji.

Reagując na to zjawisko, jeden z nas (Sokal) postanowił dokonać mało klasycznego (i – przyznajemy – niekontrolowanego) eksperymentu, a mianowicie posłać do modnego amerykańskiego pisma poświęconego kulturoznawstwu, *Social Text*, parodię artykułu w typowym stylu licznych ostatnio tekstów tego rodzaju, by stwierdzić, czy zostanie ona wydrukowana, artykuł,

* Alan Sokal & Jean Bricmont, „Impostures Intellectuelles”, Ed. Odile Jacob, Paris 1997; „Intellectual Imposture, Postmodern Philosophers’ abuse of science”. Prohil books: London 1998 & (2nd ed.) 1999, 2en ed.: 276 ISBNB 1-86197-124-9.

zatytułowany «Przekraczanie granic: W stronę transformatywnej hermeneutyki grawitacji kwantowej» wręcz roi się do absurdów i błędów logicznych. Co więcej, zawiera deklarację skrajnego relatywizmu poznawczego: po wydrwieniu starożytnego ‘dogmatu’, jakoby ‘istniał zewnętrzny świat mający właściwości niezależne od poszczególnych ludzi czy nawet całej ludzkości’, artykuł kategorycznie stwierdza, że ‘fizykalna «rzeczywistość» w nie mniejszym stopniu niż «rzeczywistość» socjalna jest w istocie tylko konstrukcją społeczną i językową’. Za pomocą serii niedopuszczalnych przeskoków logicznych artykuł prezentuje konkluzję, że ‘zarówno [liczba] π Euklidesa jak i [stała grawitacyjna] G Newtona, poprzednio uważane za niezmiennie i uniwersalne, obecnie postrzegane są w całej ich historyczności’. Reszta jest w tym samym stylu.

A jednak, mimo wszystko, artykuł przyjęto i wydrukowano. Gorzej jeszcze: opublikowano go w specjalnym numerze *Social Text* [Nr 46/47, 1996; Duke University Press] poświęconym polemice z krytycznymi artykułami kilku poważnych naukowców na temat postmodernizmu i [tzw.] konstruktywizmu społecznego. Trudno sobie wyobrazić bardziej radykalny sposób, w jaki redaktorzy *Social Text* byłiby w stanie postrzelić sami siebie.

Sokal niezwłocznie ujawnił swoją mistyfikację, co spowodowało burzliwy oddźwięk w prasie zarówno popularnej jak akademickiej. Wielu badaczy pracujących w dyscyplinach humanistycznych i naukach społecznych zwróciło się do Sokala listownie [...] aby mu podziękować za to dokonanie i wyrazić swój sprzeciw wobec postmodernistycznych i relatywistycznych tendencji, dominujących w dużym stopniu w ich własnych dziedzinach. Pewien student uznał, że pieniądze zarobione przezeń celem sfinansowania studiów zostały wydane na szaty cesarza, który – jak tamten w bajce – był nagi. Inny napisał, że on i jego koledzy byli parodią zachwyceni, ale prosił o zachowanie dyskrecji, bo choć osobiście marzy o zmianach w swej dyscyplinie, będzie mógł się do nich przyczynić dopiero po uzyskaniu stałego zatrudnienia.

O cóż jednak ten hałas? Pomijając sensację prasową, sam fakt, że parodia została opublikowana, dowodzi w końcu niewiele; w najlepszym razie mówi jedynie coś o poziomie intelektualnym jednego z czasopism *en vogue*. Do ciekawszych konkluzji dojść jednak można analizując zawartość parodii. Uważniejsze badanie wykazuje, że została ona osnuta na cytatach słynnych intelektualistów francuskich i amerykańskich wypowiedziach się na temat konsekwencji filozoficznych i spo-

tecznych, wynikających rzekomo z matematyki i nauk ścisłych. A te wypowiedzi – często nonsensowne, lub nic nie znaczące – są autentyczne. W istocie własny wkład Sokala polegał jedynie na dostarczeniu ‘kleju’ (którego ‘logiczność’ jest rzeczywiście wątpliwa) ażeby cytaty pozlepić w jedną całość i opatrzyć pochwalnymi uwagami. Natomiast cytowani autorzy stanowią prawdziwy panteon współczesnej ‘francuskiej myśli teoretycznej’: Gilles Deleuze, Jacques Derrida, Félix Guattari, Luce Irigaray, Jacques Lacan, Bruno Latour, Jean-François Lyotard, Michel Serres i Paul Virillo. Wśród cytatów znajdują się też wypowiedzi wielu znanych amerykańskich profesorów kulturoznawstwa i podobnych dyscyplin, ale ci są przeważnie tylko uczniami lub komentatorami francuskich mistrzów. Ponieważ cytaty użyte w parodii były dość krótkie, Sokal zebrał następnie serie dużych tekstów ilustrujących sposób w jaki wymienieni autorzy posługują się pojęciami nauk ścisłych i puścił w obieg wśród swoich kolegów-naukowców. Ich reakcja była mieszaniną rozbawienia i konsternacji: nie mogli uwierzyć by ktokolwiek – a zwłaszcza renomowani intelektualiści – mógł pisać takie bzdury. Kiedy jednak materiał ten trafił do rąk osób spoza kręgu nauk ścisłych, odezwały się głosy domagające się wyjaśnienia w terminach zrozumiałych dla laików, dlaczego fragmenty te są absurdalne czy też pozbawione sensu. Wówczas obaj zabraliśmy się do pracy nad analizą i komentarzami do tych tekstów i tak powstała niniejsza książka.” (str. 1-3).

Dla czytelników tej recenzji nie mających bliższych kontaktów ze środowiskiem uniwersyteckiej humanistyki (zwłaszcza amerykańskiej), poszczególne terminy i nazwiska w zacytowanym fragmencie mogą brzmieć obco, nie od rzeczy więc będzie podać trochę podstawowych informacji historycznych i personalnych. Dopiero na tym tle „hałas” wywołany mistyfikacją Sokala i zwiększony jeszcze przez omawianą tu książkę stanie się bardziej zrozumiały. Termin „postmodernizm” ma wiele znaczeń w zależności od tego do jakiej dziedziny zachodniej kultury ostatnich 20-30 lat jest stosowany: istnieje „sztuka postmodernistyczna”, „postmodernistyczna architektura”, no i oczywiście „postmodernizm w literaturze”. To właśnie w języku amerykańskich literaturoznawców i krytyków zaczęła się światowa kariera tego słowa. Celem odróżnienia coraz bardziej „dziwacznych” i swobodnych form literackich ostatnich paru dziesiątków lat od z grubsza jeszcze rea-

listycznych i tradycyjnych utworów „modernistów” (tzn. np. Aldousa Huxley’a czy Ernesta Hemingway’a) zaczęto posługiwać się mglistym pojęciem „postmodernizmu”. Zauważmy, że termin ten zawiera w sobie rodzaj definicji negatywnej: „postmodernistyczne” jest wszystko, co jest inne od „modernizmu” czyli konwencji intelektualnych sprzed lat 1960-70, nie precyzuje natomiast, na czym ta inność polega. W ten sposób powstało słowo-worek, do którego każdy może wrzucić co mu się podoba. I istotnie, jego zakres szybko rozszerzył się, szczególnie na „inności” w tak nieostrzych dziedzinach jak teoria literatury, socjologia i filozofia. Ponieważ przedrostek „post-” sugeruje zmianę, postęp, nowoczesność, itd., postmodernizm stał się ulubionym placem zabaw dla osób, które jeszcze stosunkowo niedawno określane były jako *intellectuels de gauche*. Zabawki, jakie na tym placu się pojawiły, również sprawiały wrażenie *déjà vu*: „zaangażowanie”, „walka o prawa”, „przełamywanie struktur opresji”, „radyzm”, etc., a wszystko to w sprawie amerykańskich realiów politycznych i entuzjazmu neofitów, czyli zbuntowanego „pokolenia lat 60”. Mówiąc krótko, postmodernistyczne literaturoznawstwo zaczęło się koncentrować na tropieniu „męskiego suprematyzmu”, „mentalności kapitalistycznej” i rasizmu w książkach dawnych i nowych: postmodernistyczny Nowy Historycyzm zaczął oskarżać tradycyjną historiografię o „europocentryzm” i nieuzasadnione uprzywilejowanie zachodnich wartości, zaś postmodernistyczna filozofia – a ściślej: literacko-publicystyczny margines filozofii – zaczęła się odżegnywać od „pozytywizmu” i „metafizycznych idealizacji” poprzedników i podkreślać społeczne lub (i rasowe lub) i genetyczne „uwarunkowanie” (czyli subiektywność) wszelkich sądów o świecie, z „naiwną wiarą” w istnienie obiektywnej prawdy włącznie. Ten ostatni punkt ilustruje m.in. parodia Sokala: redakcja *Social Text* zaaprobowała bez zmrużenia oka jego horrendalne twierdzenie, jakoby liczba π miała charakter jedynie „historyczny”, czyli w praktyce wartość jej zmieniała się zależnie od okoliczności... Jak do tego doszło i co w tym wszystkim robią francuscy filozofowie (czy też, jak precyzują nasi autorzy, „intelektualiści filozoficzno-literaccy”)?

Amerykański postmodernizm zaczął się od przeszczepu z Francji. We wczesnych latach 70. na prestiżowym uniwer-

sytecie Yale rozkwitła (m.in. za sprawą wykładającego tam Belga, Paula de Mana) szkoła badań literackich zwana „dekonstrukcjonizmem”. Była ona przedłużeniem tzw. strukturalizmu, czyli modnego we Francji w latach 1960-70 trendu polegającego na traktowaniu wszystkich przejawów kultury – od mitów poprzez poezję aż po modę damską – jako „systemów znaków”: strukturaliści pretendowali do roli odkrywców i badaczy rządzących tymi systemami „struktur”. Ich działalność toczyła się na styku uniwersytecko-literackim, przy użyciu tonu papieru, w atmosferze wyższego wtajemniczenia i w języku tak „naukowym”, że książki i artykuły na te tematy są trudno zrozumiałe (o ile w ogóle coś określonego znaczą – jak niedwuznacznie sugerują Sokal & Bricmont). Jako przykład niech posłuży wyjątek z artykułu pt. „L'Étourdit” (*Scilicet*, No 4, 5-52, 1973) pióra Jacquesa Lacana, niezwykłego już ale nadal cenionego najwyższego guru francuskiej psychoanalizy. Nasi autorzy przytaczają jego tekst zarówno w oryginale („z uwagi na ciemność stylistyczną”) jak i w przekładzie angielskim (p. str. 20):

„Topologia nie ‘służy do orientowania nas’ w strukturze. Ona sama jest tą strukturą – podobnie jak efekt konkatencji, na którym zasadza się język. Struktura jest elementem asferycznym ukrytym w artykulacji językowej do chwili, kiedy oddziaływanie podmiotu pozwoli go uchwycić. Jest oczywiste, że w dziedzinie oznaczania owo ‘chwytanie’ pseudomodalnej podwypowiedzi natrafia na dopełnienie i, podobnie jak czasownik, dołącza je do jego podmiotu gramatycznego, a więc następuje tu fałszywy efekt usensownienia, rezonans fantazji podsunęty przez topologię, zależny od tego czy oddziaływanie podmiotu tę asferyczność zamąca czy też subiektywność owego oddziaływania się w niej ‘odzwierciedla’. Należy tu odróżniać niejednoznaczność narzucaną przez proces sygnifikacji, a więc wymijania rozziwów, od sugestii luki, czyli struktury, która tę niejednoznaczność przekształca w sensowność”. (*Nota bene*: tłumaczenie tego wyjątku przy pomocy obu wersji językowych zajęło mi ok. godziny – MB).

Wróćmy do Yale. Grupa admiratorów-doktorantów De Mana (i niebawem profesorów na różnych ważnych uniwersytetach amerykańskich) zainicjowała nowe podejście do badań literackich, które można w telegraficznym skrócie streścić

następująco: tzw. przekaz utworu i intencje jego autora są nieistotne, liczy się bowiem tylko tekst: tekst jest „zrobiony” z języka, język zaś jest samoistnym tworem, który przez każdego odbiorcę może być interpretowany inaczej, ponieważ jednak język jest „konstruktorem” społecznym, kryje w sobie uprzedzenia i preferencje danego społeczeństwa, zadaniem badacza jest więc „zdekonstruować” język utworu i nadać mu właściwą interpretację. Filozoficznym patronem tego kierunku jest (spopularyzowany w Ameryce przez De Mana) współczesny francuski filozof Jacques Derrida, twórca terminu „dekonstrukcja”. W jego koncepcji pojęcia językowe nie odzwierciedlają zewnętrznej rzeczywistości, gdyż ta jest w istocie niedostępna ludzkiemu umysłowi, w najlepszym więc razie pojęcia stanowią rodzaj sztucznych i mało przejrzystych filtrów, które więcej mówią o ludzkim umyśle niż o świecie. Ich sztuczność polega m.in. na tym, że milcząco odwołuje się do swych przeciwstawień, np. pojęcie „mężczyzna” ma sens tylko jako opozycja pojęcia „kobieta”, „świadomość” – jako opozycja „podświadomości”, itp. Pojęciowy obraz świata jest więc tylko skomplikowaną (i w domyśle: dowolną) konstrukcją umysłową, której klockami są wspomniane opozycje. Z tego punktu widzenia, to, co potocznie uważamy za rzeczywistość, jest już samo w sobie tylko „tekstem” – Derrida używa tu terminu *archi-écriture* – więc jej opis (np. konkretny tekst literacki [*écriture*]) jest jedynie cieniem cienia, tzn. jeszcze bardziej mglistym i dowolnym „tłumaczeniem” z drugiej ręki. Jediną rzeczą zatem, jaką badacz literackiego tekstu może i powinien ustalić jest sposób, w jaki dany autor posługuje się językiem i do jakiego stopnia jest jego niewolnikiem. „Dekonstrukcja” użytych pojęć i obrazów lepiej informuje nas o tym, co w utworze nie zostało powiedziane, niż „naiwna” lektura traktująca go jako opis określonych zdarzeń. Jeśli np. bohaterami Hemingwaya są głównie mężczyźni, świadczy to o podrzędnej roli jaką w jego obrazie świata odgrywają „opozycje” tego pojęcia, czyli kobiety; jeśli jego mężczyźni z reguły mają skłonności heteroseksualne, adherenci homoseksualizmu stają się przedmiotem niewypowiedzianej, ale „konstrukcyjnie” zasugerowanej dyskryminacji; jeśli w opowiadaniach występują głównie biali, to...; itd. Tu już wyszedłem poza samego Derridę, który w swych

pracach (niejasnością nieustępujących Lacanowi, o nie!) zajmuje się głównie „teorią” i rzadko zniża się do konkretnych jej zastosowań. Uproszczony przykład Hemingwayowski, to już raczej „postmodernizm praktyczny”, uprawiany masowo w Ameryce. Nietrudno domyślić się, że ten typ analizowania literatury (Irzykowski pisząc o podobnych zastosowaniach freudyizmu i marksizmu nazywał je „systemami podejrzeń”) stał się tam manną z nieba dla wszystkich orędowników(-czek) feminizmu, homoseksualizmu, antyrasizmu, „wielokulturowości” i innych składników *political correctness*.

Do atrakcyjności postmodernizmu w tym sensie (zwanego też „poststrukturalizmem”, „nowoczesną teorią literatury” czy zgoła „teorią *tout court*”) przyczynił się też jego charakter czysto werbalny czyli – mówiąc brutalnie – łatwizna. O „naukowości” danej pracy literaturoznawczej przestało świadczyć żmudne zestawienie efektów bio- i bibliograficznych, a zaczęła się liczyć brawura w zonglowaniu cytatami z dzieł francuskich „ojców-założycieli” i kolegów-postmodernistów, śmiałość „nowego odczytania” danego utworu i zawilść stylistyczna (*vide* Lacan). Niesprawdzalność większości „ustaleń” prac o coraz dziwniejszych tytułach (por. np. „Skandal mówiącego ciała: Don Juan z Austinem czyli uwiedzenie w dwóch językach” pióra Shoshany Felman [1980]) sprawiła, że przy ocenie ich wartości – a więc i ustalaniu rangi ich autorów – coraz większą rolę zaczęły odgrywać takie czynniki jak agresywność retoryczna, radykalizm opinii politycznych („liberalnych” w sensie amerykańskim, rzecz prosta) i *esprit de corps*, czyli w praktyce przynależność do wpływowej kliky.

Ten „styl badawczy” przeniknął do sąsiednich nauk niecałkiem-ścisłych, takich jak socjologia, kulturoznawstwo i pewne działy filozofii. Ponieważ „postmodernizm” szybko usurpował sobie tytuł postawy lewicowej, kwestionowanie jego wątpliwych fundamentów czy choćby uchylanie się od stosowania obowiązującego żargonu zaczęło wyglądać na przynależność do *right wing*, co powodowało konsekwencje życiowe, np. trudności w karierze uniwersyteckiej. Może przesadą byłoby zrównanie tej doktryny z „teorią i praktyką” Łysienki, ale pewne podobieństwa narzucają się same przez się.

Na tym tle dopiero można zrozumieć efekt „afery Sokala” i znaczenie prezentowanej tu książki. Ujawnia ona w sposób

niepodważalny (bo argumentacja i dokumentacja autorów są *impeccables*), że czołówka „ojców założycieli”, chętnie i ostentacyjnie odwołując się do matematyki i fizyki, czyni to w sposób powierzchowny, nieodpowiedzialny i często świadczący o zupełnej ignorancji w tych dziedzinach. Skoro zaś tak traktują oni twarde fakty naukowe, to co można sądzić o solidności i wadze ich znacznie płynniejszych „koncepcji ogólnych”? I co warte są prace ich postmodernistycznych dzieci, „twórczo” rozwijających te koncepcje? *Risum teneatis, amici?!*

M. BRONSKI

Fenomen Różewicza

Dwóch poetów tego stulecia odegrało w rozwoju polskiej liryki rolę decydującą. Gdy patrzy się z perspektywy końca wieku, coraz bardziej ogromnieje postać Bolesława Leśmiana i coraz większe znaczenie zyskuje słowo Tadeusza Różewicza. Poeci to różni, można nawet pokusić się o twierdzenie, iż stojący na antypodach. Z jednej strony ucieleśnienie „poetyczności”, z drugiej – owej „poetyczności” demonstracyjne odrzucenie. A przecież jest coś, co łączy oba te fenomenalne zjawiska, coś, co sprawia, iż nie sposób przecenić, ale też i odzielić od siebie twórczości obu tych pisarzy. W obu wypadkach mamy bowiem do czynienia z tak ogromnym ładunkiem poetyckiej energii, iż niemal rozsadza ona językowe wiązania. I znów: jeśli w wypadku liryki Leśmiana należałoby wskazać sposób wyładowania, wówczas można by mówić o eksplozji owego ładunku. W wypadku Różewicza natomiast – i jest to właśnie zupełna nowość w poezji polskiej, a zapewne też i światowej – trzeba by mówić o jego implozji. Słowu w rozkwicie wybrzmiewającej wielogłosowości (Leśmianowski: „Bo to był głos, i tylko głos, i nic nie było oprócz głosu”) odpowiadałoby zatem na drugim biegunie skupiające znaczenia milczenie (Różewiczowski: „nazywam milczeniem”).

Różewiczowskie Milczenie zakorzenione jest w dwóch różnych doświadczeniach – czerpie z bogactwa i formalnej wielokształtności liryki Leopolda Staffa, któremu zresztą złożył Różewicz hołd niezwykle wspaniałym wyborem jego wierszy („Kim jest ten dziwny nieznajomy”; przy okazji: w tym samym mniej więcej czasie Staff dokonuje świetnego wyboru wierszy Leśmiana) oraz korzysta z awangardowej dyscypliny wiersza Juliana Przybosia (po krótkim okresie porozumienia drogi obu autorów muszą się rozejść: ufający słowu Przyboś nie rozumie rozpaczy Różewicza, który zaufanie do języka utracił). W posłowie do wyboru wierszy Staffa czytamy: „Taniec poezji zakończył swój żywot w okresie drugiej wojny światowej, w obozach koncentracyjnych stworzonych przez systemy totalitarne. My wszyscy, którzy przeżyliśmy epokę czasów pogardy, razem z André Malraux zadaliśmy sobie to pytanie: ‘Czy na starej europejskiej ziemi człowiek umarł, czy nie?’. Poezja Ruchu Oporu i poezja lat powojennych dała na to pytanie odpowiedź nie w języku Muz, lecz w języku ludzkim. Nawroty różnego rodzaju ‘tańców poetyckich’ nie wytrzymały próby czasu. Słowo przestało się dziwić słowu. Metafora przestała rozkwitać”. Te słowa, będące komentarzem do dramatu poezji Staffa, są jednocześnie otwartą polemiką z optymizmem awangardy. Dopowiadając rzecz do końca, Różewicz demonstracyjnie odrzuca wiarę w odrodzenie owego „języka Muz”: „Są oczywiście poeci, którzy ‘taniec poetycki’ uprawiają konsekwentnie aż do końca. Bez względu na sytuację ludzkości, kraju i swoją własną. Ta postawa jest równie jałowa, co bohaterska, równie optymistyczna co śmieszna”. Te słowa to nie tylko rozstanie z Przybosiem, to także wskazanie innej drogi awangardowej szkole.

Cóż jednak oznacza owo mówienie „w języku ludzkim” i odrzucenie „języka Muz”? Wszak Różewicz konsekwentnie dopracowuje swe utwory, dba o ich estetyczny wymiar, zdawać by się zatem mogło, iż do końca wiary w poezję nie utracił. Można to chyba jednak rozumieć inaczej – tak oto: dbałość o ową funkcję estetyczną nie jest tu kultywowaniem „poetyckości”, lecz pracą zmierzającą do wyostrenia dramatyzmu poetyckiego przekazu. Wiersz staje się przede wszystkim nie „kreacją”, lecz „komunikatem” informującym o „sytuacji ludzkości, kraju i swojej własnej”. Poeta – a on wszak jest

głównym bohaterem wierszy Różewicza – wciąż na nowo podejmuje próbę opisanego własnej kondycji. Podejmuje ją wiedząc, że język, którym się posługuje, jest skażony, jest narzędziem zbrodni – stąd dążenie do jego „oczyszczenia”, uproszczenia, obnażenia nawet. To „nagie” słowo wierszy Różewicza uwikłane jest jednak w swą własną paradoksalną naturę stanowiącą odzwierciedlenie paradoksalnej sytuacji człowieka, który wie, że „życie bez Boga jest możliwe/ życie bez Boga jest niemożliwe” i z tą wiedzą pozostawiony jest sam sobie.

Podobnie paradoksalna jest natura poezji: „tylko wewnątrz poezji/ jest nieruchome puste// wejście do wnętrza/ jest otwarte/ dla wszystkich// wyjścia nie ma”. Ten wieloznaczny, wielofunkcyjny komentarz z zamykającego „zawsze fragment – recycling” utworu zatytułowanego „na obrzeżach poezji”. Wnętrze poezji jest nieruchomym centrum wszechświata, jest okiem cyklonu, w którym panuje spokój, a na obrzeżach którego szaleje żywioł życia: „po stworzeniu wiersza/ jestem wymiatany/ usuwany/ na obrzeża poezji// w sam środek życia (...) na obrzeżach poezji/ pod pokrywką śmierci/ sentymentalnej/ kipi życie i poezja/ pełna smaku/ dobrego i złego// wietrzeje sól ziemi/ słowa/ stają się bezdomne”. Słowa stają się bezdomne poza wierszem. Jedynie w nim znajdują schronienie, odnajdują swą tożsamość, czystość, niewinność – już jednak na obrzeżach poezji, poza owym nieruchomym, wyciszonym centrum, wszystko to tracą: „żadne stworzenie poza człowiekiem/ nie posługuje się słowem/ które może być narzędziem zbrodni”.

Jeśli się zastanowić nad swoistym dramatem poezji Różewicza, może się okazać, że jest on głębszy niż się na ogół sądzi. Ujrzenie go w perspektywie historycznej pozwala dostrzec dwa punkty odniesienia, czy raczej dwa źródła nieporozumień wynikających nie z odmienności temperamentów lub poglądów, lecz z wyjątkowości „Różewiczowskiej sytuacji”. Centrum doświadczenia tej liryki jest świat „obozów koncentracyjnych stworzonych przez systemy totalitarne”, przeżywany w sposób bezpośredni, bez historycznych relatywizacji, bez odniesień zewnętrznych. To jest centrum tego świata: zagłada. Z perspektywy starszych generacji, mimo ogromu grozy, można było to doświadczenie relatywizować, jak to robił Jerzy Zagórski, pisząc już w 1947 roku: „Sądzę, że istnieje szansa, iż zburzenie dziś środkowej i znacznej części wschod-

niej Europy może mieć dla ludzkości podobne znaczenie jak upadek Bizancjum w XV wieku, a ściślej, że ludzkość wyjdzie z obecnej ruiny podobnie obronną ręką”. Z perspektywy młodszych pokoleń doświadczenie wojny było już tylko „zdarzeniem historycznym”, czymś, co należy do bagażu zbiorowej pamięci tak, jak i inne zdarzenia z przeszłości. Bohater Różewicza – Poeta – jest nieustannie w centrum zagłady: to jest jego duchowa ojczyzna, nieredukowalny punkt odniesienia jego doświadczeń i refleksji, najżywsza treść jego przeżycia. Podobnie jak życie po owym doświadczeniu, tak i poezja nie mogą być już tym samym, czym były przedtem. Utwory Różewicza są zatem przede wszystkim próbą relacji z owego przeżycia, w którym niewiele odnajdziemy z Miłoszowskiego ocalenia: „wykonuję od wielu lat/ ten zawód/ do którego zostałem wybrany i/ powołany/ ‘a który nazywa się poezją’”.

Prawdziwa poezja, owe „poetyckie tańce” to przeszłość, podobnie jak przeszłością jest wiara w niewinność człowieka i niewinność słowa. Wczesne „nazywanie milczeniem” zyskuje w najnowszych utworach swe przedłużenie, jak w „Zwierciadle”: „cisza jest zwierciadłem/ moich wierszy/ ich odbicia milczą”. Milczeniu odpowiada Milczenie, co można rozumieć i tak, że mamy do czynienia z „milczącym porozumieniem” między poetą i czytelnikiem, ale także i tak, że jedyną możliwą reakcją na te wiersze może być cisza. To spiętrzenie ironii i autoironii, nieustannie, wciąż na nowo budujące i znoszące dystans wobec świata tej poezji i sytuacji jej bohatera jest jednym ze źródeł licznych i regularnie powtarzających się nieporozumień towarzyszących tej twórczości (przypomnijmy tylko, że zarówno komuniści w okresie debiutu autora, jak prawicowa krytyka w latach ostatnich, zgodnie posługują się w opisie tej poezji kategorią nihilizmu). Ale zarazem ta właśnie (auto)ironiczna spirala decyduje o dynamice tej poezji, buduje system jej wewnętrznych i zewnętrznych napięć. Określa też jej oryginalność sprawiając, że można co prawda Różewicza naśladować, lecz nie można być jego „ucznem”, podobnie, jak nie można być „ucznem” Leśmiana.

Leszek SZARUGA

Na odejście kasztelana-poety

Latem 1999 zakończyłem trzyletnie administrowanie The International Retreat for Writers w Hawthornden Castle w Szkocji i przenieśliem się do Walii. (Słownik Stanisławskiego poucza, że *retreat* znaczy „szpital dla obłąkanych”). Polską twórczość w tym okresie reprezentowali poeci: Leszek Engelking, Marcin Hamkało, Krzysztof Piechowicz, Jan Różewicz i Rafał Witek oraz tłumacz Wiesław Powaga; wykład o poezji Miłosa wygłosiła, zaproszona przeze mnie, dr Beata Tarnowska, a swoją antologię noweli polskiej w przekładzie angielskim przedstawiła Teresa Halikowska. W ostatniej sesji uczestniczyła Olga Tokarczuk.

Na pamiątkę pracownicy sprezentowały mi piękną barwną fotografię zamku w ujęciu z lotu ptaka, a gospodyni skorzystała z obecności stypendystki z Polski, która w ich imieniu zaimprovizowała dedykację, życząc mi: „Spokoju i pogody ducha i nigdy nie wygasającego twórczego źródła pod walijskim niebem. Zamek i jego duchy będą tęsknić za Tobą; pokochały Cię, tego jestem pewna. Z całego serca – Olga Tokarczuk.”

Na pożegnalne przyjęcie sprowadziłem do zamku The Edinburgh Quartet; główną pozycją w programie był mój ulubiony późny kwartet Beethovena op. 135. Koncert poprzedziłem następującym komentarzem:

Słowa są w ruchu, muzyka jest w ruchu

Jedynie w czasie; ale to, co żyje,

Może jedynie umrzeć. Słowo powiedziane

Zapada w ciszę. Tylko forma, wzór

Może sprawić, że słowo, muzyka dosięgną

Spokoju, jaki dosięgnąć może chiński dzban,

Który w ruchu bez przerwy stoi nieruchomo.

Nie spokój skrzypiec, gdy ostatnia nuta

Trwa jeszcze, nie tylko, ale współlistnienie,

Albo mówmy, że koniec poprzedza początek,

A koniec i początek zawsze były tutaj

Po końcu i zarazem przed początkiem.
I nic nie mija. Słowa [...]
Pękają, rozpryskują się nam pod ciężarem,
Pod ciśnieniem, ślizgają się, toną i giną,
Gasną od nie-precyzji, w miejscu nie ustoją,
Znieruchomieć nie mogą.¹

To sławny ustęp z „Burnt Norton”, pierwszego z „Czterech kwartetów” Eliota, dzieła ukształtowanego na wzór wyeksploatowanej do granic w późnych utworach Beethovena i Bartoka formy kwartetu. W cytowanym ustępie Eliot porównuje stopień efektywności obu rodzajów sztuki w tworzeniu dzieł, których nie kruszy czas: muzyka zdaje się być bardziej odporna, podczas gdy „Słowa [...] Pękają, rozpryskują się nam pod ciężarem, Pod ciśnieniem...”.

Niedawno zmarły poeta sir Stephen Spender, wieloletni przyjaciel naszego zamku i członek rady zajmującej się wyborem kandydatów na stypendia zamkowe, który dokonał pierwszego angielskiego przekładu „Elegii duinejskich” Rilkego, stwierdził, że są wraz z „Kwartetami” Eliota „być może najświetniejszymi poematami naszego stulecia”. Rilke rozpoczął kompozycję „Elegii” w r. 1912 w zamku Duino nad Adriatykiem, posesji Marie von Thurn und Taxis Hohenlohe. W ujmującym, egzaltowanym szkicu księżnej, poświęconym pamięci poety, znajdujemy żywy opis okoliczności powstania poematu, który zaskakująco przypomina opis okoliczności kompozycji poematu Coleridge’a pt. „Kubla Khan”, a raczej jest ich lustrzanym odbiciem – bowiem Coleridge’owi interesant przerwał natchnienie, podczas gdy Rilke mu bieżące sprawy praktyczne bynajmniej nie zakłóciły pracy twórczej. Według relacji księżnej, Rilke:

Nie podejrzewał, że coś się w nim kształtowało. Opanował go ogromny smutek i zaczął przypuszczać, że i tej zimy także niczego nie napisze.

A któregoś ranka otrzymał nudne urzędowe pismo. Chciał się z tym szybko uporać, więc siadł do rachunków i innych żmudnych spraw. Za oknami wiała silna bora, ale słońce świeciło i morze połyskiwało lazurem owitym srebrem. Rilke zeszedł do

1. Przekład Czesława Miłosza.

bastionów, które [...] łączyła u stóp zamku wąska ścieżka. Stamtąd skały opadały stromo wprost do morza. Rilke spacerował tam i z powrotem w głębokim zamyśleniu, zajęty odpowiedzią na pismo. I nagle, w trakcie tego dumania, stanął jak wryty [...] ponieważ zdało mu się, że poprzez ryk wiatru przebił się do niego głos: „Któż, gdybym krzyknął, usłyszałby mnie z zastępów anielskich?”.

Stał bez ruchu, zasłuchany. „Cóż to jest?” szepnął [...]. Wyciągnął notes, który stale miał przy sobie i zapisał te słowa [...]. Zupełnie spokojnie wspiął się z powrotem, wrócił do siebie, odłożył notes i zajął się tym pismem urzędowym. Ale wieczorem już cała elegia została spisana.

W tej „Pierwszej elegii” czytamy:

Zaprawdę, to osobliwe, nie przebywać już odtąd na ziemi,
wyuczone zaledwie porzucić zwyczaj [...]

Tym, czym się było w dłoniach tak nieskończenie trwożnych,
nie być już więcej i nawet własne swe imię
porzucić, jak się porzuca połamaną zabawkę.

To osobliwe, już nie mieć życzeń. To osobliwe,
wszystko, co było związane, urzecz w przestrzeni
rozpierchłe. A być umarłym to trud
i doganianie straty, aby odczuć powoli
cząstkę wieczności.²

A w jej zakończeniu Rilke nawiązuje do greckiego mitycznego opisu narodzin muzyki. Zamiłowanie do muzyki rozbudziła w poecie w późnym wieku pianistka Magda von Hattingberg, którą pokochał w Paryżu i która grywała mu Haendla i Beethovena na fortepianie. Kochankowie przenieśli się do Duino, gdzie Magda uczestniczyła w recitalach razem z Quartetto di Trieste. Księżna zachwyca się grą kwartetu:

Jakże brzmiały na ogromnym tarasie utwory Beethovena i Mozarta, z jak donośnym pogłosem nad odległym morzem! Taras był obdarzony świetną akustyką, nad nim wznosił się ogrom zamku, tworząc efektowną płytę rezonansową. Tak więc instrumenty smyczkowe zyskiwały niebywałą klarowność i były słyszalne daleko i szeroko. Często kutry rybackie podpływały pod skały

2. Przekład Mieczysława Jastruna.

by podłuchiwać. Ten taras stanowił platformę jednej z obronnych wież zwróconych ku morzu – platformę kwadratową z kamiennym murem, na którym kwitła kaskada najróżniejszych kwiatów [...]. Pośrodku stała fontanna z różowego marmuru sprowadzona z Wenecji, z krzakiem róż, który zasadziłam by upamiętnić wizytę Gabriela D'Annuncio. Wyżej mieliśmy łuk okalającej pergoli uginającej się pod kiściami wyśmienitych muszkatelowych winogron. Panowała kompletna harmonia.

Tak jak Goethe, Rilke dotychczas bał się wszelkiej muzyki. Pamiętam jak kiedyś w Paryżu Mme de Noailles opisała tę awersję. Oboje zdawali się dostrzegać uwodzicielskość muzyki i dlatego stronili od niej. Ale, zdaje się, to Beethoven go nawrócił, ponieważ zauważyłam jak bardzo Rilke teraz doceniał jego utwory.

Wspaniałe również były księżycowe noce na tarasie, kiedy w zupełnej ciszy słychać było tylko śpiew słowików.³

Dziś mini-dom pracy twórczej księżnej kojarzymy wyłącznie z „Elegiami duinejskimi”. Księżna nie zauważyła, że w pobliskim Trieście Jamesa Joyce'a dręczyły obowiązki belfra. Mówi się jednak, że Dante znalazł schronienie w Duino, gdy był na wygnaniu z Florencji. Zastanawiam się, z iloma równie uznanymi dziełami kojarzyć się będzie dom pracy twórczej, ufundowany przez panią Drue Heinz w Hawthornden Castle? Jeśli kierować się statystyką, w ciągu swej czternastoletniej egzystencji zamek powinien już być wyhodować poważną ilość arcydzieł.

Ale wielu zasłużonych w innych dziedzinach też odwiedzało Duino. W sierpniu r. 1914 księżna gościła lorda Kitchenera w drodze z Egiptu do Anglii, oraz arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w drodze do Sarajewa. W r. 1920 Rilke wspominał: „w r. 1912 rozpocząłem moje wielkie, być może największe i najbardziej znaczące dzieło; zacisze, gdzie powstało, stary zamek Duino [...] gdzie danych mi było tyle wspaniałych dni i nocy pracy, wojna przemieniła w kupę gruzów nad grobami niezliczonych żołnierzy.”

Zbliżała się druga wojna światowa. W okupowanej przez hitlerowców Warszawie młody Tadeusz Różewicz wypra-

3. Marie von Thurn und Taxis, „Erinnerungen an Rainer Maria Rilke”. Przekład A.Cz.

cowywał swoją poetykę. Reagując przeciw postrzeżonemu estetyzmowi Rilkego, dostrzegł pokrewieństwo z brutalnymi opisami naszego zrujnowanego świata w dziełach Gottfrieda Benn'a i wczesnego Eliota. Różewicz, który kilkakrotnie gościł w naszym zamku, jest autorem wiersza „Na odejście poety i pociągu osobowego”.

Nie wie
jaki będzie jego ostatni wiersz
i
jaki będzie pierwszy dzień
na świecie bez poezji

pewnie będzie padał deszcz
w teatrze będą grali Szekspira
na obiad będzie zupa pomidorowa

albo na obiad będzie rosół z makaronem
w teatrze będą grali Szekspira
będzie padał deszcz

muzy nie dały mu gwarancji
że z ostatnim tchnieniem
wypowie coś budującego
jasnego
więcej światła i tak dalej

prawdopodobnie
odejdzie
tak
jak odchodzi opóźniony
pociąg osobowy
z Radomska do Paryża
przez Zebrzydowice

Raduję się, że gościmy dziś Quartetto d'Edinburgo, który jest godnym następcą Quartetto di Trieste. Wielcy mistrzowie: Haydn, Mozart, Schubert, Schumann, Brahms, Schoenberg, Berg, Bartok i Szostakowicz stworzyli arcydzieła w ramach kwartetu, tej nadzwyczaj wymagającej formy. Lecz niezrównany dorobek stanowią późne kwartety Beethovena przez swą wielostronność, głębię, potężną uczuciowość, gwałtow-

ność i uspokojenie – mógłbym tak rozwdzić się bez końca, lecz

Słowa [...]

Pękają, rozpryskują się nam pod ciężarem,

Pod ciśnieniem, ślizgają się, toną i giną,

Gasną od nie-precyzji, w miejscu nie ustoją [...]

Adam CZERNIAWSKI

Marian Zdziechowski

Marian Zdziechowski był profesorem czterech uniwersytetów: Jagiellońskiego, Londyńskiego (tylko nominalnie – w 1917 roku zaproszono go na katedrę ufundowaną przez Aleksandra Lednickiego), Warszawskiego (także nominalnie) i Wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego. W Wilnie był też prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, profesorem w Szkole Nauk Politycznych, przy Towarzystwie dla Badań Europy Wschodniej oraz prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich. W czynnym życiu politycznym nie brał udziału, aczkolwiek był współzałożycielem politycznego dziennika wileńskiego *Słowo*, a w 1926 roku był jednym z kandydatów do godności Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Zdziechowski urodził się w 1861 roku na Mińszczyźnie. Kresowe pochodzenie i kontakt z Rosją, miały bezpośredni wpływ na ukształtowanie się jego duchowej i intelektualnej postawy, otwartej na kulturowe i cywilizacyjne światy prawosławia i katolicyzmu, świata bizantyjskiego i łacińskiego. Umocniły tę postawę późniejsze, bezpośrednie kontakty z myślicielami i uczonymi rosyjskimi.

Marian Zdziechowski był jednym z nielicznych polskich humanistów znanych w Europie, obok Aleksandra Brücknera, Jana Baudouina de Courtenay, Leona Petrażyckiego czy Flo-

riana Znanieckiego. Uważa się go za „źle obecnego”¹. Drażnił i irytował prostolinijnością, niekonwencjonalnością, odwagą cywilną, prawością. Afirmując chrześcijański ideał moralny był zdecydowanym wrogiem wszelkich iluzji i utopii. Wierzył w kulturotwórczą moc chrześcijaństwa, nie wahał się promować myślenia wg wartości, wbrew, niekiedy, oficjalnej nauce Kościoła. Był Zdziechowski konserwatystą wrażliwym na kwestie społeczne, nie ulegał złudzeniom progresywizmu, trafnie przeczując groźbę rewolucyjnych utopii, uważając je za wyraz pychy rozumu ludzkiego, chcącego zastąpić na ziemi Boga.

Patrząc na dziedziny, którymi się zajmował, można stwierdzić, że Zdziechowski był literaturoznawcą, komparatystą, sławistą, rusycystą, filozofem religii, historykiem idei, politologiem, filozofem kultury, historiozofem. Zdziechowski był wybitnym humanistą, do sławy przyczyniły się jego badania nad kulturą ludów słowiańskich, a także działalność publicystyczna na rzecz samookreślenia się kulturowego i integracji narodów słowiańskich. Świetny znawca duchowego życia Rosji, jej stosunków wewnętrznych i dążeń politycznych, jej literatury, myśli społecznej, filozofii i religii. W Polsce cieszył się autorytetem, jego twórczość i działalność były przykładem pełnienia przez uczonego odpowiedzialnej funkcji społecznej – wychowawcy i przewodnika narodu. Tak właśnie pojmował Zdziechowski misję uczonego. Pragnął stać ponad wszelkimi sporami filozoficzno-środowiskowymi, klasowymi, partyjnymi i narodowymi, starał się wypracować uniwersalną koncepcję światopoglądową, jednoczącą ludzi – ochrony wartości duchowych wypracowanych przez ludzkość w toku rozwoju kultury. Nie miał kontynuatorów ani naśladowców, był wielkim indywidualistą. Spuścizna wydawnicza Zdziechowskiego obejmuje 40 odrębnych pozycji wydawniczych, około 250 artykułów w czasopismach polskich i zagranicznych. Pisał po polsku, rosyjsku, niemiecku i francusku. Wachlarz zagadnień, którymi się zajmował, jest ogromny, od literatury polskiej po światową, filozofię i teologię, religię, poszczególne kultury narodowe, różne nurty myśli społecznej, historię, pedagogikę, politykę, aż po aktualne problemy życia bieżącego.

¹ W. Marian Zaczyński, Wstęp, [w:] M. Zdziechowski, „Wybór pism”, Kraków 1993, str. 5-6.

Przede wszystkim jednak był Zdziechowski moralistą i przykładem myśliciela katolickiego, był humanistą w szerokim tego słowa znaczeniu. Nie należał do żadnej szkoły filozoficznej, humanistycznej, literaturoznawczej czy politologicznej, Irena Burzacka, badacz życia i dzieła Zdziechowskiego, stwierdza, że jego myśl charakteryzuje się zdumiewającą „niczyjością”².

„Niczyjość” ta wyrażała się rozmaicie, np. w ten sposób, że będąc, jak sam o sobie mówił, „pogrobowcem” romantyzmu (do pozytywizmu miał stosunek jednoznacznie negatywny) w swoich badaniach nad literaturą romantyczną sięgał po metody pozytywistyczne, nie kryjąc krytyki wobec pierwiastka żydowskiego w dziejach nowożytnych, udzielał moralnego wsparcia żydowskiej i rosyjskiej młodzieży akademickiej w Wilnie, za co podziękowania, w 50-tą rocznicę jego pracy naukowej, składał Zdziechowskiemu m.in. rabin Wilna. Jego „niczyjość” przejawiała się także w sferze religijnej; religijny indywidualizm, sprzeciw wobec kościelnego i teologicznego ekskluzywizmu, autorytaryzmu i autokratyzmu, jego modernizująca religijność nie przysparzała mu sympatyków w kręgach konserwatywnych teologów i hierarchii kościelnej.

Swój światopogląd przeniósł Zdziechowski na łono Klubu Słowiańskiego, kierując jego pracą i działalnością. Studiując metody działania, cele i zasady klubu, można zauważyć jak wiele z nich zbiega się z poglądami jego prezesa: niechęć do działalności politycznej, pragnienie poszukiwania idealnej formy organizacji, obranie za metodę drogi badań i dociekań, stworzenie akademickiego nastroju organizacji, chęć wprowadzenia ładu w działalność polskich słowianofilów i stworzenia systemu działania, utrzymania przyjaznych stosunków z Rosją, nie rezygnując przy tym z krytykowania jej polityki, przekonanie o przemijalności polityki i stałości kultury, wreszcie określenie obszaru zainteresowań klubu – słowiańszczyzna katolicka.

Problemy, przed którymi stał krakowski Klub Słowiański, wydają się dziś, mimo innej sytuacji politycznej narodów słowiańskich, ciągle aktualne. Poszukiwanie płaszczyzny poro-

2. Irena Burzacka, „Marian Zdziechowski, Rys biograficzny”, [w:] „Ideal a rzeczywistość”, Warszawa 1982, str. 12-23.

zumienia między narodami słowiańskimi, jak choćby między Polakami i Ukraińcami, Chorwatami a Serbami, Rosjanami a resztą świata słowiańskiego, jest ciągle zadaniem trudnym i często niewykonalnym. Dlatego należałoby sięgnąć do dorobku Zdziechowskiego i Klubu Słowiańskiego, aby czerpać z ich wiedzy i doświadczeń.

Dorota KAŻMIERCZAK

BIBLIOGRAFIA

- Irena Burzacka, „Marian Zdziechowski. Rys biograficzny”, [w:] „Ideal a rzeczywistość”, Warszawa 1982.
- Jerzy Krasicki, „Eschatologia i mesjanizm. Studium światopoglądowe Mariana Zdziechowskiego”, Wrocław 1994.
- Stanisław Stomma, Słowo wstępne, [w:] Marian Zdziechowski, „O okrucieństwie”, Kraków 1993.
- Ewa N. Wesołowska, „Działac przed katastrofą”, Lublin 1992.
- Marian Zaczyński, Wstęp, [w:] M. Zdziechowski, „Wybór pism”, Kraków 1993.
- Marian Zdziechowski, „Wybór pism”, *op. cit.*
- Marian Zdziechowski, „Mesjaniści i słowianofile”, Kraków 1888.
- Marian Zdziechowski, „O okrucieństwie”, Kraków 1993.
- Marian Zdziechowski, „Wpływy rosyjskie na duszę polską”, Kraków 1920.
- Marian Zdziechowski, „Borys Cziczeryn”, *Przegląd Polski*, nr 3, 1904.

Związek Zawodowy Literatów Polskich

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, Związek powołany został do życia – między innymi staraniem Stefana Żeromskiego – w roku 1920, co oznacza, że w roku obecnym przypada 80. rocznica jego powstania. Ma to pewne konsekwencje w życiu literackim,

którego instytucje w Polsce nieustannie poddawane były zmianom. Pierwszym znakiem owej zmiany były losy ZZLP w okupowanym przez Sowieców Lwowie, gdzie po raz pierwszy poddano środowisko literackie socrealistycznej tresurze. Opisał to dość skrupulatnie Aleksander Wat na kartach „Mojego wieku”: „Zgłosiłem się do Ortwina, gdy tylko przyjechałem do Lwowa. W jego mieszkaniu był lokal dawnego Związku Literatów. Jak to się wtedy nazywało, Związek Zawodowy Literatów Polskich, Sekcja Lwowska, prezes Ortwin przyjmuje w takie i takie dni, sekretarz Parnicki o tej i tej godzinie”. Sowieci jednak nakazali stworzenie nowego stowarzyszenia: „Gdy zawiązano ten org-komitet – kontynuuje Wat – Ortwin dostał polecenie, aby rozwiązał Związek. Nie rozwiązał. Parę jeszcze razy u niego byłem, potem bałem się już chodzić, ze względu na niego i siebie. Ale na początku, w dniach, kiedy miał przyjmować, siedział i czekał na interesantów. Interesantów tych było coraz mniej, bywali, przychodzili, ale coraz mniej. Parnicki też urzędował. Nie wstąpił do nowego związku, natomiast mnóstwo endeków, po-endeków, to wszystko do związku wstąpiło, to wszystko bardzo zabiegało o dobre stosunki itd. Widziałem, że jest coraz gorzej”. I było – losy polskich pisarzy w Sowieciach to rzecz na osobny artykuł. Do nowej organizacji wstąpiła większość dawnych członków ZZLP – chodziło, oczywiście, o przydziały kartek na żywność i podobne „przywileje”.

Ale te losy właśnie, zaś owa „lwowska lekcja” w szczególności, nazaczyły postawy wielu spośród ludzi pióra już po wojnie. Jak wiadomo, środowisko pisarzy emigracyjnych założyło własną organizację. W kraju natomiast ZZLP reaktywowano i w latach 1945-1949 wyglądało, z pozoru przynajmniej, na to, że jest to kontynuacja stowarzyszenia działającego w latach 1920-1939. W roku 1949 odbył się słynny zjazd szczeciński, który uchwalił, iż realizm socjalistyczny to jedyna godna tego miana „metoda twórcza”, zaś ZZLP przekształcono wówczas w typowy dla wszystkich tego typu organizacji w bloku moskiewskim Związek Literatów Polskich, organizację związkową, która, jak to w komunistycznych podręcznikach pisano, stanowić miała „transmisję partii do mas”. ZLP stanowił ową transmisję, zwłaszcza po przemianach roku 1956, dość dziwaczna: niby był przez władzę kontrolowany, ale jakby nie do końca. Ogłaszał uchwały przeciw cenzurze, że bezskutecznie, to inna sprawa, ale przecież coś się tu działo. Poszczególni działacze – tak Iwazkiewicz, jak nawet Putrament – potrafili wykłócać się z cenzurą, chronić swych członków przed represjami. Wiele tego nie było,

to prawda, ale w gruncie rzeczy właśnie ZLP był w PRL jednym z tych nielicznych środowisk, które potrafiły wymusić na władzach jakiś, chwiejny bo chwiejny, kompromis demokratyczny. Dość przypomnieć przetargi między partyjnymi i opozycyjnymi grupami w trakcie wyborów do władz związkowych. To, co działo się w czasie zjazdów czy tylko zebrań ZLP budziło wówczas żywy oddźwięk społeczny bodaj najgłośniejsze stało się zebranie nadzwyczajne Oddziału Warszawskiego z 29 lutego 1968 roku, w trakcie którego grzmiał Kisielewski o „władzy ciemniaków” i w trakcie którego przyjęto w głosowaniu rezolucję potępiającą zdjęcie z afisza „Dziadów”.

W stanie wojennym ZLP zawieszono, zaś w roku 1983, po nieudanych próbach mediacji prezesa Jana Józefa Szczepańskiego (opisanych znakomicie w jego „Kadencji”), rozwiązano. W to miejsce powstał natychmiast neo-ZLP powołany do życia m.in. przez Halinę Auderską. I znów, można powtórzyć za Watem, „to wszystko do związku wstąpiło”. Neo-ZLP zachował prawo przydziału kartek na żywność, tu też można było coś załatwić – dla ludzi starszych nie było wyjścia, wielu się więc, po mniejszych lub większych oporach, do nowej organizacji zapisało, większość jednak z udziału w tej imprezie zrezygnowała. To, co wstąpiło, zwłaszcza nie tylko majątek, lecz także tradycję dawnego ZLP, łącznie z tradycją międzywojennej organizacji. Skok na szyld okazał się skokiem na kasę i tradycję. I był to skok udany, gdyż w dokumencie przygotowanym dla sejmowej komisji kultury i środków przekazu w roku 1999 przeczytać można, iż jest to organizacja powstała w roku 1920. Tak, jakby po drodze nic się nie stało.

Stało się jednak to, iż pisarze, którzy do neo-ZLP w roku 1983 nie wstąpili, założyli w roku 1989 Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, którego honorowym prezesem został ostatni prezes ZLP, Jan Józef Szczepański, co miało symbolizować podjęcie tradycji rozwiązanego Związku Literatów Polskich. Po trwających pewien czas przetargach, nowa organizacja odzyskała prawo rezydowania w Domu Literatury, dzieląc miejsce z neo-ZLP i PEN-Clubem. Jest też faktem, iż spośród dawnych członków ZLP w SPP znalazła się większość, zaś mniejszość w neo-ZLP. Pozostaje kwestią otwartą, kto w rzeczywistości tradycję dawnego ZLP powinien dziedziczyć. Neo-ZLP szykuje się właśnie do obchodów swego 80-lecia.

Nic więc dziwnego, iż w trakcie posiedzenia Zarządu Głównego SPP w grudniu 1999 podjęto uchwałę, w której zwrócono się do Jana Józefa Szczepańskiego i członków istniejącego do

1983 Zarządu Głównego ZPL z prośbą o wystąpienie do sądu o unieważnienie decyzji prezydenta m.st. Warszawy, na mocy której rozwiązano dawną organizację. Samo SPP wystąpić w tej sprawie nie jest władne, mogą to uczynić jedynie władze rozwiązane Stowarzyszenia. W wypadku unieważnienia owej decyzji – jako podjętej bezprawnie – byłoby automatyczne reaktywowanie dawnego ZPL.

Co to oznacza? Oznacza to, że reaktywowana została organizacja, której członkami byłiby w momencie odnowienia jej egzystencji wszyscy dawni członkowie ZPL – zarówno ci, którzy dziś są członkami SPP, jak ci, którzy wstąpili do neo-ZPL. To, czy chcą być członkami reaktywowanego dawnego ZPL pozostaje kwestią ich własnego wyboru. Rzecz jasna, w reaktywowanym ZPL nie mogliby być członkami ani ci pisarze, których po roku 1983 przyjęto do neo-ZPL, ani ci, których przyjęto do SPP po roku 1989, a którzy nie byli członkami ZPL przed rokiem 1983. Ale też oznaczałoby to, iż neo-ZPL nie ma prawa używać zastrzeżonej prawnie nazwy „Związek Literatów Polskich”. A tym samym – że nie może uznawać się za kontynuatora tradycji organizacji założonej w roku 1920.

Ciąg dalszy można sobie na razie tylko wyobrazić. Pierwszym krokiem reaktywowanego ZPL musiałoby być zapewne zwołanie nadzwyczajnego zjazdu tej organizacji i podjęcie odpowiednich decyzji, takich choćby, jak samorozwiązanie, o czym może decydować wedle statutu tylko zjazd.

Leszek SZARUGA

UNIwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 2000

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 19 czerwca do 8 lipca 2000 r. w Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia 1200 w Rzymie Uniwersytet Letni Kultury Polskiej.

Temat: Polska XX wieku. Jej kultura i powiązania z kulturą światową.

Program: dawna i najnowsza historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, wkład polskiej emigracji w kulturę światową.

Wykłady w języku polskim i angielskim.

Studenci mogą uzyskać 5 punktów (*credits*).

Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzenie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Orvieto, Monte Cassino i Pompei.

Uniwersytet Letni jest otwarty dla wszystkich pragnących pogłębić znajomość problematyki kultury chrześcijańskiej i polskiej.

Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 1000 dolarów USA (studenci 850 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają po przyjeździe do Rzymu.

Zgłoszenia należy kierować do dnia 15 maja 2000 wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
Via di Porta Angelica 63
00193 Roma, Italia
tel./fax 39/06/686-18-44
<http://www.jp2f.opoka.org.pl>; e-mail: jp2f@pronet.it

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

Notatki Redaktora

Smutna wiadomość. Ukazało się oświadczenie księdza superiora pallotynów Henryka Hosera, o zamknięciu *Naszej Rodziny* z powodów materialnych. Ksiądz superior wyraża przekonanie, że nie jest to zerwanie kontaktu z czytelnikami. „Będziemy je nadal utrzymywać w inny sposób, za pomocą innych środków”. Bardzo na to liczymy, gdyż przez dziesiątki lat ośrodek pallotynów w Paryżu odgrywał ogromną rolę. Centre du Dialogue było miejscem spotkań i dyskusji polskiej emigracji z ludźmi z kraju – niezależnie od ich orientacji i poglądów. Na tych wieczorach wykształciła się polska myśl kulturalna i społeczna. Dziś kiedy cały świat wchodzi w rok 2000 a przed Polską stoi szereg zagadnień związanych z naszym wejściem do Unii Europejskiej, zagadnień trudnych do rozwiązania, od których zależy nasz przyszłość – spotkania w Centre du Dialogue dalej są nam bardzo potrzebne. Liczymy więc, że ksiądz superior będzie kontynuował z pomocą Danuty Szumskiej działalność ks. Sadzika i Modzelewskiego.

Raz jeszcze powracam do sugestii, którą przedstawiłem w numerze wrześnieowym *Kultury*, a mianowicie przeprowadzenia w roku 2000 powszechnego spisu ludności. Dane z poprzedniego spisu są już dzisiaj w dużym stopniu nieaktualne, a przecież są niezbędne do prowadzenia polityki przede wszystkim mniejszościowej i społecznej.

W Telewizji Polskiej narasta coraz większy kryzys, przeprowadzane są zmiany i reorganizacje, których chyba jedynym celem jest usuwanie osób niewygodnych i lokowanie

swoich ludzi, niezależnie od ich kompetencji. Rządzi w TV Stronnictwo Ludowe, znane ze swej pazerności, a którego wpływy w telewizji przekraczają jego realne wpływy polityczne. Znacznie mocniejsze stronnictwa jak SLD czy AWS ulegają ich arogancji z nieznanych powodów. Poparliśmy więc pomysł, by Ministerstwo Skarbu, które jest właścicielem telewizji, przekazało swoje uprawnienia rektorom wyższych uczelni, co przyczyni się do jej odpolitycznienia, zlikwidowania niesłychanego marnotrawstwa pieniędzy, kumoterstwa, położenia większego nacisku na zagadnienia kulturalne i naukowe i wprowadzenia dobrych obyczajów. Jak to jest potrzebne, przykładem jest sprawa korespondenta TV w Paryżu, którym od lat jest Grzegorz Dobiecki, doskonały fachowiec, świetnie wprowadzony we francuskie stosunki i powszechnie lubiany. Stosunki Dobieckiego z Telewizyjną Agencją Informacyjną (TAI) nie układały się dobrze, jego liczne inicjatywy często nie były brane pod uwagę, jak również jego uwagi na temat marnotrawstwa pieniędzy przez przysyłanie do Paryża z różnych redakcji coraz to nowych ekip z własnym sprzętem, dla realizowania specjalnych nagrań, pomimo funkcjonującego w Paryżu biura telewizji, odpowiednio wyposażonego. Kontrakt Dobieckiego z TAI wygaszał w końcu grudnia br. Zamiast przedłużenia kontraktu, czy usunięcia Dobieckiego, ogłoszono konkurs na stanowisko korespondenta paryskiego nie informując zainteresowanego. Jednak Dobiecki dowiedział się o tym, stanął do konkursu i wygrał go. Dyrektor Marek Kassa przedstawił jednak zarządowi kandydaturę pana Stefaniaka – dziennikarza telewizyjnej „Panoramy” z TVP-2, który w konkursie zajął drugie miejsce. Zarząd jednomyślnie wybrał pana Stefaniaka i obejmuje on placówkę paryską od 1.01.2000, a Dobieckiemu zaproponowano posadę komentatora TVP bez sprecyzowania na czym ta funkcja miałaby polegać.

W rozmowie telefonicznej z Jelcynem, prezydent Francji Jacques Chirac, który bardzo stanowczo ponowił żądanie, by zrobiono wszystko dla szybkiego uwolnienia Brice Feltiaux – prasowego fotografa, który od 1.10. br. jest uwięziony w

Czecenii. W Czecenii są uwięzione od sierpnia br. prof. Fiszer-Malinowska i doc. Ewa Marchwińska-Wyrwał z Międzynarodowego Centrum Ekologicznego PAN, uprowadzone w Dagestanie, a przebywające obecnie w Czecenii. Polki przyjechały do Dagestanu na zaproszenie tamtejszego Instytutu Zasobów Biologicznych Rosyjskiej Akademii Nauk, zajmującego się badaniem turów i kozic górskich. Nic nie wiadomo o ich losach, kursują jedynie ciągle bałamutne i sprzeczne informacje i szereg nic nie mówiących wypowiedzi rzecznika prasowego MSZ. Na moje zapytanie odpowiedziano, że dyskrecja jest potrzebna, żeby nie utrudniać rokowań. Jak dotąd, rezultatów nie widać, a nic nie zrobiono, żeby zmobilizować opinię światową. Tę dziwną obojętność przejawiają polskie organizacje kulturalne i naukowe, które walczą w obronie praw człowieka w Chinach, jak to robi np. polski PEN-Club czy „Solidarność” Uniwersytetu Warszawskiego. Swoją drogą, wydaje się rzeczą lekkomyślną, że Polska Akademia Nauk dopuściła do wyjazdu swych pracowników, a tym bardziej kobiet, na teren tak niebezpieczny, na badania, które wydają się dosyć błahe dla laika.

REDAKTOR

Brulion paryski

W piękny jesienny poranek z chłodnym, rześkim powietrzem i niebem rozjaśnionym przez słońce, poszedłem na rue Daru do cerkwi św. Aleksandra Newskiego. Jak większość paryskich gmachów, i ona zbudowana jest z szarego kamienia. W olbrzymich, przeszklonych wrotach do kruchty odbijały się żółtawe kamienice z naprzeciwka, wielka mozaika na fasadzie, przedstawiająca Chrystusa, połyskiwała niczym brzozy Klimta tysiącem złocistych kamyczków, a cebule, wieńczące każdą z pięciu wieżyc, rumieniły się w słonecznym ogniu. Gdy wszedłem do środka, natychmiast owionął mnie mocny zapach świec i kadzideł. Niedawno skończyło się nabożeństwo i we wnętrzu było jeszcze kilka osób modlących się przed ołtarzami i ołtarzykami, zginających się w pokłonach, zapalających cieniutkie ofiarne świeczki. Jakaś starsza pani rozmawiała żywo z młodym popem z rozcapierzoną brodą, zerkałym na nią spoza okularów w czarnej, kanciastej oprawie. Kobięcina sprzedająca świece przeliczała szare krążki monet i coś zapisywała w kajecie, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na wchodzących i wychodzących. Dwoje staruszków z zapamiętaniem szeptało o czymś w kącie.

W cerkwi panował delikatny półmrok, w niektórych miejscach przechodzący w niemal zupełną ciemność, w innych rozświetlony przez promienie słońca, wylewające się spoza witraży i odbijające się w wyłoczonych kopulastych sufitach. Ciemnobrązowe ściany zachowały resztki przytartych ornamentów, trzy żyrandole kłębiły się nad głowami płataniną licznych ramion. Z niewidocznych głośników sączyły się cicho prawosławne chóry, mieszając się ze złapaną

w smugę światła chmurą srebrzystego pyłu.

Stąpając wolno po rubinowym dywanie, pokrytym setkami białych kropel zaschniętego wosku, rozglądałem się wokół. Po obu stronach carskich wrót, znajdowały się pulpity z ikonami ufundowanymi przez wiernych. Z kolei kilka tablic przypominało żołnierzy białej armii i prosiło o modlitwę w ich intencji. Zaś w obu bocznych nawach umieszczono olbrzymie obrazy Aleksego Bogolubowa, ukazujące Chrystusa idącego po jeziorze oraz Chrystusa nauczającego. Na tym drugim płótnie Zbawiciel z rękoma uniesionymi ponad głową przemawiał do zgromadzonego nad brzegami tłumu. Oba obrazy zostały namalowane w tonacji brązowej, dzięki czemu zlewały się ze ścianami cerkwi i spoglądając na nie z daleka można było odnieść wrażenie, że to nie żadne obrazy, ale okna, za którymi właśnie odbywa się scena sprzed dwóch tysięcy lat, scena historyczna, a jednocześnie teraźniejsza, boć przecie wieczna. Wrażenie to potęgowało spadające spod cerkiewnej kopuły światło, które odbijało się od werniksu pokrywającego płótno i rzucało na odmalowany krajobraz tajemniczą poświatę, przesuwaną się wraz z każdym krokiem oglądającego obraz. Dla tych, którzy zanoszą tu modły i śpiewają pieśni, nie ulega zapewne wątpliwości, że w tych ziemskich promykach objawia im się sama Najwyższa Światłość. Aby się o tym upewnić wystarczyło na chwilę spojrzeć na twarz dziewczyny w wytartych dzinsach i krótkiej skórzanej kurtce, która właśnie wybijała pokłony przed ikoną i przez chwilę zerknęła na mnie pięknymi oczyma, poszklonymi przez srebrzyste łzy.

Kilka dni później, w ciepły, ale pochmurny dzień, pojechałem koleją podmiejską do Sainte-Genève des Bois na cmentarz rosyjskiej emigracji. Po wyjściu z dworca, gdy studiowałem umieszczony na tablicy plan miejscowości, podszedł do mnie mężczyzna, Rosjanin, który też wybierał się na cmentarz i zapytał łamaną angielszczyzną, czy wiem którądy tam dotrzeć. Odpowiedziałem po rosyjsku, żeby poszedł ze mną, ja znam trochę francuski, jeśli zblądzimy, dopytamy się jakoś o drogę.

Poszliśmy niezmiernie długą ulicą, pośród przyszczyżonych drzew i małych piętrowych willi. Kiedy wśród znanych rodaków pochowanych na miejscowym cmentarzu,

których mogiły chciał obejrzeć, na pierwszym miejscu wymienił Bunina, przyjrzałem mu się lepiej. Miał dobrze po czterdzieście, ciemne włosy, na nosie okulary w drucianej oprawie. Niski, z podtatusiałym brzuszkiem, ubrany był w długą skórzaną kurtkę. Okazało się, że jest konstruktorem maszyn używanych do wydobywania gazu oraz ropy. Razem z kilkoma kolegami z branży wracali z sympozjum w Nicei i na jeden dzień zatrzymali się w Paryżu. Koledzy z samego rana pobiegli zwiedzać miasto, a on, jeden jedyny, wybrał się na emigracyjny cmentarz.

Postanowiłem skorzystać z okazji i dowiedzieć się, co też o przemianach, które zaszły w naszej części Europy w ostatnim dziesięcioleciu, myśli przeciętny rosyjski inteligent. Dla wprowadzenia swobodniejszej atmosfery zapytałem żartem, czy Jelcyn jeszcze żyje, na co on, w lot łapiąc dowcip, odpowiedział z uśmiechem, że nie wie, bo wyleciał z Moskwy przed tygodniem i od tego czasu nie miał żadnych informacji z kraju. Narzekał na to, co dzieje się w Rosji, niskie zarobki, przestępczość. Nie miał pojęcia, na kogo głosować w najbliższych wyborach do parlamentu, o Jelcynie i Łużkowie miał najgorsze zdanie, podobnie o komunistach, choć przyznał się, że przed rozpadem Związku Sowieckiego należał do partii.

Zapytałem czy odczuwa nostalgię za imperium. Odpowiedział, że jeśli o niego chodzi, nie ma nic przeciwko temu, że od Rosji odpadły kraje bałtyckie, kaukaskie i azjatyckie. Natomiast zdecydowanie nie spodobało mu się oddzielenie Ukrainy i Białorusi. Rozpad Sowietów zastał go w Mińsku, dokąd trafił przed laty wysłany tam przez resort i kilka lat musiał starać się o załatwienie rosyjskiego paszportu i wielu innych formalności, związanych z powrotem do Moskwy. Jego syn pozostał w Mińsku, jest obywatelem białoruskim, co komplikuje im znacznie wzajemne kontakty. Dla wygody obywateli Rosja, Białoruś i Ukraina powinny zatem stanowić jedno państwo, tym bardziej, że zamieszkują je pokrewne narody słowiańskie, posługujące się bardzo podobnym językiem. Pozwoliłem sobie zauważyć, że Europa Zachodnia podzielona jest na narodowe państwa, co wcale nie przeszkadza ich mieszkańcom w swobodnym przemieszczaniu się, zatem to nie suwerenność państw, ale system panujący wewnątrz nich

oraz zasady współpracy z sąsiadami decydują o swobodzie obywateli w wyborze miejsca zamieszkania i pracy. Pominął te uwagi milczeniem.

Po półgodzinnym błędzeniu ujrzelśmy wreszcie z daleka kępę świerków i brzoź, pośród których bielila się malutka cerkiew, kłująca szare niebo szpiczastym, błękitnym turbanem. Stojące w równych szeregach groby okazały się skromne i podobne do siebie jak żołnierskie uniformy, które nosiło na sobie wielu w nich spoczywających. Na przęających się na baczność prawosławnych krzyżach wyryte były rozliczne odznaczenia, tytuły generał-majorów, pułkowników, admirałów, adiutantów. Z wyblakłych fotografii spoglądały twarze poprzecinane siwymi wąsiskami, osadzone na sztywnych wysokich kołnierzykach, do których przylegały szerokie epolety. Mohikanie przedrewolucyjnej Rosji, w Paryżu kierowcy taksówek lub kelnerzy w emigracyjnych knajpach, tu znów pokazywali się w całej dawnej krasie, jakby myśleli, że oszukają wieczność, że wmówią jej, iż nadal są dowódcami pułków, dziedzicami na włościach, posiadaczami rang i orderów. Ale ona, spoglądająca na nich w tejże chwili oczyma polskiego pisarza, wiedziała dobrze, że to tylko maskarada; wiedziała że te ich cerkwie, w których nadal śpiewają basem, są przybytkiem nie wiary, lecz zwątpienia, a te ich knajpy z blinami i kozakami tańczącymi przy harmoszce w prysiadach to tylko skanseny, w których za kilka franków wyprzedaje się dawną świetność. Wieczność ma dobrą pamięć i choćby nie wiem jak bardzo się tego pragnęło, nie można jej oszukać.

Ogarnęło mnie nagle wielkie współczucie dla tych ludzi. Przekleństwo wygnania musiało im ciążyć bardziej aniżeli dziś te grobowe kamienie. Zamiast salonów – sutereny, zamiast wykwinnych obiadów – lura w garkuchni, zamiast uznania i rozgłosu – samotność i zapomnienie. Wielu, pewnie nawet większość z nich nie mogła zrozumieć – dlaczego?! A jeszcze mniej rozumiały to pewnie ich żony, siostry, córki, te, które z pozoru nie zrobiły przecież nic złego – czyściły im tylko mundury, dbały o to, żeby obiad podano na czas, w gimnazjum wkuwały na pamięć łacińskie słówka, w państwowe święta biegly do soboru pomodlić się za imperatora. Cóż mogły poradzić na to, że imperator był niedołągą, że jego otoczenie nie chciało reform, że kraj nie miał obywateli,

a jedynie poddanych i do tego większość tych poddanych była dopiero co wyzwolonymi niewolnikami, w całym znaczeniu tego słowa – ludźmi drugiej kategorii? A jednak byli w jakimś sensie winni – i oni, i nawet one. Byli winni zaniechania, bierności, zaakceptowania chromej rzeczywistości. Ewidentna była wina tych, którzy wiedzieli, że Rosja jest chora i wymaga szybkiej naprawy, lecz godzili się na istniejący stan rzeczy – oficerowie z obawy przed przeniesieniem na prowincję, urzędnicy ze strachu o pominięcie przy awansie, ich żony z lęku, że żona innego zjawi się na balu w piękniejszej sukni, córki z niepokoju o posag i związane z tym szanse na dobre zamążpójście. Byli winni grzechu przedłożenia korzyści własnej – tej pojmowanej najprymitywniej, jako to co można zaraz skonsumować (grzech z takim upodobaniem popełniany przez współczesnych Rastignaców) – ponad korzyść ogółu i zostali ukarani za to w sposób najdotkliwszy, stratą tego wszystkiego właśnie, na czym zależało im najbardziej. Ale winni byli i ci, którzy sądzili, że wszystko dzieje się w zgodzie z wolą Opatrzności, że car jest dobry i robi, co może, by i ludom jego było dobrze. Ci zgrzeszyli bodaj jeszcze bardziej od tamtych, pozwalając okiełznać własny umysł, kładąc tamę procesowi uczestnictwa własnej myśli w opisanym przez Teilharda de Chardin zjawisku dochodzenia do Najwyższej Świadomości. Bo grzechem jest czynić zło, ale jeszcze większym grzechem jest nie wiedzieć, że się je czyni. Ten bowiem, który wie, że grzeszy, cały czas wystawia swoje sumienie na ataki świadomości grzechu i ma otwartą drogę do poprawy; natomiast ten, który w ogóle nie wie, że grzeszy, nie ma żadnej motywacji, by się zmienić. Oczywiście, wina zmarłej w wieku dwudziestu jeden lat Natalii Pawłownej Da... Dawidowej? Dawojłowej? (nazwisko nieczytelne), której w saratowskim gimnazjum wbijano do głowy, że car jest pomazańcem Bożym, była bez porównania mniejsza niż wina pochowanego kilka rzędów dalej Siergieja Piotrowicza Michajłowa, nauczyciela historii, który panienkom podobnym do niej wiedzę takową gorliwie przekazywał. Ale przecież i one miały swój rozum oraz sumienie, wystarczyło, żeby popatrzyły za okno lub przeczytały poranną gazetę, aby w gładkim wykładzie belfra dostrzegły liczne szczeliny. Jeśli mimo to przymykały oczy i usypiały własne wyrzuty sumienia,

automatycznie brały na siebie – małą, ale jednak – cząstkę winy.

Kto z myśli tka sobie zaciszny kokonik i nie wpuszcza do jego wnętrza żadnej nowej idei, ten tym boleśniej odczuwa okrutne ciosy losu. Niemożność emigrantów w przystosowaniu się do nowych warunków życia, zupełnie odmiennych od tych, do których przyzwyczaili się w Rosji, wynikała nie tyle stąd, że pan major czy pan radca nie mógł nauczyć się naprawiać samochodowych silników, a jego żona krochmalic firany (bo tę wiedzę, choć z bólem, ostatecznie można było sobie przyswoić), ale dlatego, że nie mogli zaakceptować zmiany jako takiej, rozbicia kokonu i znalezienia się zupełnie nagimi w świecie, którego w ogóle nie mogli pojąć. Jeśli Bunin w swoich wspaniałych nowelach i opowiadaniach kreślił raz za razem piękne opisy „szlacheckich gniazd” i jeśli tysiące jego rodaków-tułaczy ze łzami w oczach nimi się rozkoszowało, był to wynik nie tylko naturalnej nostalgii, ale i nienawiści do skomplikowanego świata, w którym nie wystarczy jedynie być – trzeba również działać.

Patrząc na moskiewskiego inżyniera, który fotografował zapamiętałe zbiorowe mogiły kozaków i kadetów, obeliski ku czci Kornilowa, Denikina i Kołczaka oraz ich żołnierzy, zastanawiałem się, czy Rosja już przetarła oczy i spogląda na siebie i świat całkiem świadomie. I wszystko, co wiedziałem na jej temat upewniało mnie w mniemaniu, że nadal widzi jak przez mgłę, że nadal pogrążona jest w zatruwających umysł majakach. Imperialne westchnienia, panslawistyczne nostalgii, mesjanistyczne tęsknoty wciąż odurzają jej duszę. Wygląda na to, że jeszcze długo Rosja przeżywać będzie dni nowej Wielkiej Smuty.

Inżynier odnalazł mogiłę Bunina i zawołał mnie, żebym mu zrobił zdjęcie. Szary, skromny nagrobek przykrywało kilka bukietów tulipanów, róż i goździków. Z pamiętników Niny Berberowej, która znała dobrze Bunina i poświęciła mu wiele stron swych wspomnień, dowiedziałem się, że był ateistą. On, który tak pięknie pisał o wierze i Bogu. Nigdy przez myśl by mi to nie przeszło.

Żeby nie tracić czasu na jałowe kluczenie między grobami, w sklepiku przy cerkwi kupiłem plan cmentarza z zaznaczonymi mogiłami znanych osób. Rozpoczęliśmy pielgrzymkę

przez cmentarne alejki. Ojciec Sergiusz Bułhakow, wielki teolog, odnowiciel cerkwi na emigracji. Tuż obok księżę Lwow, pierwszy premier pierwszego demokratycznego rządu Rosji, ustanowionego po rewolucji lutowej. Nie zdążył przebudować kraju, za późno już było, dużo, dużo za późno. Aleksy Riemizow, mam w bibliotece jego „Siostry krzyżowe”, ale jeszcze ich nie czytałem. Dużo książek Riemizowa, wydanych po rosyjsku przed pierwszą wojną miał Piotr Osipow, kaliski Rosjanin, przyjaciel moich dziadków, którego wspominałem w mojej drugiej książce. Łoski, kolejny wielki myśliciel religijny, a niedaleko, w mogile z czarnego lśniącego granitu, ożywionego przez żółte i fioletowe bratki, Serge Lifar, wspaniała tancerz baletu Diagilewa. Na widok tego nagrobka poczułem nagle falę domowego ciepła i zaraz uświadomiłem sobie jej przyczynę. Pewnego razu, kiedy miałem mniej więcej dziesięć lat, matka z grupą nauczycieli pojechała na wycieczkę do Warszawy w celu obejrzenia spektaklu w Teatrze Wielkim. Przywiozła stamtąd program, wypełniony zdjęciami tancerza w różnych kostiumach, między innymi w wysokiej czapce zbójnika z Harnasiów. Pamiętam, że oglądałem ten program z wielkim namaszczeniem, jako namiastkę odległego i egzotycznego świata, o którym dotąd nie miałem najmniejszego pojęcia. I to dziwne imię i nazwisko, należące do starszego pana o pooranej bruzdami, mięsistej twarzy: Serge Lifar... Szkoda, że wiele lat później, podczas którychś z kolei porządków w bibliotece, program ten wyrzuciłem... Ale oto kolejny tancerz: Rudolf Nuriejew. We wspaniałym nagrobku, nakrytym mozaiką imitującą wschodni, wielobarwny dywan. Z mozaiki powyskakiwało kilka barwnych kamyczków i właśnie wkładały je na miejsce dwie czarnowłose dziewczyny. Czarne włosy miała też pochowana w kolejnej kwaterze Zinaida Serebriakowa, malarka, a i jej olbrzymie oczy czerniły się jak dwa głębokie jeziora. Szczupła twarz, długi, szczupły nos i zgrabne usta, na których błakał się ledwie dostrzegalny uśmiezek, miały w sobie tyle piękna, że zakochałem się w niej natychmiast, gdy tylko ujrzałem jej autoportret w małym albumiku „Russian paintings”, kupionym jeszcze w licealnych czasach. Wiedziała o swej urodzie i uwielbiała się sama portretować. Zdaje się, że w którymś z paryskich muzeów widziałem jej akt-autoportret i niechaj

będę przeklęty za to, że zapomniałem w którym. Jak też za to (co wyszło na jaw po powrocie do domu), że ów albumik komuś jakiś czas temu wydałem.

Kilkanaście kroków dalej – Andriej Tarkowski. Na krótko przed śmiercią, gdy wiedział już, że nie wywinie się chorobie, zapisał w Dziennikach: „Zbaw mnie przez Twoje miłosierdzie, któż bowiem pamięta o Tobie w krainie zmarłych, któż Cię chwali w grobie?” Teilhard de Chardin także zadawał sobie to pytanie i doszedł do wniosku, że musi istnieć życie wieczne, bo inaczej cała mozolna praca, jaką tylu ludzi podejmuje przez całe życie nad sobą, uległaby unicestwieniu. To ta praca właśnie jest pieśnią pochwalną na cześć Stwórcy, trudno zatem sądzić, że byłby On gotów nią wzgardzić. Zaiste, nie można wychwalać Boga w grobie.

Na rogu jednej z następnych kwater – księżna Irena Aleksandrowna Jusupowa, córka wielkiego księcia Aleksandra Michajłowicza, oraz jej mąż, potomek tatarskiego rodu, książę Feliks Feliksowicz Jusupow. W swojej bibliotece mam podarowane mi przez Piotra Osipowa numery *Niwy* („ilustrowanego czasopisma literatury, polityki i życia codziennego”, popularnego tygodnika z przełomu wieków), pochodzące z pierwszej połowy 1914 roku. W numerze 8. z 22 lutego znalazłem fotografie obojga księstwa, zamieszczone tam z okazji ich ślubu, zawartego kilkanaście dni wcześniej. Ona, z ciemnymi włosami upiętymi z tyłu, zadumana, piękna urodą niekrzykliwą, cichą, w skromnej białej sukni i sznurze drobnych pereł; on, przystojny, gładko ogolony, w wysokim kołnierzyku o półokrągłych rogach, patrzący pogodnie z łagodnym uśmiechem. Któż mógł przewidzieć, że niecałe trzy lata później ten przystojny młodzieniec wyrzeknie się spokojnego, dostatniego życia u boku kochanej żony, byle tylko zmyć hańbę cesarskiej rodziny i spróbować zawrócić – znowu za późno, za późno! – koło historii: zabije Rasputina. Gdy siedemdziesiąt lat potem patrzył na mnie z pożółkłych stroniec pachnącej kurzem *Niwy*, może to właśnie chciał mi powiedzieć: nie przegap właściwej chwili, historia jest uparta i nigdy nie zawraca. W tych momentach, gdy toczy się wolno, leniwie, można łatwo skierować ją w inną stronę, lecz kiedy przyspieszy, nie pomogą już nawet największe ofiary. A potem, no cóż – potem człowiek może być bardzo szczęśliwy,

jeśli uda mu się spocząć razem z bliską osobą w jednej mogile.

Słońce, które na krótko wyszło zza chmur, rozjaśniając żółtawę cętki brzoź i niebieską cerkiewną kopułę, znowu skryło się w szarych tumanach. Zaczęło kropić. Wróciliśmy taksówką na dworzec i tam rozstaliśmy się, gdyż mój towarzysz poszedł kupić bilet, a ja postanowiłem szybko coś przekąsić. Kiedy wróciłem na dworzec, już go nie było; widocznie złapał wcześniejszy pociąg. Nie zdążyliśmy się pożegnać ani porozmawiać o wielu ciekawych sprawach. Cóż, mam nadzieję, że dobry duch będzie czuwał nad nim i nad milionami takich jak on, bo to w końcu od nich zależy, jakiego będziemy mieć na wschodzie sąsiada.

Arkadiusz PACHOLSKI

Fragment książki, która ukaze się w połowie roku

Przebudzenie wileńskie 1905-1915

W *Gońcu Wileńskim* z 1909 r. można było przeczytać: „Wilnianin musi się bez wielu rzeczy obchodzić. Nie posiada wodociągów, ani kanalizacji. Jeździ śmiesznymi tramwajami, bruki ma okropne, oświetlenie liche. Musi się obchodzić bez uniwersytetu, a obrazy ogląda rzadko, brakuje mu muzyki...”. Ale nagle – od mniej więcej 1905 roku zaczęło się wszystko zmieniać, zostały zahamowane prowincjonalizacja i rusyfikacja. Andrzej Romanowski poświęcił temu zjawisku szczegółowo udokumentowaną, obszerną książkę, pod tytułem „Młoda Polska Wileńska”.

W tymże 1909 roku Orzeszkowa obejrzawszy w Wilnie „Lillę Wenedę” napisze w liście: – „Lillę Wenedę” widziałam w wykonaniu świetnym, z dekoracjami prawdziwie czaro-

dziejskimi Ruszczyca. Gdyby choć trochę wolności, choć trochę! – co to byłaby za kultura, jaka siła pociągu na plecioną sąsiednie i jakie rozwiązania kwestii różnoplemienności mieszkańców tej ziemi! Ale wiedzą o tym ci, co są na górze i dlatego właśnie skały pod nogi i kamienie na głowy rzucają!”. Teraz, po 1905, te skały i kamienie będą coraz mniej zawadzać. Jest nawet zgoda na uniwersytet – brak jednak kadr profesorskich, trzeba się zadowolić Towarzystwem Przyjaciół Nauk (Litwini ze swej strony zakładają od razu swoje Towarzystwo Naukowe). Krzewi się czytelnictwo organizowane przez „Oświatę”, tajne nauczanie sięga na tzw. zapadłą prowincję. Znowu – po zamknięciu księgarni Orzeszkowej – nabierają wigoru wydawnictwa, z rodową oficyną Zawadzkiego na czele. Wacław Makowski staje się wydawcą Orzeszkowej. W szczytowym roku 1911 ukazuje się 78 tytułów, czyli 60% produkcji krajowej!

Stopniowo miasto odzyskuje polskojęzyczny charakter. Władysław Zahorski domaga się rodzimych nazw ulic i placów: „Po co ta maskarada?!”. Adwokat Michał Węśławski zostaje w Wilnie prezydentem, a Michał Wołłowicz obejmuje to stanowisko w Mińsku, w kowieńskiej Radzie Miejskiej dominują Polacy. Tadeusz Stanisław Wróblewski, sybirak, kolekcjoner, twórca Towarzystwa Neoszubrawców, w akcie testamentowym funduje ogromną bibliotekę: 65 tysięcy tomów, 3 tysiące sztychów, tysiąc map i planów, 5 tysięcy rękopisów, 10 tysięcy listów i autografów, rekwizyty masonskie, obrazy, fotografie i rzeźby. Od 1909 działa oryginalna grupa literacko-wodewilowa „Banda”, która wydaje kwartalnik *Żurawce*, ale najszcześniejszym jej owocem stanie się satyryczny kabaret „Ach”, prowadzony przez Michała Minkiewicza i Stanisława Bohusza-Sietrzeńcewicza, scenografa i aranżera. Wkrótce „Achy” wydadzą się miastu nieodzowne. Wykonawcami są nieraz amatorzy z miejscowej arystokracji, Ponińscy, Rzewuścy, Puzynowie. „Cała Litwa spotyka się w sali, jedni na estradzie, drudzy na widowni.” Bilety drogie, do 300 rubli, ale cały dochód idzie na przytułek św. Antoniego.

Zaroi się teraz od pism, w sumie 80 tytułów – w nieustannej fluktuacji i roszadach, gdy władze jedne zamykają, natychmiast powstają nowe, często o tej samej nazwie i redakcji. Ukazanie się w 1904 litewskiego *Vilniaus Žinios* mo-

bilizuje Polaków. *Kurier Litewski* pod redakcją Czesława Jankowskiego odtwarza tytuł z początków wieku. Jako wydawca rolę wybitną odegra biskup Edward Ropp, człowiek światły i stroniący od dogmatycznego klerykalizmu. Jego kolejne pismo *Nowiny Wileńskie* niepozabawione są nuty radykalnie społecznej. Ropp zaraz przejmuje *Kurier Litewski*. Tak zwani „krajowcy”, na czele z Michałem Römerem, sprzyjającym usamodzielnieniu się Litwinów, i Ludwikiem Abramowiczem, wydają *Gazetę Wileńską*, związaną z Neoszubrawcami. *Kurier Litewski* rozwinię się pięknie od strony literackiej, po kasacji cenzury rewolucyjnej pisarze czują się uskrzydleni. Rok 1863 przestaje być tematem tabu, publikuje więc Orzeszkowa, Przyborowski, doskonałymi bajkami sypie Benedykt Hertz i pilnie pracują literaci miejscowi, by wymienić tylko Jeleńską-Dmochowską i Römer-Ochenkowską. Wszechstronny Czesław Jankowski lansuje pierwsze od czasów romantyzmu pismo poświęcone literaturze pt. *Ruch Literacki*. Gdy jego artykuł „Kwestia suwalska” (podnoszący żądania Litwinów) spowoduje ataki polskich szowinistów, dzielnie go dotąd osłaniający biskup Ropp czuje się zmuszony zdymisjonować redaktora. *Kurier* redagują teraz Ludwik Abramowicz i Wojciech Baranowski, a dział literacki bierze na siebie pani Eliza – nie ruszając się ze swego Grodna! – i daje sobie radę doskonale. Tłumaczy Konopnickiej: – „Nie pytaj dlaczego! Tak trzeba było, nie dla mnie osobiście, ale dla prasy polskiej na Litwie, tak młodej a już wątłej. Biedni my!” Twór Neoszubrawców *Przegląd Wileński* kategorycznie deklaruje: „szczerą, istotną demokratyzację społeczeństwa”. Ludwik Abramowicz głosi w artykule „Idea Jagiellońska”: „Lud litewski i za nim białorusini stają się narodami, chcą przemawiać we własnym imieniu”. Uważa, że nie ma konfliktu między ideą „krajową” a ideą narodową. Pismo dostarcza bogatego materiału o charakterze społecznym, często w radykalnym ujęciu (Bolesław Limanowski, Ludwik Krzywicki).

W ciągu pięciu miesięcy olśniewa *Tygodnik Wileński* Ruszczyca i Gizberta-Studnickiego, całkowicie poświęcony kulturze i sztuce, nawiązujący do *Tygodnika Wileńskiego* Joachima Lelewela. Wyrasta na główny organ kulturalno-artystyczny całych Ziem Zabrzanych, w tym Wołynia i Podola. Redaktorzy pracują w prywatnych mieszkaniach, co

oddaje ich poświęcenie. Ferdynand Ruszczyk zostawia ślad swej ręki w każdym drobiazgu, od winiety po dobór ilustracji. Tu rozwija skrzydła niepospolity fotografik Jan Bułhak. Powstają numery monograficzne o Mińsku: o litewskiej sztuce współczesnej i ludowej, o Piątej Wystawie Litewskich Sztuk Pięknych, z licznymi reprodukcjami, w tym nowatorskiego Czurlanisa. Numer 15/16, podwójny, nosi tytuł „Wilno – Warszawa”. Po latach Bułhak napisze: „Było to pismo niepodobne do żadnego, serdeczne i swojskie, o patriotyzmie bez frazesów, działające samym doborem faktów, układem, związaniem treści i ilustracji”.

Oryginalną cechą publicystyki litewskiej jest jej równoległa wersja polskojęzyczna. Samouk Mieczysław Dowojna-Sylwestrowicz redaguje dwa pisma po polsku, *Litwę* i *Lud*, chwalone przez największego sprzymierzeńca Litwinów, Michała Römera (*nota bene*, autora wydawanego we Lwowie fundamentalnego dzieła „Litwa”). W odróżnieniu od Römera, Dowojna opowiada się za współpracą z caratem. W *Litwie* propaguje krajoznawstwo i etnografię, stroniąc od interpretacji historycznych. „Różnice językowe między Litwinami a Polakami nie powinny rozerwać jednolitego narodu, dzieci tej samej ziemi”. Trudno jednak zachować odrębność sądu w rozjątrzonym środowisku: atakują Dowojnę i Polacy, i Litwini. Obok niego szukał modelu pojednania Józef Albin Herbaczewski (o którym tylko krótko wzmiankuje Andrzej Romanowski; pisał o tej patetycznej postaci Janta-Połczyński, w *Wiadomościach Literackich*, w połowie lat 1930-tych).

Nie można się oprzeć wrażeniu, że nie prasa, nie bajki Hertza i inne płody literackie ruszyły wtedy Wilno z długotrwałej martwoty – tylko teatr. A to znaczy: Nuna Młodziejowska! W Dwudziestoleciu moje pokolenie nie miało żadnego wyobrażenia o podboju Wilna przez Młodziejowską, ale jej imię: Nuna – miłym echem dźwięczało w głowach. Przedtem dorywczo odwiedzają miasto dobre zespoły (nawet z Siemaszkową i Leszczyńskim). Dopiero 2 marca 1906 „*Sowiet po dielem teatru i drugich otraslej isskustwa*” bierze w opiekę widowiska polskie, białoruskie, litewskie i żydowskie. We wrześniu, 24-letnia Maria Antonina Młodziejowska, z mężem Bolesławem Szczurkiewiczem, kompletują trupę zawodową i poczynając od Mińska – na stałe osiadają w Wilnie.

Tęsknota za teatrem jest wyraźna i powszechna, zespoły amatorskie (Orzeszkowej w Druskiennikach, Radziwiłła w Nieświeżu, a także inne w Nowogródku, Lidzie i daleko – w Połocku, Mohylewie, Witebsku, Homlu, Libawie) wzbudzają namiętne zainteresowanie. Ochenkowska napisze: „Nie było zda się zapadłej miejsciny, kąta zakazanego, doszczętnie przygniecionego cerkwią, nastawnikiem, sprawnikiem, żeby się w nim nie objawiły siły aktorskie gotowe do boju o słowo polskie (...) pierwotnie kulawe, okropna często polszczyzna, bo ludzie uczący się roli już prawie nie mówili językiem ojców i dziadów – ztraciwszy mowę, ale nie serce”.

Gorąco powita miasto Młodziejowską w stroju Amelii z „Mazepy”. Od razu zarzuci ona publiczność niezwykłą ilością premier. W ciągu dwóch tygodni – czternaście sztuk, a największym wydarzeniem będą wymowne fragmenty „Dziadów”, po raz pierwszy w całym rosyjskim zaborze. „Chwile prawdziwego strachu przeżyłam podczas śpiewu ‘Nie dbam jaka spadnie kara’ (...) Ledwo się udało zapobiec powstaniu publiczności z miejsc. Wreszcie, po wizji księdza Piotra, spadła kurtyna... co się wtedy stało, tego niepodobna opisać; skądś w teatrze znalazły się wykupione w nocy, po zamknięciu sklepów ogrodniczych, wszystkie kwiaty jakie można było zdobyć...! Nie był to, ten krasomówczo zwany „deszcz” kwiatów – to była ich powódź, sypały się zewsząd, z galerii, z łóż, krzesel... Tonęliśmy w tej kwicianej powodzi wszyscy grający i ja, wzruszona do głębi, wywoływana niezliczoną ilością razy i bezgranicznie szczęśliwa...”. Widowisko szło 25 razy, do sierpnia 1907, potem wielokrotnie wznawiane, ku Wilnu dążyły całe pielgrzymki z Białorusi i Litwy.

Uruchamia trzecią (obok Ratusza i sali Miejskiej) scenę, w powystawowym pawilonie w Ogrodzie Bernardyńskim, przebudowując ją z własnej kieszeni. Obok rzeczy lżejszych, których niezbędność młodziutka dyrektorka dobrze rozumie, gra poważny repertuar: Schiller, Słowacki, Ibsen, Rostand, Strinberg, Przybyszewski. W „Barbarze Radziwiłłównie” wystąpi w roli tytułowej. Udaje się przeforsować „Wesele” – bez mała w całości – prapremiera w zaborze rosyjskim! Entuzjazm, zwłaszcza wśród młodzieży. Wtedy to zadebiutował młody Osterwa. Po śmierci Wyspiańskiego wystawia „Sędziów”, których tekst przywiozła z mężem z Krakowa, w

związku z uroczystościami pogrzebowymi. Co trzecie przedstawienie jest w teatrze Młodziejowskiej premierą. Działalność jej krytycy przyrównują do pobytu Bogusławskiego w Wilnie. Ale Ludwik Abramowicz narzeka na publiczność: „Kiedyż wreszcie staniemy się społeczeństwem kulturalnym? Litwini już nie chcą nas uważać za swych przewodników na drogach cywilizacji. Żydzi nie z polskiego a rosyjskiego korzystają teatru”. Jeżeli widownia nie zawsze dopisuje, to może grała w tym rolę wysoka cena biletów. Młodziejowska ściąga sławy aktorskie z Kongresówki, Józefa Śliwińskiego, Leszczyńskiego, kieruje swą pracą (jak pisze Romanowski) w stronę „teatru ogromnego”. Nie żałuje trudu ani pieniędzy na modernizację sceny, w zakresie i scenografii, i techniki. Ale fundusz wielkiego posagu oszalałej dla teatru Wołynianki topnieje. Wilno zdobywa się wreszcie na utworzenie Towarzystwa Popierania Sceny Polskiej. Ważny moment! Po pięciu latach Towarzystwo liczy 251 członków wnoszących co roku po 20 rubli składki, a zamożni protektorzy dają dziesięciokrotnie wyższe sumy. Magistrat wspiera dotacją 3 tysięcy rubli. Wilnianie zaczynają traktować teatr jako nieodzowny czynnik kultury. Jednak rozczarowana Młodziejowska chce wyjechać, miasto trzyma ją siłą. Znowu wystawia wielki repertuar, a sensacją stanie się teraz współpraca z Ruszczycem zaczęta od „Lilli Wenedy”.

12 czerwca 1909 – uroczysta premiera „Wenedy”, istny zamach na bastion cenzury – i wielka manifestacja ku czci Słowackiego. Inscenizacja Ruszczyca wprawia w zachwyt, dyskretna muzyka Ludomira Rogowskiego uwypukla efekty światła i barw. „Czar tej sztuki – owej nocy w Teatrze Letnim nad Wilejką – żyje po dziś dzień we wspomnieniach starych Wilnian, jako najpiękniejsze wspomnienie teatralne” – napisze w 1937 Maria Aleksandrowiczowa. Ale Młodziejowska daje za wygraną: wspomni po latach, że wyjeżdżała z Wilna „z poczuciem zmarnowanego czynu”. Obiektywnie było to niestuszne; dała przecież wielki przykład, rodzaj etosu teatralnego. W Dwudziestolecie podejmie to Zelwerowicz a potem Osterwa. Na zakończenie, 13 marca 1910, wystawiła kolejny raz „Wesele” – tym razem słowa „miałeś chamie złoty róg” krytyka odniosła do publiczności. Zdawano sobie sprawę ze straty jaką był jej wyjazd. Dobiegała wtedy ledwie 28 lat!

Grzymała widywał Młodziejowską w czasie okupacji, gdy ciężko pracowała na życie.

Teatr w Wilnie nie załamał się po jej odejściu. Dyrektor „Lutni”, Józef Montwiłł, odstępuje swą scenę Ruszczycowi, który teraz olśniewa kolejnymi inscenizacjami Słowackiego i Wilde’a, a potem ośmioma przedstawieniami własnej oryginalnej kompozycji, pod nazwą „Sen o pięknie”. „Historia miłości i sztuki, jakiej mogą Wilnu pozazdrościć wielkie sceny Europy” – pisze nie bez emfazy Benedykt Hertz. Rusza wzniesiony z inicjatywy Korwina-Milewskiego Teatr na Pohulance. Równocześnie otwiera się scena w dawnej budzie cyrkowej na Łukiszkach: zaskakująco udany eksperyment, model teatru popularnego – tani bilet ściąga plebs – a przedstawienia są często na wysokim poziomie, z udziałem takich sił, jak Przybyłko-Potocka, Kamiński, Frenkiel. Inscenizację „Warszawianki” przez Ruszczyca uznano za wybitniejszą od warszawskiej. Drugi wielki w przyszłości aktor daje się poznać: po debiucie Osterwy, miasto poznaje Węgierkę. Idą Ruszcycowcy: „Wstęp do (Nieboskiej Komedii)”, „Epilog ‘Pana Tadeusza’” i znowu „Warszawianka – sława wizji teatralnych Ruszczyca roznosi się daleko, Szyfman zaprasza oryginalnego twórcę do inscenizowania „Balladyny” w swoim warszawskim teatrze. Osobliwością Wilna będą tzw. „Bazary”, feeryczne widowiska poetyckie pełne fantazyjnego wdzięku. Ruszczyca zwie miasto swoim czarodziejem, jako animator sztuki odegra tu podobną rolę, co w Krakowie Wyspiański.

Autor „Młodej Polski Wileńskiej” nie zapomina o kulturach prowincjonalnych, w Kownie, Mińsku, Grodnie, Białymstoku czy Poniewieżu, o których już nic nie wiemy. Któż jeszcze pamięta takie osobistości Mińska, jak Józef Stanisław Wierzbicki, autor głośnej wtedy „Księgi ciszy”, czy Zygmunt Gozdawa Godlewski, albo Bogusław Adamowicz (Romanowski uważa go za najwybitniejszego tamtejszego poetę). We wstępie autor mówi: „Pozwalając sobie na ton osobisty pragnę wyznać, że pisałem tę książkę z myślą o trzech Polakach urodzonych w tym właśnie przedziale czasowym, w byłym Wielkim Księstwie Litewskim, poza granicami przyszłego polskiego państwa międzywojennego. Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz i Stanisław Stomma są jakby ostatnimi depozy-

tariuszami Pierwszej Rzeczypospolitej – i zarazem tymi, którzy wyznaczyli przestrzeń ideową Trzeciej R.P.”. Ostatniemu rozdziałowi daje Andrzej Romanowski tytuł „Prawdziwy koniec Pierwszej Rzeczypospolitej”.

Pointa efektowna, ale czy słuszna? Pisząc o tej książce w *Tygodniku Powszechnym* Stomma użył tytułu: „Przedwiośnie czy babie lato?”. W tej wątpliwości mieści się polemika z pointą autora dzieła. Dwudziestolecie wileńskie wydało wiele osobistości pierwszorzędnych i legitymuje się potencjałem duchowym, który wbrew wojnom i nowym układom przedłużył promieniowanie poprzednich Rzeczypospolitych. Dzięki sile tutejszej tradycji, wskutek magicznego działania symboli, jakie przechowało w sobie Wilno, z tamtejszych gimnazjów żeńskich i męskich wyroliła się w czasie okupacji młodzież uosabiająca nadzwyczajny gatunek energii duchowej. Najpiękniej to zobrazował Bronisław Krzyżanowski, „Bałtruk” w „Mateczniku wileńskim”. Te imponderabilia należą do historii i domagają się aneksu naukowego do „Młodej Polski Wileńskiej”.

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

Andrzej Romanowski „Młoda Polska Wileńska”, Wydawnictwo Universitas w Krakowie, 1999.

Bałamutna książka

Redaktor Giedroyc zadziwia mnie swoją intuicją. Niedawno zaproponował mi omówienie książki Stefana Bratkowskiego pt. „Pan Wielki Nowogród”, i dodał, że jeszcze jej nie widział, lecz się obawia, że jest to książka niezmiernie bałamutna. I rzeczywiście.

Na jednej z tytułowych stron widnieje napis: „Prawdziwa historia Rusi”. Czyli – jeśli dobrze rozumiem – wszystko, co

dotąd pisano na ten temat, jest nieprawdą. Od razu się rodzi pytanie, co autor czytał? Niestety – ni bibliografii, ni przypisów. W posłowie wyjaśnia: „Czytelnikowi niniejszego studium oszczędziłem aparatu przypisów; kilkunastu osobom na świecie, kompetentnym w tematyce tej książki, są one niepotrzebne, bo źródła, na które się powołuję w tekście, i cytowane poglądy uczonych, nie wykraczają poza listę lektur dobrze znanych”. Ba!

Jest za to indeks osobowy, ale budzi zdziwienie, bo w książce, która dotyczy prawdziwej historii Rusi, ani razu nie padają nazwiska największych rosyjskich historyków: Kluczewskiego, Sołowiowa, Płatonowa. Autor piszący o początkach Rusi, czyli pracujący – jak mniemam – z literaturą staroruską, w tym z latopisami, ni razu nie wspomina nazwiska Szachmatowa czy Lichaczowa. To zaledwie parę najjaskrawszych przykładów, lista nieobecności jest znacznie dłuższa.

Gwoli wyjaśnienia... Nie jestem historykiem i wątpię, żeby Stefan Bratkowski zaliczył mnie do owych kilkunastu osób na świecie, kompetentnych w tematyce książki. Dziejami Nowgorodu i Dawnej Rusi interesuję się po amatorsku, czytam co nieco, między innymi teksty staroruskie, i wążęsam się tropami nowgorodzkiej *ukszujnikow*... W tym roku pobywałem i na Kiży, i w Kienoziero, i w Pudożu, i w Kargopolu, czyli w tych miejscowościach, o których Bratkowski twierdzi, że ich nazwy nic nikomu nie mówią.

Chciałbym, żebyś o tym pamiętał, Czytelniku, czytając dalej.

Książka Bratkowskiego jest bałamutna w obu znaczeniach tego słowa – zawraca w głowach i wprowadza w błąd. Ot, przykład: w roku 860 święty Cyryl (ten od cyrylicy) posłował do Chazarów i po drodze, w Chersonesie, natknął się na tajemnicze *rus'sky pismieny*. Pochodzenie owych „ruskich pism” od lat budzi spory uczonych i do dziś pozostaje niejasnym, co autor „Żytija Konstantina-Kiriłła” (skąd pochodzi wiadomość o nich) miał na myśli? A dla Stefana Bratkowskiego problem nie istnieje: „Odgadnąć autentyczne ‘pismo ruskie’ nietrudno: pismem Rusów ze Skandynawii były naturalnie – skandynawskie runy, których ślady rozsiane są gdzieniegdzie po starej Rusi”. Cóż za pewność siebie!

A przy okazji jaka erupcja erudycji – w akapicie poprzedzającym swoją teorię o pochodzeniu „ruskiego pisma”, Bratkowski wylicza uczonych naszych czasów, którzy „walczyli zaciekle, snując domysły niekiedy zgoła fantastyczne”. Jest wśród nich David M. Lang „profesor Oksfordu, znakomity historyk świata kaukaskiego (mamy odeń historię nowoczesnej Gruzji i starożytnej Armenii)” i David Diringer z Cambridge, „wielki znawca epigrafiki, historyk alfabetu i twórca niezwykłego Muzeum Alfabetu”, jest też historyk rosyjskiego pochodzenia, Georg Vernadsky, „patriota pracaratu moskiewskiego z tysiącletnim wyprzedzeniem...”. (*Nota bene*: familia tego ostatniego pojawia się tylko raz w „Panu Wielkim Nowogrodzie”, choć był to niewątpliwie jeden z najwybitniejszych historyków rosyjskich XX wieku, a znajomość choćby pierwszego tomu jego fundamentalnej „Istorii Rossii” – tomu pt. „Drewniaja Rus” – mogłaby uchronić Bratkowskiego od odkrywania łądów dawno już odkrytych.) Ów popis erudycyjny, niczym zasłona dymna, mąci w głowie i odwraca uwagę od faktu zasadniczego – autor „Pana Nowogrodu” nie zna tekstu źródłowego!

Przeczytałby Bratkowski „Żytije Konstantina-Kirilla”, i nie pisałby baliwierni o runach. Po słowiańsku ten ustęp brzmi tak: „*Obrietie że tu Ewangielie i Psaltyr', rus'sky pismieny pisano...*”. Zali święte Ewangielie na runy przekładano? Według Lichaczowa najbardziej prawdopodobna z wersji tłumaczących to zdanie mówi, że chodzi o pismo *surskije* (tj. syryjskie), inne wspominają o przekładzie Biblii na język gocki, jeszcze inni bąkają o jakimś piśmie starożytnych Rusów... O runach skandynawskich Akademik Lichaczów w ogóle nie wspomina.

Nie jestem zwolennikiem czepiania się gościa i wyszukiwania dziury w całym – co praktykuje większość krytyków, zazwyczaj nie mając zielonego pojęcia, w czym rzecz – na własnej skórze nieraz poczułem zęby papierowych pitbulów. Jeśli więc podaję przykład bałamutni „Pana Wielkiego Nowogrodu”, to po to, aby pokazać samą metodę bałamuctwa, która polega na mówieniu bzdur z pewnością siebie i epatowaniu erudycją – często z drugiej ręki. Przykłady można by mnożyć, książka bowiem roi się od błędów, lapsusów i ekstrawagancji, tam zwłaszcza, gdzie autor bryluje

lingwistyką i Ładogę kojarzy z „ładowaniem”, a *wolok* od wołu wywodzi – że niby woły taszczyły łodzie... Starczy samemu przez parę *wolokow* się przewłóczyć, po grząskich błotach i zdradliwych trzęsawiskach, aby pojąć, że woły tam *ni k czemu*, a *wolok* od słowa *wolocit'* pochodzi, jak o tym stary Dal zaświadcza, a współczesny „Etymologiczny słownik ruskiego języka” potwierdza. Równie zabawnie brzmią różne banialuki na temat północnego bytu – jakoby ludzie z głodu jedli korę lip i liście wiązów, które tu nie rosną (jedli korę sosny, o czym pisałem niedawno w *Kulturze*), a ruska bania jest odpowiednikiem fińskiej sauny... Lecz dosyć, przejdźmy do zasadniczego wątku.

Chodzi o Nowogród Wielki – warto o tym pamiętać, czytając książkę, bo sam autor raz po raz ubiega na stronę, jakby chciał przy okazji opowiedzieć wszystko, o czym przeczytał u innych i czasem doprawdy nie wiadomo o co idzie: o dzieje Rusów, Nowgorodców czy Wikिंगów... (wiem, że dzieje tu wikłają się i plotą jak tropy w błocie, tym bardziej więc by należało zadbać o dukt pisma) – otóż wątek Nowogrodu chciałbym rozpatrzeć w trzech aspektach.

Po pierwsze – wedle Bratkowskiego – wokół Nowogrodu Wielkiego od stuleci panuje zmowa milczenia. Co najmniej od Iwana Groźnego, który zasądził miasto „...na wymazanie z historii i pamięci Rosji. Egzekucji wyroku pilnowali następcy. Razem z nimi – historycy. Cyniczne lizusy dworskie na równi z patriotami.” – Cóż za ferwor, takim jadem publicystykę się uprawia, a nie studium historyczne pisze. Autor potępia w czambuł wszystkich dziejopisów (nawet Nestorowi się dostaje!) za rzekome przemilczanie samego faktu istnienia Nowogrodu Wielkiego do dziś, bo przecież na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku „... Chruszczow nie mówił nic w swoim tajnym referacie o zbrodniach Iwana Groźnego”, więc tylko – zacytuję raz jeszcze – „Być może jutro wychyną z przepastnych piwnic po byłej bezpiece czy zablokowanych archiwów jakieś latopisy skonfiskowane po klasztorach...”.

Ot, tak – tajny referat, piwnice bezpieki, zablokowane archiwa, skonfiskowane latopisy – toż to rekwizyty boju za lustrację! Ależ się w tych polskich głowach porobiło... A przecież wystarczyło choćby Kluczewskiego poczytać, Sołowiowa lub Wernadskiego, wszyscy oni poświęcili Nowogoro-

dowi Wielkiemu w różnych latach całe rozdziały swoich wielotomowych historii Rosji. A obszerny trud Iwana Bieliajewa pt. „Istorija Nowogroda Wielikiego ot drewniejszych wriemion do jego padienija”, wydany w Moskwie w 1864 roku... Albo solidne dzieło Nikitskiego pt. „Istorija ekonomieskiego byta Wielikiego Nowogroda”, też wydane w Moskwie w 1893 roku... Nie zamierzam Cię, Czytelniku, nużyć bibliografią przedmiotu, więc odnotuję jeszcze tylko pomnikową edycję „Połnego sobranija ruskich letopisiej”, która bynajmniej nie została przerwana w czasach sowieckich, jakby to można wnioskować ze słów Bratkowskiego o piwnicach byłej bezpieki i zablokowanych archiwach, lecz na odwrót, dzięki pracom takich uczonych jak Szachmatow czy Nasonow zyskała znacznie większy rozmach, ba, to właśnie wtedy opublikowano latopisy nowogrodzkie pod redakcją Nasonowa. Niestety, rzeczonych nazwisk w ogóle nie ma w książce Bratkowskiego, albo – jak w przypadku Bieliajewa czy Wernadskiego – pojawiają się w niej incydentalnie, półgębkiem.

Po drugie – dzięki Bratkowskiemu – mity o wiecowej demokracji Nowogrodu Wielikiego odżywają z nową werwą... (to właśnie ideały demokratyczne Dawnej Rusi, uosobione w Republice Nowogrodzkiej, rzekomo przemilczali ci historycy-patrioci Samodzierżawia Moskiewskiego tudzież ich marksistowscy pogrobowcy, bałwochwalczy Sowieckiego Imperium, i zabawne, że sam Bratkowski najczęściej się zsyła na sowieckich metrów historii – Rybakowa i Grekowa)... a samo pojęcie *wiecz*a nabiera nowego znaczenia, bo Bratkowski je wiąże z tymi, co wiedzą, zaś „Etymologiczny słownik rosyjskiego języka” – z tymi, co gadają. Starczy posłuchać obrad polskiego Sejmu czy rosyjskiej Dumy (zwanej w narodzie *goworilnią*), aby się przekonać, że więcej tam gadają niżli wiedzą. Możemy więc sobie wyobrazić, jak wyglądało to *wiecz*e półdzikiej Rusi na głuchej Północy.

Zresztą, po co trudzić wyobraźnię, wszak są latopisy – obrazy nowogrodzkich wieców utrwalone w nich, jak na starych fotografiach, niewiele mają wspólnego z kliszami „Pana Wielkiego Nowogrodu”. I tak: przyłaził na wiec każdy, kto się nie lenił, często podpity, i wrzawy było tam co nie miara (Kluczewski się śmieje, że „decyzje na wiecu zapadały

na oko, ściślej mówiąc na ucho, dzięki sile krzyków raczej, niż liczbie głosów”), nierzadko do kułaków dochodziło, bywało też, że dwa wiece na dwóch końcach miasta jednocześnie się odbywały, po czym jedni na drugich cizbą ruszali – z kamieniami, z pałkami...

„I znowu naród się rozjuszył – czytamy w „Nowogrodskoj I letopisi mładszego izwoda” – i wszyscy, jak pijani, poszli na drugiego bojarzyna, na Iwana Jewlicza z Czudincewoj ulicy, i wraz z jego domem wiele innych domów bojarskich grabili, i monaster świętego Nikoły na Pole rozgrabili, krzycząc: tu są spichrze bojarskie! I jeszcze w ten sam dzień na Liudogoszcziej ulicy pograbili mnóstwo domostw, pokrzykując: oni nam są wrogami! I wrogość ogromna zaczęła się szerzyć, zatem przybiegli na swoją Targową stronę i zakrzyknęli: Sofijska strona idzie przeciw nam, by nasze domy pograabić! I jęli dzwonić na całe miasto, i ludzie zbiegali się z obu stron, jak na bitwę, w pełnym rynsztunku, i na Wielki most ruszyli, i wielu z nich zginęło: jedni od strzał, inni od miecza, i martwi byli jak na wojnie. I padł strach na całe miasto”.

Wydarzenia te miały miejsce w 1418 roku, więc nie w zaraniu Nowogrodzkiej Republiki, kiedy je można by było tłumaczyć brakiem demokratycznych tradycji, lecz pod sam koniec jej istnienia.

Historyk Sołowiew na podstawie latopisów naliczył w Nowogrodzie Wielkim dwanaście Smut od śmierci Jarosława I do najazdu Tatarów i dwadzieścia Smut od najazdu Tatarów do Iwana III. Wasilij Kluczewski nazwał ustrój Nowogrodu Wielkiego „podrabianą demokracją” – w niej kluczową rolę grały kliki bojarskie, manipulując czernią wedle swoich interesów. Słowem, nowogrodzka ochlokracja w istocie przykrywała rządy oligarchii. Podobnego zdania byli i inni historycy – Płatonow, Wernadski, Heller – uczeni z różnych szkół historycznych, więc trudno uwierzyć, że wszyscy hołdowali marksistowskim stereotypom.

Nie miejsce tu dla szczegółowej analizy nowogrodzkiego ustroju, dodam więc tylko, że nie wszyscy tak negatywnie go oceniali, na przykład Georgij Fiedotow, w świetnym szkicu „Respublika Swiatof Sofii”, opublikowanym w Nowym Jorku w 1950 roku, wyrażał myśli, pod którymi i Bratkowski

mógłby się podpisać, gdyby je znał. I szkoda, że ów testament duchowy wybitnego rosyjskiego myśliciela nie został zauważony w książce polskiego autora.

Ba, gdyby tylko to.

Po trzecie – jak chce Bratkowski – Ruś zjednoczyli Tatarzy rękami Moskwy, a mogliby Nowgorodcy lub... Polacy. Polaków zostawmy na stronie, wszak nawet swoich ziem długośmy nie utrzymali, a Rzeczpospolita pod koniec XVIII stulecia jako żywo przypominała Republikę Nowogrodzką z pierwszej połowy XV wieku, natomiast co do Nowgorodców, to warto się przyjrzeć, jak Bratkowski ich widzi, i jak tam było w rzeczy samej.

Otóż Bratkowski pisze: „Nowogród przez całe stulecia panował nad obszarem znacznie większym, niż jakiegokolwiek królestwo czy księstwo europejskie, sięgał swymi faktoriarniami aż po Syberię, wciągał w obręb swego państwa i zruszczał ugrofińską północ dzisiejszej Rosji europejskiej, nie krwią i żelazem, lecz swoją wyższą kulturą i swoimi wolnościami”.

A w latopisach czytamy, że gdy w 1169 roku Ziemia Dwińska nie chciała dani płacić Nowgorodcom, wolała bowiem Andrieja Suzdalskiego, to spór zakończył się rzezią... Potem jeszcze kilka razy Ziemia Dwińska próbowała się wywinąć z objęć Pana Wielkiego Nowogrodu, aż w 1397 roku „zadała się” z moskiewskim Wasylem i nawet krzyż mu całowała. Nowgorodcy i tym razem zwyciężyli, część Dwinian wyrznęli, na resztę haracz nałożyli, a gród Orlec dla przykładu zrównali z ziemią. Nic dziwnego, że kiedy syn Wasyla, Iwan III, pociągnął na Nowogród, to Ziemia Dwińska poszła za nim. Ktoś powie, że Ziemia Dwińska to wyjątek. A każdemu Rżewa i Wielkich Łuków w 1437 roku za odmowę dani...? Że nie wspomnę o losie aborygenów Północy.

Na koniec chciałbym przypomnieć słowa nieodżałowanego Michała Hellera (Adama Kruczka), który pisał, że badanie dziejów Dawnej Rusi, aczkolwiek nie przynosi ostatecznych odpowiedzi na pytania odległej przeszłości, bo i nie może ich przynieść, za to rozszerza naszą wiedzę, jeśli tylko nie będziemy nastawać na oczywistości teje.

Mariusz WILK

NRD – sąsiad nieznany

Od momentu otwarcia archiwów byłej NRD, czyli od ładnych paru lat, zastanawiam się, dlaczego dostępne tam dokumenty wywołują tak niewielkie zainteresowanie polskich historyków. Źródła archiwalne w postaci materiałów SED, Stasi i Ministerstwa Obrony Narodowej NRD dostarczają wszak nie tylko informacji o stosunkach pomiędzy Berlinem Wschodnim i Warszawą, lecz również o polityce całego bloku sowieckiego, a także – co z polskiej perspektywy jest szczególnie ważne – o sytuacji wewnętrznej w PRL a zwłaszcza w jej kierowniczych gremiach. W archiwach NRD znajdujemy tłumaczenia a czasem kopie bądź odpisy dokumentów PZPR i MSW, trudno dostępnych w Polsce. W dodatku archiwalia te obejmują okres do 1990 r., czyli dotyczą czasów bardzo niedawnych; ich badacz z reguły nie ma dostępu do urzędowej dokumentacji. Z uwagi na historyczną wagę wydarzeń w latach 80-tych, zarówno na początku jak i pod koniec dekad, trudno nie docenić znaczenia dokumentów z archiwów NRD. Dotychczas brak jednak edycji tych źródeł w polskim przekładzie a ilość publikacji opartych na dokumentach NRD jest znikoma.

Z tym większym zainteresowaniem sięgnąłem do książki Zenobiusza Kozika o reakcjach w NRD na kryzysy polityczne w Polsce¹, bowiem autor wykorzystał głównie materiały źródłowe SED i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa (*Ministerium für Staatssicherheit* – w oficjalnym skrócie MfS, w nieoficjalnym – Stasi). Dokumenty partii wschodniemieckiej znajdują się obecnie w gestii niemieckiego Archiwum Federalnego (*Bundesarchiv*), w zbiorze *Stiftung Archiv der Parteien und Massenorganisationen der DDR* (Fundacja Archiwum Partii i Organizacji Masowych NRD). Natomiast materiały archiwalne bezpieki NRD przechowywane są w

1. „Niemcy w NRD a polskie kryzysy 1956 i 1980-81”. Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego, Piotrków Trybunalski 1998; ss. 203.

Urządzie Pełnomocnika Federalnego d/s Akt Służby Bezpieczeństwa byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej (zwanego „Urzędem Gaucka”, od nazwiska jej pierwszego szefa, który będzie pełnił tę funkcję do jesieni tego roku). Moje zainteresowanie książką Kozika było tym większe, że autor wybrał dla swej pracy problem w Polsce praktycznie nieznaną. Przecież nawet na temat społeczeństwa NRD wiemy niewiele: w czasach PRL badania w tej dziedzinie poddane były kontroli ideologicznej, zaś obecnie – jak się zdaje – temat nie pociąga badaczy. Dodać wypada, że także polityczna historia NRD, a zwłaszcza opór wobec komunizmu, znana jest w Polsce jedynie w kręgach specjalistów. Przeciwny inteligent z pojęciami „ruch pokojowy” czy „obrońcy praw obywatelskich” w odniesieniu do NRD nie kojarzy na dobrą sprawę nic. W latach 70-tych – w okresie rozwoju opozycji demokratycznej w Polsce – jej kontakty z niezależnymi grupami społecznymi w NRD były znacznie mniej intensywne niż współpraca z „Kartą 77”, czy z sowieckimi dysydentami.

Mogłoby się zatem wydawać, że reakcje w NRD na polskie kryzysy w roku 1956 czy w okresie „Solidarności” 1980-81 – to pole do popisu dla badacza, który sięga do bogatej bazy źródłowej a ponadto ma do dyspozycji obszerną literaturę w języku niemieckim, dotyczącą politycznej i społecznej historii NRD. Jednak książka Kozika w niewielkim tylko stopniu wypełni lukę, jaką w polskim piśmiennictwie stanowi brak opracowań na temat społeczeństwa NRD i jego zachowań w obliczu obu kryzysów. Odnoszę wrażenie, że z uwagi na temat pracy sama koncepcja merytoryczna i zasada wyboru źródeł były chybione. Autor postanowił pominąć sprawę polityki SED i sztucznie odizolować problem reakcji społeczeństwa. Jednak te reakcje, już z uwagi na warunki ustrojowe, nie były przecież autonomiczne, lecz w znacznym stopniu wynikały z polityki władz państwowych. Z tym łączy się kwestia polityki informacyjnej i linii propagandowej partii; Kozik uznał wartość poznawczą prasy NRD za „niezwykle niską”. Odwołuje się jednak do niej stosunkowo często omawiając rok 1956 i, znacznie rzadziej, w wypadku kryzysu z początku lat 80-tych. Tymczasem właśnie okres „Solidarności” był przedmiotem problemowego opracowania na temat

obrazu polskiego kryzysu w prasie NRD². W części poświęconej problematyce 1956 r. najciekawszy wydaje mi się rozdział dotyczący ożywienia sprawy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Z partyjnych sprawozdań wynika, że w związku z kryzysem w Polsce, w społeczeństwie NRD odżyły nadzieje na zmianę tej granicy. Z pewnością było to wynikiem faktu, że w NRD mieszkały ponad 2 miliony wysiedleńców z dawnych niemieckich ziem wschodnich. Trzeba jednak dodać, że w 1956 r., od zawarcia Układu Zgorzeleckiego minęło zaledwie kilka lat a uprzednio wszystkie partie niemieckie, komunistów nie wyłączając, traktowały linię Odry-Nysy jako granicę tymczasową. Z tym zagadnieniem łączy się inna kwestia, sama w sobie ciekawa jako problem badawczy – a mianowicie społeczne funkcjonowanie plotki i nieprawdziwych informacji na temat wydarzeń politycznych. Obywatele w warunkach ustroju totalitarnego nie znają ich kulis i tworzą własne, z reguły fantastyczne interpretacje. Są one przy tym często sprzeczne. Nie inaczej było w NRD w 1956 roku: z jednej strony nadzieje na powrót na tereny na wschód od Odry i Nysy łączono z przekonaniem, że Polacy są niezadowoleni z faktu, iż mieszkają nie na swoich ziemiach. Gomułka miał nawet zapowiedzieć ich zwrot. Równocześnie pojawiły się plotki, jakoby delegacja sowiecka prowadziła rozmowy (Kozik nie podaje z kim) na temat powrotu Śląska do Niemiec.

Równie ciekawe są inne opinie, które dotyczyły sytuacji w Polsce. W czerwcu 1956 roku kursowały w NRD (zwłaszcza w rejonach nad Odrą i Nysą Łużycką) wiadomości o powstaniu w Polsce, o czołgach na ulicach Warszawy, o walkach w Szczecinie. Spodziewano się nawet wojny polsko-sowieckiej. Przyczyn niepokojów w Polsce, zwłaszcza wystąpień robotniczych w Poznaniu, dopatrywano się – nie bez racji – w trudnościach gospodarczych. Tutaj należałoby jednak dodać, czego Kozik nie robi, że SED subtelnie podsyciała w społeczeństwie przekonanie, jakoby zła sytuacja gospodarcza w Polsce była wynikiem niechęci polskich robotników do pracy czy wręcz cech narodowych Polaków (*polnische Wirtschaft*).

2. J. Kuppe i T. Ammer: „Die Haltung der SED zur Lage in Polen 1980-81 im Spiegel der DDR-Presse”. Bonn 1982.

Podobne elementy pojawiły się w propagandzie NRD w latach 1980-81.

Przytaczane przez Kozika w oparciu o dokumenty SED wypowiedzi przedstawicieli różnych grup społecznych NRD na temat wydarzeń w Polsce w 1956 roku, są bez wątpienia ciekawe, jednak mogą być jedynie zachętą do dalszych badań, bowiem z omawianej książki nie wynika, w jakim stopniu były one wyjątkowe, a w jakim charakterystyczne. Głębszej analizy wymagałby również problem źródeł spekulacji i plotek, które pojawiły się w 1956 r. Z jednej strony były one na pewno wynikiem braku pełnej informacji w mediach NRD i powszechnego dostępu do audycji radiowych z Zachodu. Ale i te nie były wolne od elementu propagandy: popularyzowano titoizm a Gomułkę przedstawiano jako polityka, który chce pójść „drogą jugosłowiańską”. W połowie lat 50-tych właśnie ewolucja w kierunku „komunizmu narodowego” była stanem pożądanym z punktu widzenia polityki Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Ciekawe są utajnione do niedawna dokumenty amerykańskie z 1956 roku: w dyrektywach politycznych dla „Radia Wolna Europa” zalecano daleko posuniętą wstrzeźliwość w przedstawianiu Powstania Węgierskiego i pełne poparcie dla Gomułki z jego „polską drogą do socjalizmu”³.

Odnutować trzeba również omówioną przez Kozika w rozdziale poświęconym kryzysowi 1956 r. sprawę Haricha i Janki. Bez wątpienia wydarzenia w Polsce i na Węgrzech miały bezpośredni wpływ na postawy partyjnych intelektualistów w NRD. Walter Harich, przekonany marksista-leninista, wykładał filozofię na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie Wschodnim, związany był ponadto z pismem *Sonntag* i z wydawnictwem „Aufbau”. W 1956 r. opracował memoriał („platformę”) w sprawie „niemieckiej drogi do socjalizmu”: postulował w opracowaniu powrót do leninowskich norm partyjnych. Aresztowano go w grudniu tego samego roku i skazano na dziesięć lat więzienia. Represje, które dotknęły Haricha i innych funkcjonariuszy SED pracujących w dziedzinie kultury, miały na celu stłumienie w zarodku krytycznej dyskusji na temat polityki partii. Z Haricha uczyniono –

3. Dokumenty te omówił P. Machcewicz w *Polityce* 4.11.1995.

a przyczyniła się do tego również zachodnia propaganda – czołowego opozycjonistę i męczennika systemu politycznego NRD. Taki też obraz przedstawia Kozik. W rzeczywistości Harich nigdy nie kwestionował zasad ustrojowych a poprzez swoje zachowanie już po aresztowaniu dał się wykorzystać w propagandowym scenariuszu, ułożonym przez partię. W samokrytyce dziękował Stasi za to, że został aresztowany.

Podobnie Walter Janka (nie Janke, jak pisze Kozik) zawdzięcza swój mit opozycjonisty scenariuszowi SED i MfS, opracowanemu w celu zastraszenia środowisk intelektualnych. Janka był przełożonym Haricha w „Aufbau-Verlag”, co posłużyło później za pretekst do zaliczenia go do „grupy Haricha”, która w rzeczywistości nigdy nie istniała. Janka nie znał nawet tekstu „Platformy” Haricha, obiecał jedynie wstępnie, że opublikuje to opracowanie. Kozik przedstawia Jankę jako „drugiego (po Harichu) pod względem znaczenia partyjnego opozycjonistę i reformatora”. A to jest właśnie wersja, którą skonstruowały SED i Stasi, którą podchwyciły sympatyzujące z marksizmem środowiska w Niemczech Zachodnich. Na poparcie swej opinii Kozik przytacza zeznania składane w śledztwie przez Haricha i Jankę. Obaj kajali się, przyznawali do niepopelnionych win i – co jeszcze ciekawsze – wzajemnie denuncjowali. Ten smutny spektakl miał swe kolejne wydanie już po upadku NRD: Harich twierdził w 1993 r., że Janka był współpracownikiem MfS, zaś ten ostatni już w 1990 r. pisał, że Harich był człowiekiem KGB.

Niezorientowany czytelnik może uwierzyć, że na skutek wydarzeń w Polsce i na Węgrzech także w NRD powstała w szeregach partyjnych intelektualistów opozycyjna formacja. Kozik wymienia w tym kontekście także Ernesta Blocha, którego stawia w rzędzie takich filozofów jak Heidegger i Jaspers. Bloch, przed wojną apologeta Stalina, jeszcze w 1956 r. cieszył się poparciem naczelnego ideologa SED – Hagera. W tym samym roku otrzymał nagrodę państwową NRD i zdystansował się oficjalnie, choć z pewnym ociąganiem, od Haricha. W istocie marksizm Blocha na pewno przewyższał poziomem intelektualnym filozofię wykładaną na uniwersytetach NRD. „Prinzip der Hoffnung” („Zasada nadziei”), napisana już w 1954 r., była niedogmatyczną próbą oparcia marksizmu na podstawach antropologicznych. Do Blocha

nawiązywała niemiecka teologia, widząc w jego myśli możliwość nawiązania dialogu z marksizmem. Wszystko to jednak jest dość odległe od reakcji społeczeństwa NRD na kryzys w Polsce w 1956 r.

Część swej książki poświęconą czasom „Solidarności” Kozik układa w porządku chronologicznym. Zapewne dlatego, że lista źródeł do okresu 1980-81 i opracowań na ten temat jest naprawdę długa, łatwiej dostrzec wszystkie mankamenty tego rozdziału książki. Autor wykorzystuje głównie opracowania MfS a konkretnie ZAIG (*Zentrale Auswertungs- und Informatzionsgruppe* – Centralna Grupa Ocen i Informacji), nie podając tych materiałów krytycznej analizie i nie porównując ich z innymi źródłami. Wspomniałem już o ważnej pracy na temat prasy NRD z tego okresu. Obszerny wybór dokumentów SED z lat 1980-81 wydano już w 1995 r.⁴ Kozik twierdzi, że do materiałów organów terenowych Stasi nie można dotrzeć, co ma tłumaczyć ograniczony wybór źródeł archiwalnych. Tymczasem w rejonowych przedstawicielstwach „Urzędu Gaucka”, zwłaszcza w dawnych okręgach NRD graniczących z Polską, akta terenowych zarządów Stasi są dostępne dla zainteresowanych. Wschodnioniemiecka bezpieka współpracowała z bratnimi organami PRL: archiwa Stasi w Dreźnie, Berlinie czy Rostocku zawierają wiele dokumentów, którymi powinni zainteresować się polscy badacze⁵.

Odnoszę wrażenie, że druga część książki Kozika to coś w rodzaju mozaiki ułożonej z fragmentów przeczytanych przez niego opracowań ZAIG, przy czym fragmenty nie układają się w spójny obraz. Autor przytacza ustępy z dokumentów, najczęściej w tłumaczeniu (do którego trzeba zgłosić wiele zastrzeżeń) a czasem tylko pojedyncze wypowiedzi, odnotowane przez Stasi. Dowiadujemy się, że kolektyw pracowniczy fabryki papy uchwalił rezolucję, krytykującą działania KC PZPR. W następnym zdaniu autor informuje, że w kombinacie budownictwa wyrażano sympatię dla straj-

4. M. Kubina i M. Wilke (opr.): „Hart und kompromisslos durchgreifen. Die SED contra Polen 1980/81”. Berlin 1995. Przedstawiłem tę pracę w artykule „Stan wyższej konieczności” (*Zeszyty Historyczne* nr 116).

5. Jeden z takich dokumentów opublikowałem w polskim tłumaczeniu w 112. nr. *Zeszytów Historycznych*.

kujących w Polsce. Trudno zatem zorientować się, jakie reakcje przeważały wśród robotników NRD. Może ci produkujący papę byli krytyczni, zaś „budowlańcy” sympatyzowali? A może – co wydaje się bardziej prawdopodobne – dezaprobata była zachowaniem oficjalnym, zaś sympatie – reakcją wyrażaną jedynie w zaufanym gronie? Właśnie dychotomia postaw – z jednej strony zachowania oczekiwane przez władze, a z drugiej – poglądy wypowiedane w wąskim kręgu przyjaciół czy rodziny – to zjawisko typowe dla systemu totalitarnego.

Brak w książce Kozika elementarnego choćby omówienia reakcji SED na wydarzenia w Polsce a bez tego trudno ocenić postawy społeczeństwa NRD. Wypadałoby nadmienić, że jeszcze w sierpniu 1980 r. w prasie NRD (a także ZSSR) pojawiały się głosy uznające niezadowolenie polskich robotników za zrozumiałe, co łączyło się z krytyczną postawą SED wobec polityki gospodarczej Gierka. Dopiero w listopadzie wchodzi do użycia termin „kontrewolucja” (Kozik w cytatach z dokumentów NRD ujmuje to słowo w cudzysłów, co jest chyba wynikiem jego własnej inwencji, bowiem wschodnioniemieccy towarzysze traktowali zagrożenie kontrewolucyjne w Polsce jak najbardziej poważnie). SED zaczyna coraz bardziej nerwowo reagować na kryzys socjalizmu w PRL, obawiając się przerzutów na własny teren. Student teologii Eckart Huebener, zatrzymany przez Stasi w drodze powrotnej z Polski, został skazany na 15 miesięcy więzienia za samo posiadanie materiałów „Solidarności”. Władze NRD obawiały się przede wszystkim, że rodzime ugrupowania niezależne mogą podjąć idee docierające zza Odry. Tymczasem Kozik kwestię opozycji w NRD redukuje do twierdzenia, że „nie miała ona wpływu w społeczeństwie”. To teza dosyć ryzykowna, przy czym nie wiadomo, na czym ją autor opiera.

Na temat postawy Kościoła protestanckiego w NRD wobec wydarzeń w Polsce w latach 1980-81 znajdujemy w książce zaledwie kilka linijek. Literatura na temat Kościołów pod panowaniem SED liczy wiele tomów a szczególnie dokładnie opisano reakcje na kryzys w Polsce i niezbyt chlubną rolę, jaką odegrał wówczas przewodniczący konsystorza Manfred Stolpe, obecny premier Brandenburgii: jako tajny

współpracownik służby bezpieczeństwa ustalał z jej oficerami działania, które miały zapobiec niepożądanym reakcjom w NRD. Ostatnio prasa ujawniła poszlaki wskazujące na powiązania Stolpego z sowieckimi „organami”, Rosjanie odmówili jednak udostępnienia odpowiednich dokumentów.

I już na koniec: co najmniej połowa niemieckich terminów, które Kozik przytacza w oryginale, pisana jest błędnie. To samo odnosi się do niemieckich nazwisk. Niepoprawne są polskie tłumaczenia; trudno je tutaj skorygować. Także czytelnik książki nie będzie w stanie tego zrobić. W błąd wprowadzi go określenie funkcji Joachima Gaucka jako „Pełnomocnik Rządu do Spraw Służby Bezpieczeństwa Państwa, b. Niemieckiej Republiki Demokratycznej”. Gauck jest „pełnomocnikiem federalnym” (*Bundesbeauftragter*), niezależnym od rządu, wybieranym przez parlament, a to chyba zasadnicza różnica. „Za objaw ‘konsekwentnej walki przeciwko siłom kontrrewolucji i stabilizacji sytuacji w Polsce’ uznawano uchwalony na Kongresie ‘Solidarności’ ‘apel do ludzi pracy’” – pisze autor, powołując się na dokument SED z Erfurtu. Takich opinii w dokumentach SED na pewno nie ma.

Przy lekturze omawianej pracy można odnieść wrażenie, że zasady polskiej składni, gramatyki i ortografii, o interpunkcji nie wspominając, przestały obowiązywać. A książkę wydał Instytut... Filologii Polskiej. Zapewne podkreśleniu naukowego charakteru publikacji ma służyć częste posługiwanie się słowami i wyrażeniami obcojęzycznymi. Efekt jest odwrotny od zamierzonego, jeśli czytamy „lientia poeticae”, „przypisywanie (...) wynikało z imperatywu Ulbrichta” „menerzy (?) ‘Solidarności’”. A przecież można pisać normalnie. Już towarzysz Lenin był przeciwny nadużywaniu obcych słów.

11.8.1999

Tomasz MIANOWICZ

Misjonarz słów

Jednym z mało znanych poetów emigracyjnych, którego ciekawa twórczość wymaga, żeby poświęcić jej należną uwagę, jest Bogumił Witalis Andrzejewski. Przed czterema laty ukazało się w *Kulturze* piękne wspomnienie o „lemuryjskim poecie”, pióra Jergo Pietrkiewicza, pt. „Bogumił Andrzejewski (1922-1994)”.

Bogumił Andrzejewski wydał tylko jeden arkusz poetycki – „Na wszelki wypadek” (1957) oraz zbiór „Podróż do krajów legendarnych” (1985). Wiele jego tekstów rozproszonych jest w czasopismach emigracyjnych. Przez wiele lat publikował w paryskiej *Kulturze* i współpracował z londyńskimi *Wiadomościami*. W 1970 r. otrzymał nagrodę *Wiadomości* za najwybitniejsze utwory ogłoszone w tym piśmie w poprzednim roku.

Wojciech Ligęza w książce „Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych” zwraca uwagę, że „Cykle i tomy wierszy, w których pojawiają się liryczne dzienniki podróży, a także refleksje poświęcone sztuce podróżowania, zajmują w poezji emigracyjnej miejsce raczej marginalne”. Autor nazwał lirykę Andrzejewskiego „podjęciem wyzwania podróży”. I rzeczywiście – jako znawca języków wschodniej części Afryki i poezji somalijskiej oraz sufickiej, profesor Andrzejewski został podróżnikiem z zawodu i pasji. „Lemuryjskim wędrowcem, misjonarzem słów, starszym wszystkich szczepów” – nazywano go w Somalii, gdzie wielokrotnie był, prowadząc badania nad przekazywaną ustnie literaturą i językami Afryki. Jego miejsce w liryce powstającej na uchodźstwie jest całkowicie osobne, jego opowieści poetyckie – jak pisze Ligęza – „tworzą, tak rzadką na obczyźnie, osobistą i osobliwą [...] wersję optymistyczną” losów wygnańców i emigrantów.

Andrzejewski debiutował w 1941 r. w piśmie *Przy kierownicy w Tobruku*, (w numerze 4/5). Były to wiersze: „Koledze”, „Upór”, „Zegar” oraz migawki z życia kompanii „Cekaemy, krótkie serie”. Tematyka wojenna zdominowała jego

wyobraźnię w latach, gdy ogłaszał swoje pierwsze utwory. Podejmuje w nich problematykę moralną, związaną z koniecznością walki na froncie i zabijania: podejmuje próbę refleksji nad dziejami ludzkości i historią. W wielu tekstach przyszłego studenta Oxfordu pojawia się katastroficzna wizja świata pogrążonego w śmierci, ogniu, krwi, niesprawiedliwości, w którym triumfuje Zło. Świat jest okrutny i historia zmusza ludzi do czynów niegodnych. We wczesnych utworach autora „Podróży...” odnajdujemy apokaliptyczne opisy świata – ziemia w każdym elemencie przyrody skazana jest na zniszczenie, a wojna toczy się wszędzie. Obrazy poetyckie ukazują wizję globalnej zagłady.

Po wojnie Bogumił Andrzejewski zamieszkał w Wielkiej Brytanii, studiował anglistykę i język staronorweski w Oriol College w Oxfrodzie, uzyskując magisterium w 1947 r. W latach 1948-1949 studiował językoznawstwo ogólne i klasyczny język arabski w School of Oriental and African Studies University of London. Tutaj też zaczął interesować się językiem somalijskim. Przyjaciel poety, Jerzy Pietrkiewicz, wspomina, że „lemuryjski misjonarz słów” miał niezwykłą zdolność przyswajania sobie języków obcych, pasjonowało go dogłębne i wnikliwe poznawanie ich.

Pasja językoznawcza autora „Podróży do krajów legendarnych” sprawiła, iż – jak sam pisze w wierszu „Mój album z lat 1939-1969” – podjął się on „prawdziwie bolesnego trudu” i po wielokroć „przeptywał na drugą stronę semantycznego Styksu”, by poznawać „drugi brzeg” różnych języków. A zatem lata między rokiem 1950, gdy po raz pierwszy przeprowadzał badania naukowe w Somalii, a rokiem 1994, gdy ogłosił w *Kulturze* swój ostatni tekst „Hyś i Pajak”, to także czas, gdy poznawał różne języki.

Moment pierwszego „przekraczania semantycznego Styksu” zaczął się pod koniec wojny, gdy Bogumił Andrzejewski doskonalił znajomość języka angielskiego:

[...] *Idę zamyślony*
Przez wojenną ciżbę, jeszcze właściwie żołnierz
A już oxfordzki student, choć tylko w dalekim
Korespondencyjnym kolegium: I chociaż mi mowa
angielska

Jeszcze chrzęstem słowiańskim szeleści,
w Już mnie urzekli zupełnie wyspiarscy wieszczę.
 („Mój album z lat 1939-1969”)

W 1950 r. po kilku latach milczenia, Andrzejewski ogłosił w paryskiej *Kulturze* utwór „Podróż do krajów legendarnych”, zaś w trzy lata później, również w tym piśmie, cykl siedmiu wierszy pod tytułem „Siedem urywków ze Słownika Biograficznego”. Przedstawił sylwetki kilku osób: kompozytora, poety laureata, założycielki ogródków dla dzieci, podróżnika, uczonego, biskupa oraz finansisty. Wiersze te wpisują się w krąg problematyki życiowych dokonań człowieka, jego rzeczywistych realizacji, biografii, tego, co w swoim życiu zrobił, czy i jak odnalazł swoje „miejsce na ziemi”. Powracający motyw różnych „dróg życiowych” ukazuje zainteresowanie Bogumiła Andrzejewskiego losem ludzi. Niewątpliwy jest jego pogląd, że wszyscy równi są wobec Boga i śmierci, czasu który mija. Tematyka wiary, miłości do ludzi, obecna jest w wielu wierszach („Dobry”, „Poliglota”, „Rozmowny”, „Anonimowy nekrolog dla przyjaciela”, „Telepatia”) oraz w przekładzie z języka arabskiego „Poematu sufickiego”. Filozofia i światopogląd „lemuryjskiego wędrowca” przypomina ideę św. Franciszka – miłosierdzia wobec wszystkich stworzeń. Stąd między innymi bohaterami jego utworów są zwierzęta, tak podobne do ludzi. Interesuje go też język, jego możliwości w komunikowaniu się czy szerzej – w porozumieniu międzyludzkim. Jego panegiryk – jak sam określa przynależność gatunkową tego utworu – „Wiersz napisany na cześć Noama Chomsky’ego”, wychwala dzieła tego naukowca, wysmiewa pseudobadaczy języków, którzy „przeważnie robili swoje badania / Językoznawcze na bardzo małych płaszczyznach, / Często nie znając porządnie języków, które badali, / Lub używając tłumaczy mówiących bardzo pokrętnie / Europejskim językiem, lub też tak byli zakażeni rasizmem / Że zatracili logiczną drożność naukowego spojrzenia”.

Ważną problematyką w poezji Andrzejewskiego jest przezwyciężanie smutku i odnajdywanie optymizmu. Momenty intensywnej radości opisał w utworze „Nad Atlantykiem spotkanie ze światłem”. Jest to fantastyczna opowieść o darze le-

witacji, jedyny z tekstów londyńskiego językoznawcy jaki ukazał się w czasopiśmie krajowym, mianowicie w *Literaturze* z 1979 r. Utwór ten mówi o człowieku, który lecąc samolotem, ujrzał niesłyszany blask słońca i został nim „prześwietlony”, dzięki czemu uzyskał „jasność” i „lekkość” ciała. Dar lewitacji, również skutek spotkania ze słonecznym światłem na wielkiej wysokości, wprowadził bohatera powieści w stan ogromnej radości.

Ostatnim utworem Andrzejewskiego był „Hyś i Pająk”, ogłoszony w paryskiej *Kulturze* w 1994 r., pół roku przed śmiercią poety.

Opowieść o dziwnym stworze – Hysiu, to pełna humoru historia szamotaniny filologa z owym stworzem, który ugryzł go w palec i wpędził w chorobę. Zjawił się Pająk i zaczął chodzić po globusie, powodując zniszczenia na ziemi. Bohater otrzymuje przez telefon instrukcję, by wyrzucił Pajaka do ogrodu, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, iż narobi on ogromnych szkód. Naukowiec-filolog usuwa owada z pokoju.

Hyś to stworzenie zafascynowane modnymi kierunkami humanistyki, wytwór imagacji filologa, obdarzony cechami czasów drugiej połowy XX wieku.

*Neosemantyk, Hyś postmodernistyczny
O orientacji psycho-geograficznej.*

Hyś i Pająk wędrują pod koniec utworu, obejmując się jak przyjaciele, w kierunku zachodzącego słońca.

Silne nasycenie fantastyką w opowieści o przedziwnych stworzeniach nadaje utworowi wymiar niezwykłości, w której elementy realistyczne – filologiczna pracownia, manuskrypty na biurku, globus, tapczan, okno, telefon, ogród, dom – mieszają się z fantastycznymi: „przyśnica (!) biurka”, Hyś przechodzący przez zamkniętą szybę, wygląd Pajaka – „dystyngowane rysy, historyczny wyraz twarzy, krzaczaste brwi, śpiczaste uszy”, wędrowka stworzenia po globusie, w wyniku której zachodzą szkody na powierzchni ziemi, egzotyczna choroba narratora:

*W chwilę po ukąszeniu dostałem dreszczy w antylach
I bardzo dotkliwego rwania w trynidadzie.
Do tego jeszcze chwyciły mnie strzykania
Z lewej strony salwadoru. Przyszła też jeszcze
Wenezuelska czkawka i gujańskie wzdęcia.
Poczułem, że drętwieje mi floryda
I drętwota dochodzi aż do prawej strony gwadelupy.
Taki mnie ogarnął honduras, że chciałem telefonować
Do mojego doktora lecz poniechałem tego zamiaru
Zdając sobie sprawę, że nowocześni lekarze
Bardzo słabo znają się na geografii.*

Kategorie czasu i przestrzeni, tak istotne w twórczości Bogumiła Andrzejewskiego, również i w tej opowieści pełnią ważną funkcję. Wszystko dzieje się późnym popołudniem – do zapadnięcia zmroku, wiosną, w przestrzeni pracowni filologa. Jednocześnie Pająk, chodząc po globusie, czyni spustoszenia gdzieś w przestrzeni świata. Hyś określony jest przymiotnikiem „postmodernistyczny”, co oznacza, że jest to stworzenie, które pojawiło się właśnie w epoce tak zwanej „ponowoczesności”. Można odczytać ten wiersz jako zagrożenie dla świata z końca XX-go wieku, w którym panuje postmodernistyczny chaos. Hyś i Pająk to symbole dziwactw dzisiejszej kultury. Arkadyjska wizja przestrzeni, do której miał się udać bohater opowieści w nagrodę za wyrzucenie Pajaka za okno, nadaje temu tekstowi wymiar optymistyczny. „Kraj rozświetlony”, gdzie „czas trwa dłużej” to symbol odpoczynku, spokoju i radości – tak ważnych motywów w twórczości Andrzejewskiego.

Dalekie wyprawy w jego utworach poetyckich – te rzeczywiste i te wyimaginowane w marzeniu sennym, jego liryka – z powodu swej oryginalności, z powodu niezwykłego świata wyobraźni, specyficznego ukształtowania językowego i humoru – zasługuje na pamięć, i wciąż czeka na lepsze poznanie. Może to przypomnienie poety wydobędzie z cienia jego jakże interesującą twórczość...

Paweł TAŃSKI

O sztuce religijnej książka dla każdego

Wzrost znaczenia Kościoła w III Rzeczypospolitej niekoniecznie wiąże się z popularyzacją wiedzy teologicznej wśród społeczeństwa. W księgarniach nie widać wydawnictw słownikowych, systematyzujących podstawowe pojęcia teologiczne, niewiele jest książek, prezentujących zagadnienia historii Kościoła Powszechnego i myśl Ojców Kościoła. W księgarniach archidiecezjalnych najczęściej spotkać można monografie o pontyfikacie Jana Pawła II.

Co jeszcze wnosi do kultury Kościół? Kościoły! Współczesna architektura polska, zanim zaczęto wznosić fantazyjne centra handlowe, skoncentrowała się na budowach religijnych. Jak dalece dzisiejsze kościoły odeszły od sztuki sakralnej, stwierdzić możemy nie tylko czytając literaturę przedmiotu (nieliczną!), ale odwiedzając kościoły średniowieczne. „Sztuka sakralna okazuje się (...) wbrew wzorcom sztuki współczesnej, nie rezultatem uczuć, fantazji, a nawet ‘myśli’ artysty, lecz transpozycją rzeczywistości radykalnie przekraczającej granice indywidualności ludzkiej. (...) Tak więc estetyka podporządkowana zostaje kosmologii, a tym samym ontologii i metafizyce” – pisał w swojej „Symbolice świątyni chrześcijańskiej” Jean Hani¹.

Nie o historii architektury religijnej jednak mowa, a o popularyzowaniu wiedzy o Kościele i jego kulturze. Do udanych przedsięwzięć zaliczyć trzeba wydany w minionym roku przez wydawnictwo Prószyński i S-ka „Mały przewodnik po sztuce religijnej”. Autorka, Krystyna Kibish-Ożarowska, publikowała eseje o sztuce na łamach londyńskich *Wiadomości*. Od 1986 r. podjęła współpracę z *Przeglądem Polskim* (literacki dodatek do nowojorskiego *Nowego Dziennika*), tam właśnie ukazały się pierwotnie teksty, złożone później i wydane jako „Mały przewodnik...”. Książka jest niewielka (165 stron), bogato ilustrowana (niestety czarno-biało) i stanowi znakomite kompendium ikonografii sztuki religijnej, pisane prostym językiem, przeplatane anegdotkami (*sic!*), przeznaczone dla każdego czytelnika.

1. Jean Hani, „Symbolika świątyni chrześcijańskiej”, Znak, Kraków 1994.

Nie wszyscy pewnie wiedzą, że tematy „świętych obrazów” wywodzą się nie tylko z Biblii. Wiele motywów (powtarzanych przez stulecia) czerpie swój początek z odrzuconych przez Kościół ewangelii apokryficznych (autorką polskiego przekładu „Apokryfów” jest Zofia Romanowiczowa²). Autorka „Przewodnika”, podaje więc literackie źródła przedstawień, także mniej popularnych, jak Kąpiel Dzieciątka (temat wywodzący się właśnie z apokryfu) czy choćby Chrystus w Tłoczni Mistycznej (motyw bardzo popularny w późnym średniowieczu, później zaniechany). Opisując plastyczny wizerunek biblijnego motywu, Kibish-Ożarowska przeprowadza ewolucję poszczególnych realizacji, często na przykładach mniej znanych (zabytki wczesnochrześcijańskie i bizantyjskie). Tłumaczy dlaczego na jednym obrazie przedstawiano niekiedy kilka motywów, na czym polegała narracyjność sztuki średniowiecznej.

Książka podzielona jest na dwie części – w pierwszej zamieszczone są omówienia motywów ikonograficznych, związanych z Bożym Narodzeniem, druga gromadzi wątki, nawiązujące do tradycji wielkanocnej. Dwa najważniejsze święta katolickie porządkują tu materiał ikonograficzny sztuki religijnej.

Autorka przytacza najpopularniejsze wizerunki obrazowania chrześcijańskiego, podaje ich źródła, ilustruje przykładami, ale nie zapomina o twórcach, którzy czerpiąc z inspiracji biblijnych, dość daleko odeszli od źródłowego pierwowzoru (w tympanonie Portalu Królewskiego katedry w Chartres – Bogurodzica spoczywa w średniowiecznym łożu zamiast w betlejemskiej stajence).

Obrazy religijne, spopularyzowane w średniowieczu i renesansie, mimo, że nie pełniły roli *sacrum*, przypisywanej ikonom, były w kulturze łacińskiej głębokim świadectwem kulturowym – wiary, ale i historii. Treść obrazów, rzeźb, iluminowanych rękopisów średniowiecznych, dla turysty jest często już zupełnie niezrozumiała.

„Mały przewodnik po sztuce religijnej” nie jest podręcznikiem, jest książką, która pogłębi naszą wiedzę o sztuce, którą zobaczyć możemy jeszcze w muzeach, ale której coraz mniej w najnowszych kościołach.

Renata GŁOWACKA

Krystyna Kibish-Ożarowska, „Mały przewodnik po sztuce religijnej”, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

2. Henri Daniel Rops, François Amiot, „Apokryfy Nowego Testamentu”, Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1955.

Nadestane nowości wydawnicze

- BEREŚ (Witold), SKOCZYLAŚ (Jerzy). *Trzecia Rzeczpospolita od płota do płota czyli Zoszczenko wiecznie żywy*. Str. 133. Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.
- BRANDYS (Kazimierz). *Wywiad z Ballmeyerem*. Str. 48. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999.
- CHAŁKO (Zbigniew T.). *Śpiew z barykad*. Str. 57. Wydawnictwo ASKON, Warszawa 1999.
- DAJNOWSKI (Maciej). *Opowieści garmazeryjne*. Str. 75. Wyd. „Zielona Sowa”, Kraków 1999.
- Dlaczego chodzę, dlaczego nie chodzę do kościoła?* Oprac. I. Cieślak. Str. 311. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- Ensemble dans la vie et dans l'art*. Exposition internationale d'art contemporain et vente aux enchères. Str. 74. Association Amici di Tworki, Paris 1999.
- GAŁA (Henryk). *Drugie pióro PELIKANA*. Wiersze z lat 1957-98 w wyborze autora. Str. 177. Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych w Łomży, Agencja Sztuki, Edukacji, Reklamy ASTER, 1999.
- Gimnazjum Ojców Jezuitów w Wilnie w latach 1922-1940 (monografia)*. Str. 521. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1999.
- GŁABIŃSKI (Stanisław). *O ustroju państwa polskiego i parlamentarystyce*. Oprac. J. Kornaś. Str. 235. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.
- GOŁOWACZ (Andrzej). *Ludwik*. Str. 115. Wydawnictwo Głuszkiwicz, Gdańsk 1999.
- HAŁKO (Lech). *Kotwica herbem wybranym*. Str. 318. Wydawnictwo ASKON, Warszawa 1999.
- HOBSBAWM (Eric). *Wiek skrajności*. Przekład z ang. J. Kalinowska-Król, M. Król. Str. 572. Politeja, Warszawa 1999.
- HRUSHEVSKY (Mykhaïlo). *History of Ukraine-Rus'*. The Cossack Age to 1625. Vol. 7. Translated by B. Strumiński. Str. 548. Canadian Institute of Ukrainian Studies Press, Edmonton-Toronto, 1999.
- JAKÓB (Lech M.). *Ból i pełnia*. Notatnik poetycki. Str. 109. Kolobrzeg 1999.
- JASICKI (Aleksander). *Ścięte drzewa*. Str. 78. Galicyjska Oficyna Wydawnicza, Kraków 1999.
- KAMIŃSKA (Iwona). *Pani świata*. Str. 253. Świat Książki, Warszawa 1999.
- KLEPFISZ (Heszeli). *Przedwojenny świat przez pryzmat młodego Żyda polskiego*. Eseje 1931-1937. Str. 146. Wydawnictwo ERAB REUT, Tel Awiw 1999.
- KONICKA (Hanna), FIALKIEWICZ SAIGNES (Anna). *Lectures d'une ouvrière*. „Kordian” de Juliusz Slowacki. Str. 126. Editions du Temps, Paris 1999.
- KOTARA (Janusz). *Paryskie opowieści*. Str. 51. Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków 1999.
- KOTT (Jan). *Szekspear współczesny 2*. Płeć Rozalindy i inne szkice. Oprac. T. Nyczek. Str. 287. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy). *Afrodyte*. Str. 530. Norbertinum, Lublin 1999.
- KURIATA (Czesław). *Trójwymiarowanie*. Wybór poezji. Str. 113. Wydawnictwo „Polimer”, Koszalin 1999.
- LIRA-ŚLIWA (Tadeusz). *Wierszyki na koniec wieku*. Str. 15. Wydawnictwo APIS, Wrocław 1999.
- LISICKI (Paweł). *Jazon*. Str. 78. Wydawnictwo Apostolicum, Warszawa-Ząbki 1999.
- MATYSZEWSKI (Tomasz). *Listy sercem pisane*. Str. 216. Nakładem autora, Kraków 1999.
- OLSIŃSKA (Halszka). *Jednorodne*. Str. 51. Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Słupsk 1999.
- ONISZCZUK (Jerzy). *Źródła prawa w orzecznictwie i powszechnie obowiązującej wykładni ustaw Trybunału Konstytucyjnego*. Str. 111. Oficyna Wydawnicza „Typografia”, Warszawa 1999.
- PAWLIK (Leon). *Celina*. Str. 169. Świat Książki, Warszawa 1999.
- POCHYLCZUK (Alicja). *Nim się obudzi pierwszy ptak*. Avant que le premier oiseau s'éveille. Grafiki Dacos. Przekład na j. francuski A. Dayet. Str. 137. Nowohuckie Centrum Kultury, Tétrás Lyre 1999.
- PREKEROWA (Teresa). *Zegota*. Commission d'aide aux Juifs. Traduit du polonais et présenté par Marian Apfelbaum. Str. 390. Éditions du Rocher, Monaco 1999.
- PRYZYSTAWA (Jerzy). *Nauka jak niepodległość*. O sytuacji polskich nauczycieli. Str. 85. Wydawnictwo SPES, Wrocław 1999.
- ROGUŚKI (Piotr). *Figlarny ślad nieobecności*. Str. 63. „Magazyn Literacki”, Warszawa 1999.
- RÓŻYCKI (Tomasz). *Anima*. Str. 45. Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków 1999.
- SERCZYK (Jerzy). *Minęło życie*. Str. 144. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1999.
- SKWARNICKI (Marek). *Minione a bliskie*. Str. 514. Wydawnictwo WAM, Kraków 1999.
- Słownik historii doktryn politycznych*. Tom. 2. Redaktor naukowy Michał Jaskólski. Str. 473. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.
- SPOROŃ (Henryk F.). *Z rodzinnych stron i emigracji*. Str. 123. „Głos Śląsko-Dąbrowski”, 1999.
- STAWECKI (Piotr). *Konstytucje Polski a siły zbrojne 1791-1935*. Studium historyczno-prawne. Str. 95. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.
- SZELONG (Edmond), SZELONG (Alain). *Ożarów, les racines polonaises*. Str. 469. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- SZMIDT (Andrzej). *Zapiski*. Str. 77. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- SZUBER (Janusz). *O chłopcu mieszającym powidła*. Wiersze wybrane 1968-1997. Str. 134. Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1999.
- Śpiewamy przy ognisku*. Pieśni partyzanckie, wojskowe i biesiadne. Oprac. M. Korejwo. Str. 324. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1999.
- Tematy polsko-litewskie*. Historia, literatura, edukacja. Red. R. Traba. Str. 239. Wydawnictwo Wspólnota Kulturowa BORUSIA, Olsztyn 1999.
- The Changing Map of Europe*. The Trajectory Berlin – Poznań – Warsaw. A tribute to Antoni Kukliński. Str. 359. Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, Warszawa 1999.

Nagrody „Kultury” za rok 1999

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA – TADEUSZ RÓŻEWICZ

Nagroda *Kultury* 1999 właściwie powinna się nazywać próbą naprawiania pomyłek. Nie własnych – cudzych. Za Nobla ponosi odpowiedzialność cudzoziemskie Jury, ponoć zęczenie urabiane przez nie tyle znawców twórczości Laureatki, ile lobby któremu Herbert nie przypadł do smaku. Przed kilkoma tygodniami powtórzyła się, tym razem na rodzimym gruncie, tragedia pomyłek, której ofiarą stał się Tadeusz Różewicz, POETA.

Przed przyznaniem tegorocznej nagrody „Nike”, potocznie określanej mianem polskiego Nobla, urządzono efektowne przedbiegi, w których wyraźnym faworytem był Tadeusz Różewicz. „Plebiscyt” miał ciąg dalszy – raczej niesmaczny: od kandydatów na laureatów uzyskano teksty dziękczynnych wypowiedzi. Różewicz się od dopełnienia tej rzekomo dowcipnej formalności demonstracyjnie uchylił, co odpowiednio nagłośniono. Właściwą wypowiedź odczytała na efektownym widowisku specjalnie – na wszelki wypadek? – przybyła z USA żona niedomagającego (co jest i co nie jest okolicznością łągodzącą) żona laureata.

Poezja jest mocną stroną literatury polskiej. Sprzyjają jej surmy bojowe, żywiołowe klęski, prześladowania, nostalgia, atmosfera końca wieku. Słowem, to wszystko, co nie podobało się Panu Cogito. A także Tadeuszowi Różewiczowi. Utrzymuje się jednak nadal wysoka ranga poezji. O ile jednak można mówić o imaginacyjnym pojedynku Miłosz-Herbert-Różewicz, o tyle z konkurencji „Różewicz – Inni wybrańcy ludu z gazetowego plebiscytu” wysuwał się na czoło Ten,

który otworzył nowy rozdział w historii wiersza polskiego i nobilitował wiersz wolny – RÓŻEWICZ, który nagrody nie otrzymał.

Nie negując zasług mrówczej pracy prof. Stanisława Barańczaka zauważyć warto, że jako tłumacz pełni on wobec polskiej i obcych literatur rolę służebną, w najlepszym tego słowa znaczeniu rzemieślniczą, zauważaną zresztą i docenianą m.in. przez polski PEN-Club

Twórczość Różewicza otwiera wspaniały rozdział historii wiersza polskiego i słusznie jest zestawiana ze znaczeniem „Ballad i romansów”. Jak mawiał Kazimierz Wierzyński, otwarcie przyznający się do wpływu Różewicza – o pokolenie wstecz! – każdemu, nawet najpospolitszemu słowu, narzucał on wieloznaczność, wagę, smak i barwę, podsuwał wielorakie możliwości aluzji, nie dobierał rymów i nie liczył zgłosek, odrzucał niewolę stroficzności, po żonglersku operował aluzjami. Pamiętam jak z Biblioteki Polskiej w Londynie wysyłaliśmy wędrującemu z „kufrem na plecach” Wierzyńskiemu kolejne tomiki Różewicza.

Przyznana obecnie Różewiczowi Nagroda „Kultury” nie jest, niestety, ekwiwalentem wielkich nagród pieniężnych. Jest sygnałem, że „źle się dzieje w państwie duńskim” a nagrody winny być oparte na przemyśleniu konsekwencji, wolne od podejrzeń o stronniczość i efekciarstwo.

m.d.z.

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO – ANDRZEJ KORASZEWSKI

Andrzej Koraszewski – wicedyrektor Sekcji Polskiej BBC w 1998 r. przeniósł się na stałe do Polski. Autor książki „Wielki poker” poświęconej sytuacji polskiej wsi – zwłaszcza małorolnym w przededniu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY – GRAŻYNA POMIAN

Tegoroczna nagroda *Kultury* Przyjaźni i Współpracy została przyznana pani Grażynie Pomian. Poznaliśmy państwa Pomianów niedługo po ich osiedleniu się we Francji, u księży pallotynów i ta znajomość bardzo szybko przerodziła się w przyjaźń i współpracę. Współpraca pani Grażyny Pomian była niesłychanie wydajna i niezmiernie ważna dla *Kultury*. Wystarczy wyliczyć suche fakty: W roku 1982 pani Grażyna wydała w Bibliotece *Kultury* (tom 366) książkę „Polska Solidarności”. W 1986 wydała „Protokoły tzw. komisji Grabskiego. Tajne dokumenty PZPR”. W tym samym roku pozycja ta była wydana również w kraju, w samizdacie, przez Międzyzakładową Strukturę „Solidarności” w Warszawie. W 1987 roku w wydawnictwie londyńskim „Puls” została wydana jej praca „O *Kulturze*. Wspomnienie i opinie”. Została ona przedrukowana w samizdacie w 1988 r. przez „Pomost”. W 1986 r. pani Grażyna wraz z mężem zorganizowała stowarzyszenie Les Amis de *Kultura*, do którego weszli czołowi przedstawiciele francuskiego świata politycznego i społecznego oraz szereg polskich działaczy emigracyjnych. Stowarzyszenie Les Amis de *Kultura* zorganizowało w Bibliotece Polskiej w Paryżu wystawę ilustrującą czterdzieści lat działalności Instytutu Literackiego. Przy tej okazji Grażyna Pomian opracowała katalog tejże wystawy pt. „*Kultura* i jej krąg (1946-1986)”. Katalog ten był wznowiony w kraju w 1995 r. przez Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Najnowszym osiągnięciem pani Grażyny jest dwutomowa antologia: „Wizja Polski na łamach *Kultury* 1947-1976” wydana przez Wydawnictwo Marii Curie-Skłodowskiej w 1999 r.

Jak widać z tego zestawienia, wkład pani Grażyny do działalności *Kultury* jest ogromny.

Ci, co odeszli

Andrzej Grzywacz (1967-1999)

Dnia 13 grudnia 1999 roku, w Krakowie zginął tragicznie w wieku 32 lat, znakomicie zapowiadający się historyk młodego pokolenia Andrzej Grzywacz. Mimo swego wieku był autorem szeregu opracowań i artykułów. Znaczna część z nich ukazała się na łamach *Zeszytów Historycznych*. Latem 1999 roku została mu przyznana godność honorowego członka Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie.

Andrzej Grzywacz urodził się 19 listopada 1967 roku w Krakowie, tu też uczęszczał do szkoły podstawowej i średniej. Już w liceum wykazywał żywe zainteresowanie historią, w 1986 roku był finalistą Ogólnopolskiej Olimpiady Historycznej. W pamięci jednego z piszących te słowa pozostanie na zawsze obraz bardzo wysokiego, szczupłego chłopaka, zawsze skłonnego do długich spacerów połączonych z zaciętkimi dyskusjami na tematy historyczne.

W 1986 roku rozpoczął studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był studentem wybitnym, osiągającym bardzo dobre wyniki w nauce. Jako temat pracy magisterskiej wybrał „Wschodniopruski obszar operacyjny w polskim planowaniu wojennym 1918-1939”, zagadnienie pionierskie i w dotychczasowej literaturze przedmiotu pomijane. Pracę magisterską obronił w maju 1991 roku pod kierunkiem swego „Mistrza” – prof. dr hab. Mariana Zgórniaka.

Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w szkolnictwie. Pracował jako nauczyciel historii w kilku liceach krakowskich. Zasłynął w nich, jako nauczyciel niesłychanie wymagający, lecz bardzo sprawiedliwy i bezkompromisowo uczciwy. Był na pewno osobą, o której można powiedzieć, że nie tylko uczy, ale i wychowuje, i to nie moralizatorskimi kazaniem,

od których zawsze stronił, lecz przykładem własnego postępowania. Być może dlatego tak garnęli się do niego młodzi ludzie. Angażował się chętnie we wszystkie formy pozaszkolnej edukacji historycznej, był pomysłodawcą seminariów historycznych dla młodzieży szkół średnich, poświęconych historii drugiej wojny światowej, odbywających się pod patronatem Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu. W spotkaniach tych brali często udział historycy zatrudnieni na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W 1996 roku obronił pracę doktorską pod tytułem „Polskie planowanie wojenne na wschodnim kierunku operacyjnym w latach 1921-1939”, napisaną również pod kierunkiem prof. dr hab. Mariana Zgórniaka. Recenzentami jej byli prof. dr hab. Tomasz Naęcz i prof. dr hab. Andrzej Pankowicz. Następnie został zatrudniony w katedrze historii współczesnej Instytutu Nauk Politycznych UJ, gdzie wykładał historię najnowszą powszechną i Polski. Łączył tę pracę z zatrudnieniem w szkole i aktywnością naukową. Przygotowywał właśnie pracę habilitacyjną pod tytułem „Początki planowania wojennego II Rzeczypospolitej 1918-1926”.

W dzisiejszych czasach, gdy nawet nauki humanistyczne wymagają wąskiej specjalizacji, Andrzej stanowił chlubny wyjątek. Jego niesamowita erudycja pozwalała na swobodne poruszanie się w obrębie różnych epok i specjalizacji. Był redaktorem pierwszego tomu Encyklopedii Harpera, poświęconego historii wojskowości starożytnej i średniowiecznej, ale także autorem publikacji na temat najnowszej historii gospodarczej – jako współautor „Najnowszej Historii Świata 1945-1994” (Kraków 1995), artykułów i rozpraw poświęconych historii wojskowości Drugiej Rzeczypospolitej i drugiej wojny światowej: „Armia sowiecka w ocenie polskiego kierownictwa wojskowego” (*Studia Rzeszowskie* nr 6), „Armia Polesie w planie operacyjnym Wschód” (*Mars* nr 8), „Sytuacja wojskowa potencjalnych przeciwników Polski w 1922 roku” (*Mars* nr 5), „Komitet Obrony Państwa” (*Zeszyty Historyczne* nr 104). Spora część Jego prac dotyczyła dziejów wywiadu w dwudziestolecie międzywojennym: „Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku” (*Zeszyty Historyczne* nr 125), „Oddział II Sztabu Głównego w relacji płk. Józefa Englichta” (*Arcana* nr 26), a zwłaszcza problematyki polityki prometejskiej II RP. Ostatnio zajął się historią walk

politycznych w łonie rządu na wychodźstwie, publikując szereg prac o Biurze Rejestracyjnym i tzw. Komisji Hallera (*Zeszyty Historyczne* nr 127 i 129). Dwukrotnie był stypendystą Fundacji Pomocy Niezależnej Nauce i Literaturze Polskiej, ostatnio otrzymał stypendium Fundacji Lanckorońskich z Brzezia. Wszystkie pobyty stypendialne w Londynie związane były z Jego ostatnimi pracami badawczymi.

Już od lat Andrzej był pełen pomysłów i planów na przyszłość. Realizacja ich stanowiłaby wielki postęp w badaniach nad dziejami najnowszymi i postawiłaby Go w gronie najwybitniejszych ich znawców. Pozostawił po sobie wspaniałe, niezrealizowane plany badawcze.

Dla Andrzeja historia nigdy nie była zamkniętą kartą, a zajmowanie się nią traktował jak powołanie. Nie był badaczem, który po napisaniu artykułu czy opuszczeniu archiwum zmienia się w „człowieka prywatnego”. Historia była organicznie związana z Jego życiem i przenikała wszystkie sfery aktywności. Żył dla historii i niekiedy wydawało się, że poświęca jej każdą wolną chwilę. Zawód historyka był dla Niego związany z koniecznością nieustannego dokształcania się i poszerzania swoich horyzontów. Starał się wykorzystać na to każdą wolną chwilę, był tytanem pracy, lecz dla przyjaciół miał czas o każdej porze. W przyjaźni był wymagający i nie ukrywał nigdy swego stanowiska. Wiedział, że ludzi mogą różnić poglądy, lecz zawsze dążył do tego by „różnić się pięknie”. W naszej pamięci pozostanie na zawsze jako pogodny, wesoły, zawsze skłonny do rozmów na wszelkie interesujące Go tematy. Nie sposób było się z nim nudzić, interesował się nie tylko wszelkimi dziedzinami historii, lecz także archeologią, sztuką i szeroko pojmowaną kulturą, do malarstwa Giotta po muzykę młodzieżową i komputer. Był człowiekiem niesłychanie otwartym, a nieustanny kontakt z młodzieżą szkolną i studencką powodował, iż zawsze wydawał nam się młodszy niż był w rzeczywistości. Chętnie przyswajał sobie wszelkie „nowinki”, fascynowało Go użycie nowoczesnej techniki w badaniach historycznych.

Był bardzo dobrym historykiem, lecz przede wszystkim wspaniałym i prawym człowiekiem. Na zawsze pozostanie w pamięci przyjaciół i osób, które Go znały.

Grzegorz MAZUR, Marcin KWIECIEŃ

Zenon H. Nowak (1934-1999)

Obecny kształt stosunków polsko-niemieckich jest również zasługą nielicznych ludzi nauki, którzy przez lata konsekwentnie budowali zrozumienie i porozumienie pomiędzy obu narodami. Ich prace badawcze, współpraca z licznymi ośrodkami naukowymi w Niemczech oraz wspólne międzynarodowe programy i konferencje zastępowały martwą literę porozumień politycznych i stwarzały możliwość wymiany poglądów w czasach, gdy wszystko podlegało cenzurze i reglamentacji. Również prawda.

Rozpoczęte w Toruniu tuż po ostatniej wojnie studia uniwersyteckie nad historią i dorobkiem zakonu krzyżackiego i jego państwa w Prusach, dzięki wysokiemu poziomowi badań i obiektywizmowi, niemal zupełnie pozbawione były retoryki propagandowej. Było to w dużej mierze zasługą szkoły historycznej stworzonej przez Karola Górskiego i jego uczniów. Wśród nich Zenon Hubert Nowak był postacią szczególną. Od 1953 roku związany był z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, na którym ukończył studia, a następnie zatrudniony został jako asystent w Zakładzie Historii Starożytnej i Średniowiecznej.

Obszar zainteresowań badawczych Zenona H. Nowaka, szeroki i bardzo różnorodny, koncentrował się wokół kilku głównych zagadnień: dziejów Europy Północnej i Środkowo-Wschodniej, roli politycznej i dyplomatycznej Zygmunta Luksemburskiego i Jagiellonów, unii polsko-litewskiej i unii kalmarskiej oraz historii zakonu krzyżackiego i jego państwa nad Bałtykiem w XIV i XV wieku, ponadto kultury duchowej i materialnej w Prusach, oraz jej związków z kulturą europejską. Osobne studia, zintensyfikowane zwłaszcza w ostatnich latach, obejmowały również historię miast europejskich, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru Hanzji, oraz dzieje diaspory żydowskiej w regionie Bałtyku, od średniowiecza po wiek XX. Dorobek naukowy Profesora Nowaka

liczy ponad trzysta publikacji ogłoszonych w kilku językach, w licznych renomowanych wydawnictwach polskich i zagranicznych. Pod jego redakcją ukazało się również kilkanaście publikacji zbiorowych, w tym – zasługujące na szczególną uwagę – dziesięć tomów studiów przedstawionych na konferencjach *Ordines Militares*.

Zenon H. Nowak był członkiem wielu międzynarodowych i krajowych stowarzyszeń i organizacji naukowych, w tym Internationale Historische Kommission zur Erforschung des Deutschen Ordens z siedzibą w Wiedniu, Historische Kommission für Ost- und Westpreussische Landesforschung w Marburgu, Polsk-Skandinavisk Forskningsinstitut w Kopenhadze, Polskiego Towarzystwa Historycznego (w latach 1988-1991 był wiceprezesem Zarządu Głównego) czy Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Od roku 1972 był również członkiem komitetu redakcyjnego *Zapisek Historycznych*, jednego z najważniejszych czasopism naukowych w Polsce. Od 1974 roku brał udział w konferencjach wspólnej polsko-niemieckiej komisji podręcznikowej w zakresie zagadnień dotyczących dziejów zakonu krzyżackiego. W roku 1999 został członkiem zagranicznym, pierwszym z Europy Środkowo-Wschodniej, ekskluzywnego Królewskiego Towarzystwa Duńskiego dla Ojczyściej Historii, założonego w 1745 roku, którego celem jest popieranie historii duńskiej.

Związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, w latach 1987-1990 był dyrektorem Instytutu Historii i Archiwistyki UMK, w roku 1993 został kierownikiem Zakładu II Historii Średniowiecznej we wspomnianym Instytucie.

Nieprzerwanie od osiemnastu lat, co dwa lata, Profesor Nowak organizował w Toruniu cykliczne, międzynarodowe konferencje zatytułowane *Ordines Militares – Colloquia Torunensia Historica*, skupiające badaczy z Polski, Niemiec, Austrii, Danii, Rosji, Litwy, Czech i Anglii, zajmujących się historią oraz rolą społeczną, polityczną i kulturotwórczą zakonów rycerskich powstałych w Ziemi Świętej, tj. joannitów, templariuszy i przede wszystkim krzyżaków, a także mniej znanych: calatravensów hiszpańskich, inflanckich kawalerów mieczowych czy kawalerów dobrzyńskich. W roku 1999 w dniach 24-25 września odbyła się jubileuszowa dziesiąta sesja nosząca tytuł „Przeszłość i terażniejszość zakonów

rycerskich. Recepcja idei a rzeczywistość”. Tegorocznej konferencji nadano charakter szczególny, ponieważ połączona została z jubileuszem jej twórcy – 65-leciem urodzin i 40-leciem pracy naukowej – Profesora Zenona Huberta Nowaka, któremu z tej okazji została wręczona Księga Pamiątkowa, zatytułowana „Prusy-Polska-Europa. Studia z dziejów średniowiecza i czasów wczesnonowożytnych”.

Do ostatnich dni Profesor Nowak zbierał materiały i pracował nad książką – biografią cesarza Zygmunta Luksemburskiego. 3 grudnia 1999 zasłabł nagle w Bibliotece Uniwersyteckiej, zmarł kilka godzin później.

Anna SUPRUNIUK

Marc de Montfort (1923-1998)

Spotkałem Marka po raz pierwszy w alpejskiej miejscowości Villard de Lans, gdzie kilka miesięcy po klęsce Francji, w październiku 1940 roku, dzięki wysiłkom szczególnie Zygmunta Lubicz-Zaleskiego, Wacława Godlewskiego i przyjaciół Francuzów, utworzone zostało liceum im. Cypriana Norwida.

Szkoła ta była prawdziwą wylegarnią uczestników Ruchu Oporu we Francji i żołnierzy polskich formacji na Zachodzie. Wielu z nich zginęło w walkach na płaskowzgórzu Vercors, na rozmaitych frontach i w obozach koncentracyjnych.

Rozmawiając w czasie pierwszego spotkania z Markiem, do głowy mi nie przyszło, że jest on rodowitym z dziada pradziada Francuzem, mówił bez najmniejszego akcentu, bardzo starannie, niemalże wypielegnowaną polszczyzną.

Tajemnica szybko została wyjaśniona. Otóż w roku 1923 państwo Henri i Annie de Montfort udali się z półtoraroczną córeczką Claude drogą morską do Polski. I to był początek

prawdziwego, czasem dramatycznego romansu, który połączył tę rodzinę z Polską.

Henri de Montfort był w Warszawie pierwszym korespondentem francuskiego dziennika *Le Temps*, w pewnym sensie poprzednika dzisiejszego *Le Monde*. Pisywał również do innych gazet we Francji.

Annie de Montfort szybko uczyła się języka polskiego i zapoznawała z fascynującym ją krajem. 21 października 1923 r. urodził się Marc de Montfort. Rodzice powrócili do Francji w końcu 1924 roku, odwiedzając później bardzo często Polskę i utrzymując łączność z polskim środowiskiem kulturalnym i uniwersyteckim.

Marek dzielił swe młode lata między Francję i Polskę. W roku 1935 rozpoczął naukę w liceum polskim w Rydzynie. Wrócił do Francji na wakacje tuż przed wybuchem wojny.

Kilka miesięcy przed tragicznym wrześniem 1939 Annie de Montfort opublikowała w domu wydawniczym Hachette w znanej serii *Les Guides Blues* wszechstronny przewodnik po Polsce w granicach przedwojennych, który do dzisiaj jest kopalnią cennych informacji.

Po klęsce wrześniowej rodzina odnalazła się w Paryżu w mieszkaniu Instytutu Francuskiego, w którym Henri de Montfort piastował funkcję sekretarza Akademii Nauk Moralnych i Politycznych. Prawnik i publicysta Henri de Montfort czynnie i ofiarnie służył sprawie emigracji polskiej, m.in. chroniąc w swoim domu na południu Francji cenne skarby Polskiej Biblioteki na Wyspie św. Ludwika, zanim gestapo nie opieczętowało bram i okupowało historycznego gmachu.

Marek uzyskał dyplom maturalny w liceum w Villard de Lans w 1941 roku i zaangażował się w działalność prowadzoną przez rodziców w Ruchu Oporu. Wspomnijmy, że pani de Montfort zajmowała się m.in. ułatwianiem polskim uchodźcom przeprawy przez Hiszpanię do Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii. Była w stałym kontakcie ze wszystkimi przywódcami polskimi w strefie nieokupowanej.

W marcu 1943 r. w Hôtel de Savoie w Grenoble zatrzymali się Zygmunt Lubicz-Zaleski i Annie de Montfort. Był z nimi również Marc de Montfort, ale w hotelu zabrakło dla niego pokoju i to go uratowało.

„Niezadługo – pisze w pamiętniku Zygmunt Lubicz-Zaleski – dało się słyszeć gwałtowne dobijanie do drzwi i krzyki; przez otwarte drzwi wdziera się cała falanga (nie umiem powiedzieć dokładnie ilu, ale chyba koło dziesięciu uzbrojonych zbirów włoskich). Wpadli, biorąc mnie na cel, przystawiając do głowy, do piersi, broń rozmaitego rodzaju. Myślę szybko: ja? – dobrze ale czemu jeszcze Annie. Co za okrutna zbieżność losów... Annie zachowuje się z zadziwiającym spokojem, z natężoną uwagą i szlachetną odwagą...”

Annie do Montfort została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, skąd już nie wróciła, Marek, po aresztowania matki w marcu 1943 roku wybrał się do Hiszpanii, gdzie był więziony przez 8 miesięcy. Po uwolnieniu przybył do Maroka i z miejsca zgłosił się jako ochotnik do wojska, w 1944 r. znalazł się na południu Włoch. Losy wojenne doprowadziły go do Rzymu, a później do Francji, gdzie służył w armii marszałka de Lattre de Tassigny. W bitwie stoczonej w Alzacji 15 grudnia 1944 roku został ciężko zraniony. Dzięki szybkiej interwencji chirurgicznej w szpitalu w Strasburgu, udało się go uratować po amputacji prawej ręki.

Studia prawnicze zakończył w roku 1947 w Paryżu, gdzie otworzył gabinet adwokacki. Bardzo pomagał polskim instytucjom kulturalnym, naukowym. Między innymi bardzo pomógł Instytutowi Literackiemu w zainstalowaniu się we Francji po przeniesieniu z Rzymu do Paryża. Marek pomógł przezwyciężyć wszystkie przeszkody administracyjne, przed którymi stawał każdy emigrant. Sam, śladem swego ojca, pracował w Towarzystwie Historyczno-Literackim, piastując do śmierci stanowisko wiceprezesa.

Nigdy nie zapomnę naszej pierwszej wspólnej podróży w roku 1994 do Warszawy. Wydarzenia było wyjątkowe. Dzięki współpracy Towarzystwa Historyczno-Literackiego z Biblioteką Narodową w Warszawie, w Pałacu Krasińskich miała miejsce wystawa skarbów nadsekwańskiej Biblioteki Polskiej. Zabierając wspólnie głos na tej uroczystości, nie mogliśmy ukryć wzruszenia.

Marc do Montfort zmarł 27 listopada 1998 roku.

Leszek TALKO

Weronika Bell

Niemal każda rozmowa o Weronice Bell zaczynała się nieodmiennie od słów: „Była śliczna”. I zaraz potem: „I ślicznie śpiewała”.

Głos miała rzeczywiście tak piękny, że gdy jeszcze szkoły nie skończyła, zaczęła brać lekcje śpiewu z myślą o artystycznej przyszłości.

Wojna przerwała naukę i przekreśliła życiowe plany młodej panny Ignatowicz, kazała jej opuścić rodzinne kresowe miasto i iść w świat polskim szlakiem – Rosja, potem Drugi Korpus na Bliskim Wschodzie, któremu towarzyszyła – koncertując w obozach – przez wszystkie wojenne lata i lądy. I w końcu Paryż.

Tu zdumiewający sukces spotkał od razu młodą, nieznaną pieśniarkę – występy w Folies Bergère. W tym kiedyś najślawniejszym w świecie teatrze rozrywkowym o nieprześcignionym rozmachu, pomysłowości i bogactwie wystawy, w którym przed wojną królowała Josephine Baker. Weronika Bell – bo od wielu lat przybrała to sceniczne nazwisko – zaczęła występować, nie jako skromna debutantka, tylko jedna z gwiazd. Ktoś z polskich widzów zapamiętał efektowny numer, przywitany oklaskami przez publiczność, gdy spod niewidzialnego stropu zjeżdżała powoli na scenę złota klatka, z zamkniętą w niej jak barwny ptak, Weronika.

W latach 50-tych, gdy w Monachium zaczęło działać Radio Wolna Europa, dyrektor Jan Nowak zaprosił Weronikę do muzycznych audycji na jeden sezon. Po pierwszym sezonie przyszedł drugi, trzeci i następne, w końcu Monachium stało się stałym miejscem zamieszkania Weroniki. Nie z przyczyn zawodowych, ale prywatnych.

Była, jak zawsze, otoczona wielbicielami, aż przysłała wielka wzajemna miłość i małżeństwo z jednym z redaktorów RWE, żołnierzem Armii Andersa, Jackiem Machniewiczem. Ich dom stał się ośrodkiem towarzyskiego życia monachijskich Polaków.

Wzorem licznych pracowników RWE Machniewiczowie kupili sobie dom letni na odludnej balearskiej wyspie Fromenterze, gdzie życie było piękne i idealne na wypoczynek, gdyż wyspa broniła się przed najazdem turystów uciążliwym dojazdem przez morze. Machniewiczowie spędzali tam każdą wolną chwilę i tam osiedli, przeszedłszy na emeryturę. I tam dopadła Weronikę długa, ostatnia choroba. Przewieziona na Ibizę, zmarła 26 listopada 1999.

Halszka Guilley-Chmielowska (1915-1999)

Urodzona na Ukrainie w Sumach pod Charkowem po rewolucji bolszewickiej, wraz z rodzicami schroniła się w Polsce. W okresie międzywojennym studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Zajmowała się również fotografią oraz literaturą. Współpracowała z redakcją *Kuźni Młodych*, gdzie pierwszy jej felieton ukazał się w 1935 r. Po agresji sowieckiej jej ojciec został rozstrzelany przez NKWD. Halszka przedostała się do Warszawy, gdzie współpracowała z konspiracyjną organizacją socjalistyczną „Wolność”. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej powróciła do Lwowa, gdzie została aresztowana przez gestapo w 1942 r. i wywieziona do obozu pracy przymusowej w Arnstadt. Tam przez 3 lata pracowała w fabryce amunicji. Po uwolnieniu obozu przez Amerykanów wyjechała do Francji z poślubionym jeńcem francuskim Robertem Guilley. Osiedliła się w Argelès-Gazost w Pirenejach. Wróciła do swych zainteresowań literackich. Jej pierwszą powieść „Spotkania na galerii” wydał Instytut Literacki. Spotkała się ona z dużym zainteresowaniem. Halszka Guilley otrzymała za nią nagrodę literacką *Kultury*. Współpracowała z pismami emigracyjnymi w Londynie i Kanadzie. Była również bardzo czynna na

odcinku społecznym, współpracując z Amnesty International i Comité d'Aide pour la Pologne. Zmarła po długiej i ciężkiej chorobie 27 sierpnia 1999.

Bratem jej dziadka był Adam Chmielowski, powstaniec z 1863 r., malarz, kanonizowany w latach 80-tych przez Jana Pawła II.

Jan Dunin-Karwicki (1910-1999)

W Sydney zmarł Jan Dunin-Karwicki, wydawca i długoletni redaktor *Wiadomości Polskich*. Pismo przez wiele lat skupiało w gronie swych współpracowników znaczną część dziennikarzy i literatów, którzy znaleźli się w Australii. *Wiadomości* kładły duży nacisk m.in. na współpracę z emigracjami ze wschodniej Europy, głównie litewską. Dunin-Karwicki dbał również o różnorodność tematyki pisma. W ostatnim okresie ukazywania się, *Wiadomości Polskie* zamieszczały głównie przedruki z prasy krajowej. Wiekowy już redaktor próbował utrzymać pismo za wszelką cenę, jednak negocjacje w sprawie przejścia pisma przez młodszą generację spały na panewce.

Wiadomości zostały zamknięte w lutym 1992 r. Niestety, pozostało ogromne zadłużenie, tak duże, że były trudności z pogrzebem Jana Dunin-Karwickiego, który odbył się 15 października br. w Sydney. Biorąc pod uwagę wielkie zasługi zmarłego, mamy nadzieję, że emigracja australijska będzie uważała za swój obowiązek spłacenie chociażby częściowo tego zadłużenia.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

23.10.

W Lublinie odbyły się Dni Kultury Węgierskiej zorganizowane przez Ośrodek Brama Grodzka-Teatr NN.

23.11.

Na Uniwersytecie Państwowym w Witebsku (Białoruś) odbyła się konferencja naukowa na temat „Jezióra Pojezierza Białoruskiego: stan obecny, problemy wykorzystywania oraz ochrony”.

25.11.

W Muzeum Czartoryskich w Krakowie prof. Jerzy Zdrada wygłosił odczyt na temat „Czartoryscy – idea martwa czy żywa”. W dyskusji wzięli udział prof. Michał Jaskólski (historyk myśli politycznej), prof. Jan Prokop (historyk kultury). Spotkanie poprowadził Zbigniew Baran. ■ W sali Senatu została podpisana umowa o współpracy partnerskiej między Wydziałem Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego a Litewską Akademią Prawa. Ze strony Uniwersytetu umowę sygnowali prof. Romuald Gelles, rektor UW r. i prof. Zdzisław Kegel, dziekan Wydziału Prawa i Administracji UW r. a z Litewskiej Akademii Prawa prof. Alvydas Pumputis, rektor uczelni i doc. Henryk Malewski.

6.12.

W Instytucie Polskim w Mińsku odbyło się spotkanie przyjaciół Instytutu poświęcone podsumowaniu pracy w roku 1999. W swojej ożywionej działalności Instytut współpracował z ponad trzydziestoma białoruskimi organizacjami kulturalnymi. Wśród najciekawszych wydarzeń, zorganizowanych z udziałem Instytutu, można wymienić występy Teatru Ósmego Dnia z Poznania, festiwal performansu „Nowinki 99”, wystawę fotografii „Elegia wileńska” Jana Bułhaka, konferencję poświęconą 10-leciu „Okrągłego stołu” z udziałem redaktorów *Gazety Wyborczej*, międzynarodową konferencję w Nieświeżu poświęconą 450-leciu urodzin M.K. Sierotki, prezentację białoruskiego wydania *Kultury* paryskiej i inne. Instytut ponadto prowadzi kursy języka i kultury polskiej, w których bierze udział ponad 300 osób. W tym roku została otwarta specjalna grupa dla prawników i literatów. Ponadto istnieje polski video klub, który prezentuje trzy filmy miesięcznie w wersji oryginalnej.

10.12.

W Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

została otwarta wystawa „Twarze emigracji. Wierzyński – Hłasko – Gombrowicz – Stempowski – Grydzewski”.

13.12.

W Teatrze Małym w Warszawie miało miejsce spotkanie autorskie Adama Zagajewskiego z okazji ukazania się jego tomu wierszy „Pragnienie”. Zebranie prowadziła Renata Gorczyńska, wprowadzenie wygłosił Ryszard Krynicki.

14.12.

Litewski Sąd Najwyższy uniewinnił jednego skazanego a czterem pozostałym obniżył kary w procesie tzw. autonomistów sołecznickich. Sąd Najwyższy zmniejszenie kary motywował tym, że od popełnienia przestępstwa minęło bardzo dużo czasu.

22.12.

W dniach 20-22 grudnia 1999 roku, Instytut Polski w Mińsku gościł dyrektora Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach, redaktora naczelnego czasopisma *Krasnogruda*, pana Krzysztofa Czyżewskiego. Podczas swojego pobytu pan Czyżewski spotkał się z redaktorami pism białoruskich, wygłosił wykład dla studentów na Wydziale Kulturologii Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego oraz wziął udział w prezentacji czasopisma *Krasnogruda* w Kolegium Białoruskim. ■ Oświadczenie rosyjskiego PEN-Clubu: Pisarze Rosji, zgromadzeni w rosyjskim PEN-Clubie, z niepokojem obserwują eskalację wojny w Czeczenii, która obecnie staje się zagrożeniem nie tylko dla cywilnych mieszkańców miasta Grozny, ale też narodowego bezpieczeństwa Rosji. Ultimatum przedstawione kobietom, dzieciom i starcom czeczeńskiej stolicy czyni ich zakładnikami zarówno terrorystów, jak i sił federalnych. Trudno uwierzyć, by władze Rosji w tej sytuacji miały zamiar działać tymi samymi metodami, którymi działają terroryści. Bardzo dobrze rozumiemy, jak trudno jest przeciąć zaciśnięty węzeł czeczeński, w żadnym razie ofiarami podejmowanych decyzji nie powinni jednak stać się niewinni ludzie. Całkowicie nie do przyjęcia jest dla nas szeroko reklamowana przez wojskowych zasada, służąca za rzekome usprawiedliwienie tych okrutnych środków: „nie ma wojny bez ofiar”. Urzeczywistnienie tej zasady doprowadzi do olbrzymiej katastrofy humanitarnej, kóra nie bez podstaw niepokoi obecnie cały cywilizowany świat. Uważamy za konieczne przyłączenie się do jego głosu.

ZACHÓD

4.12.

Tegoroczna nagroda im. Kościelskich została przyznana Arkadiuszowi Pacholskiemu za dotychczasową twórczość eseistyczną

oraz Adamowi Wiedmannowi za całokształt dotychczasowej twórczości prozatorskiej i poetyckiej.

7.12.

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z p. Arturą Gailiuną, który wygłosił odczyt „Pogoń litewska i Orzeł Biały – perspektywy stosunków polsko-litewskich u progu XXI wieku”. ■ Na Uniwersytecie Paris IV-Sorbonne Henri Rossi wygłosił odczyt „Anna Potocka i jej pamiętniki”.

15.12.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce wieczór literacki poświęcony Danilo Kišowi z okazji 10-jej rocznicy śmierci.

17.12.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego oraz Soci t  d'Etudes Polonaises odbyło się dwudniowe kolokwium na temat „Słowacki w chwili obecnej”. ■ W Institut Franais des Relations Internationales (IFRI) w Paryżu z udziałem Ambasady RP miała miejsce międzynarodowa konferencja na temat „Le Role des  lites d'Europe centrale et orientale dans la fin de la Guerre froide et dans la re d finition du monde”. (Rola elit  rodkowo- i wschodnioeuropejskich w zako czeniu zimnej wojny i nadaniu  wiatu nowego kształtu). W konferencji wzięli udział m.in.: minister Bronisław Geremek, Zbigniew Brzeziński, prof. Leszek Ko akowski, Czesław Miłosz, Adam Michnik oraz ambasador Republiki Czeskiej w Paryżu Petr Janyska. Zaproszony Paweł Tigrid, nie mogąc przyjechać, przysłał swoje o wiadczenie, które zostało odczytane na konferencji. Obecni byli także wybitni intelektualiści francuscy – m.in.: Jacques Le Goff, Ren  R mond, Thierry de Montbrial.

18.12.

W Instytucie Polskim w Paryżu z udziałem paryskiej Stacji Naukowej PAN odbyło się zebranie dyskusyjne pt. „Jaka Polska? Przesłanie *Kultury*”, zorganizowane z okazji wydania antologii „Wizja Polski na łamach *Kultury* 1947-1976” w opracowaniu Grażyny Pomian przez Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W dyskusji wzięli udział: Krzysztof Pomian, Leszek Ko akowski, Czesław Miłosz, Aleksander Smolar, Daniel Beauvois, Aliaksandr Antsipenka z Mińska – historyk, Bohdan Osadczuk, Algis Kaleda – historyk literatury z Uniwersytetu Wileńskiego, Adam Maldzis – prezes Instytutu im. Skoriny w Mińsku i Leopold Unger.

Kronika australijska

Na rok 1999 przypadły obchody pięćdziesiątej rocznicy masowego napływu emigrantów nieanglosaskiego pochodzenia, pierwszego na taką skalę w historii Australii. Z inicjatywą zapoczątkowania wielkiego napływu emigrantów, pod hasłem „*populate or perish*” (zaludnić albo zginąć) wystąpił federalny rząd, sprawowany wówczas przez Australijską Partię Pracy. Pierwsze duże transporty emigrantów przybywały głównie z Zachodnich Niemiec z obozów DP (*Displaced Persons* – wysiedlone osoby, pochodzące ze  rodkowo-wschodniej Europy, w przeważającej liczbie wywiezione w czasie wojny na przymusowe roboty do Niemiec). W mniejszej liczbie napływali także byli jeńcy wojenni i byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych oraz zdemobilizowani z polskich sił zbrojnych na Zachodzie. ■ Australia, w pierwszych latach powojennych, na swoim wielkim obszarze (siedem milionów siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych), miała tylko siedem milionów mieszkańców, prawie w stu procentach pochodzenia anglosaskiego, eksportowała głównie produkty rolnicze i to prawie wyłącznie na angielski rynek. Była krajem politycznie, kulturalnie i ekonomicznie bardzo związanym z Wielką Brytanią. Obecnie Australia, w dużej mierze dzięki kontynuacji – po dzień dzisiejszy – przyjmowania emigrantów, doszła do dziewiętnastu milionów ludności, ma rozwinięty nowoczesny przemysł i duży różnorodny eksport skierowany na azjatycki rynek a największym handlowym partnerem jest Japonia. Stały napływ emigrantów przyczynia się do tworzenia wielokulturowego społeczeństwa, z wielością języków, wprowadzanych do szkół i specjalnych kursów. Na dziewiętnaście milionów Australijczyków, jedna na cztery osoby, urodzona jest poza Australią. ■ W związku z niezależnieniem się Wschodniego Timoru od Indonezji, nastąpiło duże zaostrenie stosunków politycznych między Indonezją i Australią. Australia bowiem odegrała dominującą rolę w uzyskaniu uchwały Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, nadającą moc prawną na wysłanie do Wschodniego Timoru międzynarodowych sił wojskowych, jako korpusu pokojowego. Dowódcą tego korpusu został

generał australijski. Australia wywarła również duży nacisk na Indonezję w celu uzyskania jej zgody na referendum we Wschodnim Timorze, w którym w olbrzymiej większości ludność oddała swoje głosy za odłączeniem się od Indonezji i za ogłoszeniem niepodległości. Indonezja dokonała inwazji na Wschodni Timor, dawną portugalską kolonię, w roku 1975, i bezprawnie zaanektowała. ■ W roku 1999 australijska Polonia ochodziła pięćdziesięciolecie przybycia polskich powojennych emigrantów. Obecnie australijska Polonia liczy około stu pięćdziesięciu tysięcy osób, w tym największą grupę stanowią osoby urodzone w Australii – około siedemdziesiąt tysięcy, pozostałe grupy obejmują osoby urodzone w Polsce a w dalszej kolejności urodzone w Zachodnich Niemczech, Wielkiej Brytanii, Indiach i Afryce, w czasie wojny i w pierwszych powojennych latach. Australijska Polonia posiada dwadzieścia dziewięć Domów Polskich i sześć ośrodków młodzieżowych, z dużymi terenami do urządzania kursów wakacyjnych, imprez harcerskich itp. Z trzynastu rozgłośni radiowych nadawane są polskie audycje. Od około dwudziestu lat istnieje Fundacja Popierania Kultury Polskiej (Polcul Foundation), jedyna tego rodzaju fundacja na emigracji. Do roku 1989 celami Fundacji w nagradzaniu były: podtrzymywanie niezależnej działalności społecznej i popieranie dążeń demokratycznych w Polsce. Obecnie przydzielane są nagrody za tworzenie podstaw społeczeństwa obywatelskiego, które rozwijają cnoty obywatelskie – zaangażowanie społeczne, tolerancję, bezinteresowną pomoc bliźniemu. Pojedyncza nagroda wynosi od pięciuset do tysiąca dolarów amerykańskich. Łącznie przyznano już ponad tysiąc wyróżnień, wartości ponad pół miliona dolarów amerykańskich. ■ W okresie ostatniego pięćdziesięciolecia polskie piśmiennictwo w Australii reprezentowane jest przez około pięćdziesięciu autorów ponad setki książek. Wśród autorów do najwybitniejszych należą: socjolog prof. Jerzy Zubrzycki, historyk Lech Paszkowski oraz literaci Andrzej Chciuk i Andrzej Gawroński. W dotychczasowym dorobku literackim zwraca uwagę nieomal brak literatury powieściowej. Przeważa zdecydowanie literatura wspomnieniowa. Wśród wydanych książek sporo jest w języku angielskim. Co trzy lata urządzany jest pod patronatem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii – Festiwal Kultury i Sztuki Australijskiej Polonii. W festiwalach tych bierze udział kilkaset osób, głównie młodzież urodzona w Australii, prezentując szeroki przekrój życia

artystycznego i kulturalnego australijskiej Polonii. Przeciętnie około dziesięciu tysięcy osób wizytuje te festiwale. ■ *Tygodnik Polski*, którego pięćdziesięciolecie rocznica istnienia przypada także na rok 1999, został założony przez misjonarza z Chin, księdza Konrada Trzeciaka. Wyrzucony z Chin przez komunistów, przyjechał do Australii, kiedy rozpoczął się masowy napływ polskich emigrantów. Pismo, w pierwszym okresie wychodziło pod tytułem *Tygodnik Katolicki*, w okresie swojego pięćdziesięcioletniego istnienia stał się nieodzownym towarzyszem australijskiej Polonii i w tym długim okresie odegrał dużą rolę w życiu australijskiej Polonii. Obecnie w Australii *Tygodnik Polski* jest jedynym polonijnym tygodnikiem (w latach pięćdziesiątych wychodziło w Australii pięć polskich tygodników). Obecnie, oprócz *Tygodnika Polskiego* wychodzi jeden miesięcznik *Przegląd Katolicki* i jeden dwumiesięcznik *Polish Kurier*. ■ Ryszard Krygier, wieloletni działacz polonijny (piastował funkcję prezesa Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego w Sydney), był założycielem, wydawcą i redaktorem australijskiego miesięcznika *Qadrant*, poświęconego sprawom zarówno literackim jak i politycznym. Miesięcznik ten zdobył sobie prestiżową pozycję w Australii i nadal wychodzi, ale redaktorem nie jest syn Ryszarda Krygiera. Syn – profesor Martin Krygier jest obecnie prezesem Australijskiego Instytutu Spraw Polskich. ■ Na trzydziestym pierwszym Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wybrane zostało prezydium na następną kadencję. Prezesem został dr Janusz Rygielski, urodzony w roku 1942. Ukończył studia geologiczne w Polsce, do Australii przybył w roku 1982, pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Polaków „Polonia” w Brisbane. Wiceprezesem Rady Naczelnej jest Lucyna Artymiuk, działaczka Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, urodzona w Australii. Polonijna generacja, urodzona w Australii, jest już widoczna w zarządach polonijnych organizacji, ale – jak dotychczas – raczej w małym stopniu. Z wyborami do nowego prezydium zakończona została dość kontrowersyjna kadencja poprzedniego prezydium. Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii istnieje od roku 1950 i skupia ponad sto polonijnych organizacji, działających we wszystkich stanach Australii. ■ W Melbourne odbyła się promocja książki o poecie i pisarzu australijskiej Polonii Andrzeju Chciuku. Autorką książki jest Bogumiła Zongołłowicz, filolog, poetka, dziennikarka, przedstawicielka naj-

nowszej emigracji. Książka została wydana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, pod tytułem „Andrzej Chciuk, pisarz z antypodów”. ■ Z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy śmierci Fryderyka Chopina, staraniem Australian Chopin Society, którego współzałożycielem i prezesem jest Polak, Sławomir Zumis, odbyły się koncerty chopinowskie w Australii, w największych i prestiżowych salach koncertowych, z udziałem wybitnych polskich pianistów, przybyłych z Polski: Marii Szraiber i Piotra Palecznego oraz Rogera Woodwarda, australijskiego pianisty o międzynarodowej sławie, wykształconego między innymi w Warszawskiej Akademii Muzycznej imienia Fryderyka Chopina. ■ Australijski Instytut Spraw Polskich, powstały w końcu 1991 roku, w dużym zakresie przyczynia się do powstawania polskiego *lobby* na tym kontynencie. Instytut ten ma na celu upowszechnianie na terenie Australii informacji o Polsce i przyczynianie się do wzmacniania stosunków polsko-australijskich. Na zaproszenie Instytutu udane wizyty w Australii złożyli m.in.: były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa – Jan Nowak-Jeziorański, historyk i były minister spraw zagranicznych – Władysław Bartoszewski, wicepremier – Leszek Balcerowicz, były emisariusz rządu RP w Londynie w okresie drugiej wojny światowej – Jan Karski, była premier Hanna Suchocka, prezes Narodowego Banku Polskiego – Hanna Gronkiewicz-Waltz. Osoby te, oprócz spotkań z Polonią, występowały w większości w australijskiej telewizji, udzielały wywiadów dla prasy australijskiej oraz były przedstawiane osobistościom ze świata politycznego i biznesu.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Listy do Redakcji

25 listopada 1999

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Karola Baumgartena „Czy Polska powinna kupić szwedzki samolot JAS 39” (*Kultura* nr 11/626, 1999) kładzie niemal wyłącznie nacisk na *marketing*, *lobbying* i *offset* w międzynarodowym handlu samolotami wojskowymi. Jako przedstawiciel Polski przy NATO (1992-97) miałem dość często do czynienia z tą problematyką. Do naszej ambasady w Brukseli zwracali się w tej sprawie nie tylko Saab i Dassault ale przede wszystkim Amerykanie Lockheed-Martin, McDonnell-Douglas, Northrop i inni. Wszyscy przy tym dobrze znali oferty swych konkurentów i nadal – do połowy lat 90-tych mieli swe stałe biura w Warszawie.

Nasze argumenty w tym okresie zmierzały do tego, by włączyć wpływowych konstruktorów amerykańskich do *lobby* popierającego zaproszenie Polski do NATO, co uczynili chociażby dlatego, że było to w ich własnym interesie. Szwedzi nie byli tu w niczym pomocni ponieważ po dziś dzień mają niechętny stosunek do NATO.

Drugim ważnym dla nas argumentem było uzyskanie budowy na terenie Polski zakupionych w przyszłości samolotów, z czym wiąże się nie tylko tworzenie stanowisk pracy i ratowanie Polskich Zakładów Lotniczych (Okęcie, Mielec i inne) ale zwłaszcza tak bardzo potrzebny Polsce transfer technologii. W tej dziedzinie Szwedzi nie byli w tyle za Ameryką. Nie dorównują jej natomiast, jak sam przyznaje Pan Baumgarten, gdy chodzi o jakość produktu. Ponadto nawet szwedzka wirtuozeria kupiecka nie zmienia faktu, że samolot budowany np. w dwustu egzemplarzach musi się rzeczą być droższy od konkurenta, którego schodzi z taśmy 2000 sztuk.

Pan Baumgarten pomija też zupełnie aspekt polityczny tej kwestii. Szwecja nie należy do NATO i już z tego powodu startuje ze słabszej pozycji chociażby z uwagi na konieczność zapewnienia na wiele lat całkowitej kompatybilności awioniki (wyposażenia elektronicznego) naszego sprzętu latającego z siłami powietrznymi aliantów. Współpraca z British Aerospace nie daje przecież Saabowi nieograniczonego dostępu do innowacji technicznych państw NATO.

Argument-maczuza strony amerykańskiej jest przy tym znacznie mniej skomplikowany. Kiedy Prezydentowi Lockheed Martin, P. Augustine, wspomniałem kiedyś o kuszących ofertach Szwedów

powiedział mi wprost: zapytajcie w Kuwejcie kto im przyszedł z pomocą po aneksji ich kraju przez Irak – Szwecja czy Ameryka?

Jak sądzę jednak, decyzja w sprawie zakupu nowoczesnych samolotów dla lotnictwa polskiego nie jest rzeczą pilną – na szczęście, bo wydatki są ogromne. Znacznie ważniejsze jest obecnie inwestowanie w zasoby ludzkie, albowiem o oplakany stanie naszych sił powietrznych najlepiej świadczy śmiertelny wypadek Iskry z 11-go listopada 1998 r. i wynikające stąd skandaliczne rewelacje i konflikty na najwyższych szczeblach wojskowych.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Andrzej KRZECZUNOWICZ

ODPOWIEŹ ANDRZEJOWI KRZECZUNOWICZOWI

Miło mi, że były przedstawiciel Polski przy NATO zechciał zwrócić uwagę na mój artykuł, aczkolwiek powód napisania listu nie jest dla mnie zbyt jasny. Pan Krzeczunowicz nie uważa, iż Polska powinna kupić szwedzki samolot wielozadaniowy JAS 39 Gripen. Podzielał ten pogląd, mówiąc ściślej – uważam, iż kraj nasz powinien nabyć bądź amerykański F-18 Hornet, bądź poczekać na niemiecko-włosko-hispańsko-brytyjski Eurofighter. Zawsze byłem zwolennikiem zakupu drogiego sprzętu wysokiej klasy, gdyż na dłuższą metę po prostu bardziej się to opłaca niż oszczędzanie na jakości. Nawiasem mówiąc, szwedzki Gryfon jest od swoich amerykańskich konkurentów nowych generacji tańszy w eksploatacji (zwłaszcza pod względem zużycia paliwa).

Andrzej Krzeczunowicz zarzuca mi, iż w swoim artykule zupełnie pomijam aspekt polityczny całej kwestii. Rzeczywiście, nie chciałem powtarzać argumentów, które niedawno na łamach *Kultury* wyartykułował inny jej autor, Stefan Abner (nr 10/613 z października 1998). Wobec bezwzględnej zaostrzającej się walki rynkowej amerykańskich i europejskich (dziś już w dużym stopniu ponadnarodowych oraz nadal pośpiesznie się jednoczących) koncernów zbrojeniowych, stosowniejszy politycznie byłby wybór samolotu europejskiego. Polska leży jednak w Europie, a jej przyszłość w strukturach Unii. Mimo upowszechnienia się w naszym kraju mentalności satelickiej, nie możemy zostać kolejnym stanem Ameryki Północnej, ani nawet członkiem NAFTA.

Na uwagę zasługuje natomiast fakt zacytowania przez Andrzeja Krzeczunowicza amerykańskiego argumentu – m a c z u g i. Norman Augustine jako prezes Lockheed-Martina musiał przewagi tego amerykańskiego kolosa zachwalać *per fas et nefas*, nawet przy użyciu argumentów sprzecznych z logiką – to wszak jego *job*. Dziwne jest jednak, że A. Krzeczunowicz *dictum* owo przytoczył. Przecież

były przedstawiciel Polski przy NATO nie chce chyba z powagą twierdzić, że gdybyśmy wybrali samolot europejski, to nas Amerykanie z NATO wyrzucą lub z zemsty nie wypełnią zobowiązań traktatowych w wypadku zagrożenia naszego kraju? Analogia z Kuwejtem jest też dość chybiona. Gdyby – powiedzmy – Tybet przed aneksją kupował amerykańskie samoloty i inny sprzęt, to i tak nie mógłby liczyć na czynną pomoc sił amerykańskich, bo nie ma ropy naftowej i nie leży w pobliżu granic Izraela. Już bardziej pouczające byłoby dla nas porównanie ze Szwecją. Z opublikowanych dziś dokumentów i licznych relacji wiadomo, że przez cały okres zimnej wojny była Szwecja *de facto* pod amerykańskim parasolem. Współpraca wojskowa i wywiadowcza między Szwecją i członkami NATO nie została przerwana nawet wtedy, gdy Olaf Palme demonstrował ramię w ramię z reprezentantami Północnego Wietnamu, co spowodowało odwołanie ze Sztokholmu amerykańskiego ambasadora. Po prostu uważano, że szwedzki potencjał technologiczny – także zbrojeniowy, choć na rynkach czasami konkurencyjny wobec amerykańskiego – jest tak atrakcyjny, iż kraj ten nie mógł wpaść w sowieckie łapy. W sumie jest to bardzo pouczająca ilustracja starej tezy, iż niezależnie do formalnych gwarancji, zobowiązań i traktatów, duże znaczenie ma także, czy jest czego bronić. W świetle tej tezy długoterminowa współpraca z wiodącymi firmami i transfer technologii, będące rewanżem za kosztowny zakup samolotu wielozadaniowego mają też dla nas wielkie znaczenie polityczne. Polska, wszak kraj bardzo biedny, zdążyła już np. utopić 300 milionów dolarów w program budowy samolotu Iryda, którego ani jeden egzemplarz nie lata po polskim niebie. Ten i liczne, inne fakty dobrze świadczą, jak wygląda sytuacja w naszym przemyśle zbrojeniowym, na którego restrukturyzację rząd nie ma żadnego pomysłu. Powtórzę więc tezę swojego artykułu: w gruncie rzeczy nie jest tak ważne, jaki kupimy samolot (byle tylko rzadko spadał); ważniejsze jest, jaki transfer technologii i pomoc dla naszej gospodarki w rewanżu nam zaoferują.

Karol BAUMGARTEN

Fontenay, 5.12.99

Szanowny Panie Redaktorze,

W lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* zamieścił Pan Redaktor mój artykuł „Czy Polska kupi naukowe oszustwo?” dotyczący skandalicznej propozycji wypuszczenia na Mazurach stada bydła nazywanego dla potrzeb hitlerowskiej propagandy turem lub zrekonstruowanym turem. Pragnę poinformować Pana Redaktora i czytelników *Kultury* o dalszym przebiegu tej oburzającej historii. W październiku, nakładem wydawnictwa H.S.T.E.S.

ukazała się w Paryżu nasza książka opisująca tę aferę (Daszkiewicz Piotr, Aikhenbaum Jean „Aurochs. Le retour... d'une supercherie nazie”). Jednocześnie otrzymaliśmy bardzo dobre wiadomości z Polski. Komisja Ochrony Zwierząt Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, w komunikacie podpisanym przez przewodniczącego, prof. Zbigniewa Głowacińskiego, powołując się na opinie swoich ekspertów, m.in. profesorów Z. Pucka i dr J. Raczyńskiego zaopiniowała negatywnie wspomniany projekt. W uzasadnieniu swojej decyzji Komisja podkreśliła nieuczciwy charakter przedstawiania owego projektu („nie wskazany w obszarze restytucji żubra”), brak zdefiniowania zamiarów i sposobów prowadzenia owej hodowli, niekompetencję zawodową instytucji przewidzianych dla realizacji projektu oraz brak niezbędnego programu naukowego. Historią tego skandalicznego oszustwa zainteresowali się także dziennikarze, m.in. pan Adam Wajrak z *Gazety Wyborczej* i pan Fabrice Nicolino z francuskiego tygodnika *Politis*. Dzięki ich pracy (prowadzonej niezależnie przez obu reporterów) ujawnionych zostało wiele nowych, oburzających elementów tego skandalu, m.in. udział francuskich, a także prawdopodobnie belgijskich i holenderskich instytucji państwowych oraz przynajmniej jednej międzynarodowej organizacji „ochrony przyrody”, bezprawne używanie przez autorów projektu nazw polskich instytucji naukowych, zatajanie faktu, że proponowane do sprzedaży Polsce było cierpi na bliżej niezidentyfikowaną chorobę, fałszowanie wyników badań naukowych. To tylko niektóre z nowych, „pikantnych” szczegółów skandalu „falszywego tura”. Jednocześnie odnalezionych zostało szereg nowych dokumentów i danych dotyczących hitlerowskich początków tego oszustwa związanych bezpośrednio z osobą Hecka, odpowiedzialnego m.in. za zbrodnicze działania przeciwko Polsce.

Łączę wyrazy szacunku

Piotr **DASZKIEWICZ**

- Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 55-tą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką – 17.01.1945 – w Wisach-Radoszycach – oddziału partyzanckiego 2-go batalionu 2-go pp AK, którym dowodził kpt./mjr Józef Wyrwa (ps. „Furgalski”, „Stary”) F. 500,00
- Elżbieta Zahorska i jej syn Witold, Rzym-Paryż – w 11-tą rocznicę śmierci Męża i Ojca – Witolda Zahorskiego F. 600,00
- Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA) – po raz 35-ty – dol. 1.000,00 F.6.200,00
- Władysław Żeleński, Paryż – wobec niedomogi wzrokowej – zamiast życzeń świątecznych i noworocznych, w odpowiedzi na otrzymane liczne życzenia, z wielką wdzięcznością i podziękowaniem F. 400,00
- Eleonora Jędrysek, Nowy Jork – na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego – dol. 100,00 F. 620,00

DZIĘKUJEMY

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

CI, CO ODESZLI	
G. Mazur, M. Kwiecień:	<i>Andrzej Grzywacz (1967-1999)</i> 201
Anna Supruniuk:	<i>Zenon H. Nowak (1934-1999)</i> 204
Leszek Talko:	<i>Marc de Montfort (1923-1998)</i> 206
–	<i>Weronika Bell</i> 209
–	<i>Halszka Guilley-Chmielowska (1915-1999)</i> 210
–	<i>Jan Dunin Karwicki (1910-1999)</i> 211
–	●
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i> 212
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Kronika australijska</i> 215
A. Krzeczunowicz, K. Baumgarten, P. Daszkiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i> 219

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 2000

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessestr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>POLONIA Bookstore</i> , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{ème} trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 506 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO TRZYDZIESTY

zawiera opracowania: A. Nowak: *Polityka „rosyjska” obozu Piłsudskiego w latach 1914-1918*; Grzegorz Mazur: *Polityka sowiecka na „Zachodniej Ukrainie” 1939-1941 (zarys problematyki)*; J.W. Solecki: *Unia, własność, sprawiedliwość*; T. Mianowicz: *Mniejsze zło. Taktyka PZPR w 1989 r.*; A. Rudzińska: *Mój KOR. Czerwiec 1976 – styczeń 1980*; M. Bernhardt: *Byłem przymusowym ochotnikiem*; T. Wyrwa: *Monografia o Pawle Edmundzie Strzeleckim*; J.R. Krzyżanowski: *Powieść o Krystynie Skarbek*; K. Czyżewski: *Studium zniewolenia*; *Książki nadesłane*; L. Gruszczyński: *Zjazd historyków we Wrocławiu*; J. Cisek: *Amerykański Legion dla Polski?* P. Daszkiewicz: *„Jeniec Polak” w osiemdziesiątą rocznicę zakończenia działalności*; P. Owczar: *Jeszcze raz Oświęcim*; M. Bornet: *Pierwsi żołnierze polscy w Rzymie w 1944 roku*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 90 F